

Łódź literacka

CZASOPISMO ODDZIAŁU ŁÓDZKIEGO ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH
Wrzesień — Październik 1954 Cena zł 1.50

SEWERYNA SZMAGLEWSKA

PRAWDA PRZYJAŹNI

NIE WIEM, koledzy, czy pamiętacie jeszcze okoliczności, w jakich zetknęliśmy się po miesięcznej wycieczce do ZSRR z ludnością polską?

Nasze późniejsze reportaże z podróży były na ogół bardzo do siebie podobne, jasne, optymistyczne, ale nikt z nas, o ile wiem, ani słowem nie wspomniał o tamtym zdarzeniu. Potraktowaliśmy je jako pewnego rodzaju graniczny rowek (bo działo się to niemal na samej granicy), o którym, przeskoczywszy go, po prostu przestaliśmy pamiętać.

Zaczął się niemal z niczego. Pociąg nasz zbliżał się do Polski, wysłaliśmy więc wszyscy na pusty korytarz wagonu sypialnego. Zapanało rzewne, pełne zamyślenia milczenie. Patrzyliśmy w okno. Skończył się miesiąc pracowitości i bardzo wypełniony zajęciami, jakże jednak atrakcyjny.

— Za kilka godzin Warszawa — powiedział ktoś z kolegów.

Mknący za oknem krajobraz, oglądany przez nas przed miesiącem z najwyższą ciekawością, przesuwał się teraz w odwrotnej kolejności. Związek Radziecki! Patrząc tak ulegliśmy czarowi ziemi tonącej w puchu śnieżnym, pociętej śladami sań, gdzie każde drzewo zdawało się być kwitnącą jabłonią czy wiśnią. Na horyzoncie gromadziła się przedwieczorna mgiełka, jakoś odpowiadająca naszemu nastrojowi. Nikt z nas nie zamierzał się przyczepić do wzruszenia, nawet wtedy gdy Broszkiewicz zanucił melodię towarzyszącą nam przy wieczornych posiłkach: „Daleko, daleko gdzie nocyjunt tumany” — swobodnie zmieniając jej tekst.

Scibor-Rylski, grający z ujmującą konsekwencją rolę gruboskórnego śląskiego „szachciora”, powiedział:

— Co w przekładzie pewnego kolegi mogłoby brzmieć: „Dom noclegowy dla umysłowo zaniedbanych”.

Roześmialiśmy się. Właśnie o to chodziło, żeby nie ujawniać doznań. Tadeusz Konwicki pokiwał głową z ledwo widocznym uśmiechem i westchnął:

— Święta, święta i po świętach...

We wnętrzu wagonu cicho i wesoło szumiał samowar, w przedziałach płonęły okryte pamarafczowymi abażurami lampy, nastrój był domowy, trochę staroświecki.

Szybko minęła komora celna, prześiadka do polskiego wagonu, pożegnanie z odprowadzającym nas kolegą Morawkiem, ostatnie machania dłońmi, póki pociąg nie skręcił, i wkrótce zaczęła się ta sprawa, której znaczenie oceniam dopiero dziś, po dwu niemal pełnych latach.

Tuż za Terespołem, już w zupełnej ciemności wczesnego wieczoru zimowego, wsiadło do pociągu mnóstwo ludzi, był to bowiem koniec szkolnych ferii noworocznych. Oświetlenie w pociągu było nieczynne, co powiększało zamęt i ścisł, ale sprzyjało zawiązywaniu się rozmów rozpoczynanych słowami: może się pan trochę posunie.

Tylko głosy mówiły nam coś niecoś o współpasażerach, otaczających nas gęsto i przyblywających na każdej stacji.

Widocznie parowała z kolegów chęć opowiedzenia ludziom natychmiast o wszystkim, cośmy widzieli, bo dosyć wnet moich uszu rozmówki, opisy, wspomnienia. Po każdym pytaniu ze

strony pasażerów sypała się suta opowieść z naszej strony. W ciemności nie dało się obserwować, jak nasze słowa są przyjmowane. Nagle zza drzwi przedziału otwartych na korytarz nie mniej zatłoczony niż cały pociąg — doleciał głos mężczyzny, którego słowa i ton były nasiąknięte burkliwą wrogością:

— Panie, wstań no pan lepiej i zrób mi pan miejsce, jakżeś pan taki wykształcony. Po co gadać na próżno o tej kulturze? Stoję tu na jednej nodze w tłoku, a pan siedzi i gada.

Czuliśmy jeszcze w sobie ogromny wysiłek ostatnich dni, kiedy się niedosypało, kiedy pokonywało się zmęczenie, kiedy się chciało przed porą wyjazdu jak najwięcej rzeczy poznać, raz jeszcze obejść ulice Moskwy i Leningradu, być w teatrach, zwiedzić galerie sztuki, mówić z pisarzami, z młodzieżą spotykaną w Muzeum Ostrowskiego, z przygodnie poznanym w czytelnicy czy w sklepie człowiekiem. Stłoczeni w gromadzie, spośród której kilka kobiet i dzieci ulokowaliśmy między sobą, tkwiliśmy niemal bez ruchu, marząc o tym, żeby wreszcie wyprostować nogi w Warszawie.

— Już dwie godziny tak jadę — złośliwie się tamten.

— My jedziemy trochę dłużej, obywatelu, bo już drugi dzień — odparł, może niepotrzebnie, któryś z kolegów.

— Dwa dni? To niby skąd? — zaciękawiała się mówiąca męskim głosem ciemność na korytarzu.

— Z Moskwy. Z Leningradu. Z Kaukazu.

Zapewne nie dość dokładnie słyszał dotychczasową naszą rozmowę z pasażerami. Teraz odezwał się nawalem słów szybkich, gwałtownych, wykrzykiwanych okrzężną drogą pod naszym adresem:

— I co mi z tego — wołał — że w Moskwie są obniżki cen! Ze sklepy są pełne wszystkiego! Ze żyje się jak w raju!... Ja w raju nie żyję. Dotąd żyłem na kartki, a teraz, o proszę, mam tu gazetę, przeczytałem. Szkoda, że ciemno, bobym pokazał. Kartki zniszone. Pisz, że dla dobra człowieka pracy. Dla walki ze spekulacją. To dla mojego dobra cukier, co kosztował pięć złotych, będzie od jutra kosztował piętnaście? To dla mojego dobra, jak jechałem do rodziny na urlop, zapłaciłem po sześćdziesiąt pięć złotych za bilet, a już z urlopu, żeby wrócić do domu, musiałem zapłacić sto trzydzieści? No i za te sto trzydzieści złotych ledwo się zmieściłem na korytarzu, stoję, walizkę w ręce trzymam, ani nie widzę, czy jest gdzie miejsce, żeby ją położyć. Opowiadać o raju to nie sztuka...

Zaujął, że któryś z kolegów upomniał tego zdenerwowanego pasażera, przysięgł go słowami. Motywy psychologiczne jego postawy, jego przynależność klasowa, to wszystko nie zdążyło się nam ukazać. Nastąpiła cisza. Rozmowy na temat naszej podróży nie zostały ponownie podjęte. W Warszawie na dworcu czekała na nas gromada kolegów i naszych najbliższych. Incydent poszedł w zapomnienie.

„Mowa ciemności” nie zawsze jest słyszalna. Czasem oddziaływała głębokim, pełnym dezaprobaty milczeniem. I nie zawsze jest ona deklaracją przeciwników politycznych, ludzi zwalczających system sprawiedliwości społecznej. „Raj” — owo stare, wytarte przez prasę

sanacyjną, ironiczne określenie Związku Radzieckiego — nosi w sobie wielkopolską pogardę i niewiarę w talenty ludu. Tylko cud mógłby rzekomo sprawić, aby naród umiał gospodarować bez udziału szlachty. A tymczasem pod nieustannym ostrzałem reakcyjnej nienawiści, pod ostrzałem wyostrzonego krytycyzmu wrogów rewolucji, ten kraj, najciekawszy kraj świata, rośnie łamiąc przeszkody. Nie pomaga spisek milczenia wokół niektórych dzieł sztuki radzieckiej, ani próby sabotowania postępów artystów, nie pomaga triumfalne rozdawanie rzeczywistych trudności krajów demokracji ludowej — ta wielka sprawa, przyciągająca stopniowo wszystkie umysły humanistyczne, zwycięża na całym świecie.

Czy zwycięży bez naszego udziału? Z naszym udziałem zwycięży prędzej. Pod warunkiem, że ten udział nie będzie miał w żadnym wypadku cech niedźwiedziej przysługi. Co mam na myśli? Niezwykle trudno jest mówić i pisać o Związku Radzieckim. Nie wolno przedstawiać tego kraju jako tworu superdoskonałego, skończonego we wszystkich szczegółach, przerastającego ludzkie możliwości, tworu, którego rola — tak przynajmniej pojmowana przez wielu — zamyka się w krótkiej instrukcji: „świecić przykładem”. Nie wolno przytykać osiągnięciami Związku Radzieckiego realnych, istniejących osiągnięć własnych.

Po przybyciu do kraju socjalizmu stwierdziłam, że jest to kraj całkowicie odmienny niż nasze o nim wyobrażenie, ukształtowane zapewne przez nie dość humanistyczną, nie dość liczącą się ze zdolnościami ludzkiego kojarzenia propagandę. Pisma nasze, zwłaszcza codzienne, chętnie publikują niekiedy coś „na wyrost”, co się okazuje przedwczesne, nie mające jeszcze pokrycia w rzeczywistości. Nie ratuje sytuacji fakt, że informacje te dotyczą najczęściej spraw krajowych. Szkodliwe ich działanie nie sięga znacznie dalej.

Przykład: o łódzkim teatrze, którego budowę rozpoczęła kilka lat temu przetrwano i zaniedbano, czytaliśmy już optymistyczne artykuły, więcej, redakcja umawiała się z nami na pierwsze spektakle. Tymczasem cała ta sprawa jest chyba smutnym przykładem błędów w gospodarce miasta. Może także świadczyć o istotnych trudnościach, ale fakt obiektywny jest jeden — budowa stoi.

Drugi przykład: podczas nasilenia trudności w łódzkich Domach Młodego Robotnika publikowano fotografię dziewczyny z DMR, pochylonej nad białym łóżkiem ozdobionym firaneczkami. Niewątpliwie warunki w DMR-ach poprawiają się z dnia na dzień: są ocale niebo lepsze od tych, jakie młodzież robotnicza mogłaby mieć w ustroju kapitalistycznym. Ale poprawa warunków nie od razu pociąga za sobą zlikwidowanie trudnych, ostrych i na ogół typowych konfliktów. Robotnica z DMR, młoda dziewczyna, zapytana przeze mnie, co sądzi o podobnym przedstawianiu sprawy, machnęła ręką: — To propaganda!

Nie chcę być podobna do bohatera humoreski Różewicza, mimo to twierdzę, że białe firaneczki nie wyczerpują spraw młodzieży. Jeżeli czytelnik przez słowo „propaganda” rozumie prawdę niepełną, celowo zniekształconą, jeżeli przyzwyczajają się odejmować od opty-

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

BRON

Puszkinie, czemu w dymnej Łodzi
Pewnego zimowego ranka,
Kiedy grudniowy wiatr zawodził
I śnieg leciutki był jak pianka,

Kominy mi się przemieniły
W rudawe sosny Twojej ziemi,
A cierpki zapach dymu — w miły
Aromat leśny się przemienił?

I nagle zobaczyłem Ciebie
Ciężko rannego przez dworaka,
Nad Tobą wiatr rosyjski gniewnie
W galeziach sosen wyl i płakał.

Dokoła tylko — las i pole,
Już zaproszone śniegiem pierwszym.
Na śniegu leżał Twój pistolet,
A obok tomik Twoich wierszy.

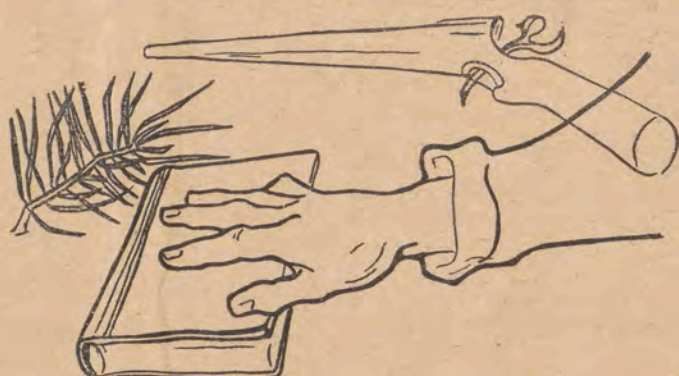
Słabnącą ręką nadaremnie
Chciałeś pistolet z ziemi podnieść,
W oczach Ci było coraz ciemniej,
Choć ranek iskrzył się pogodnie.

Niepogodzony z własnym losem
Wiedzy mdlejącą ręką z ziemi
Stokroć groźniejszą broń podniosłeś:
Tomik z wierszami płomiennymi!

Tak właśnie w zadymionej Łodzi
Ujrzałem sen o Twoim zgonie,
Kiedy grudniowy wiatr zawodził
I wyśpiewywał swe symfonie.

Gdy się ocknałem — i żalossne
Pierzchył rojenia i widziadła,
Ja również książkę Twą podniosłem,
Która na bruk mi z rąk wypadła.

Potem strzepnąłem z jej okładki
Łódzkiego śniegu chłodne płatki.



Rys. Stefan Wegner

JERZY WALEŃCZYK

OGRODY MIEJSKIE

Tymi alejami niosła mnie matka w westchnieniu,
Wzdłuż nich pomagałem jej potem dźwigać
Bańki mleka z przedmieścia, wstydliwie się oglądając.
A w tamtym parku pilka
Podbita dwadzieścia lat temu, wirująca w ciszy,
Dziś o stół uderza, ale nikt jej nie dotknie
Ani nie zobaczy.
Tego znów parku cień był znakiem mojego milczenia.
O biedne, biedne serce, zakłete nad pięknem w jelenia.
A tutaj rąbek sukni stał się cichym płatkem na dłoni.

W tym najprawdziwszym — groby żołnierzy
Radzieckich i naszych, abym żył. Ich helm
Nie niweczeje, lecz rośnie do dachów, do chmur i błękitnieje.
Nagrobki ciemne przyzywają
Z pamięci motory Zisów drżące,
Na które w oczyszczonych miastach wsiadając,
Nie wiedzieli, gdzie wysiądą, bo nie wie nikt.
Rozumieli, że co. Dlatego składamy im
Ofiarę dni i nocy, co są i co będą,
A dymy pokoju w wieczną ich niosą legendę.

Położmy na ich nagrobkach dłonie, ogrzejmy
Dłonie, jak grzaliśmy o ich motory w zimę pamiętną.
(Jakaż krew w żyłach marmuru tętni!)
Odczytajmy napisy tak proste, że uczeń
Szóstej klasy odczytać je może.
Oto on. Nad wiek zamyślony, spogląda,
Lecz datę po rosyjsku jeszcze nie potrafi.
Wybaczymy mu. On i tak czystsze ma od nas
Spojrzenie. Słuchaj! Miasto zamilkło. Jego oczy,
Jego oczy nowe im zsyłają narodzenie.



Rys. Benon Liberski

mistycznego obrazu rzeczywistości pokazywał procent i klasę go na karb fantazji reporterskiej, niewątpliwie przez sam proces kojarzenia myślowego tak samo umniejszała będzie każda wiadomość dotycząca już nie Polski, lecz Związku Radzieckiego, NRD czy innych krajów demokracji ludowej. Tymczasem o ile rzeczywistość nasza jeszcze zbyt często nie nadaje za pragnieniem optymistycznego (czytaj: lakierniczego) sprawozdawcy, o tyle rzeczywistość radziecka wyprzedza na ogół naszą fantazję. Człowiek patrzący przez kilka lat, jak mokną i niszczeją w ślocie mury łódzkiego teatru, gdzie spodziewał się już od dawna bywać na przedstawieniach krajowych i zagranicznych zespołów, ten człowiek siłą rzeczy, siłą swojej natury nakazującej mu wyciągać wnioski, zabezpieczać się przed nowymi rozczaro-

waniami, w myśli podzieli przez jakąś niewiadomą cyfrę podawane przez radio czy pisma wiadomości o miczurinowskich osiągnięciach, o kanale Wołga — Don, o rozmiarach i pięknie Uniwersytetu Łomonosowa, o wzroście czytelnictwa. Reportażysta pozwalający sobie na „niewinny”, jego zdaniem, retusz bliskiej, sprawdzalnej dla czytelnika rzeczywistości, podważa zaufanie do propagandy, powoduje dotkliwe szkody zmniejszając wrażliwość ogółu, który wiadomości o gigantycznych osiągnięciach kraju socjalizmu przyjmuje z dużą dozą niedowierzania. Ten styl pracy, nadgorliwość, wynikająca może z dobrej woli, ale szkodliwa, daje broń do ręki wrogim tendencjom nazwanym przeze mnie „mową ciemności”.

(Dokończenie na str. 2)

PRZED DRUGIM ZJAZDEM PISARZY RADZIECKICH

1

W październiku roku bieżącego w Moskwie obradować będzie II Zjazd Związku Pisarzy Radzieckich. Jeżeli wziąć pod uwagę, że I Zjazd Pisarzy Radzieckich odbywał się przed dwudziestu laty, że zagaiła go rozprawa Gorkiego ustalająca zasady realizmu socjalistycznego, że okres ostatniego dwudziestolecia zamyka w sobie olbrzymi zasób doświadczeń najbardziej postępowej na świecie literatury radzieckiej — zrozumiałe się staje doniosłe znaczenie obecnego Zjazdu. Nic dziwnego, że od dawna już skupia on na sobie uwagę całego społeczeństwa radzieckiego, że dokoła zagadnień dotyczących literatury — teoretycznych, organizacyjnych, a nawet bytowych — toczy się od wielu miesięcy na łamach periodyków i dzienników ożywiona dyskusja, w której — obok pisarzy — zabierają głos czytelnicy. Dyskusja ta jest ogromnie pouczająca. Warto byłoby zapoznać się z tym, co przynosi jej wciąż przybierający na sile nurt, czasem burzliwy i gwałtowny, czasem z pasją poruszający najbardziej aktualne zagadnienia organizacji życia literackiego. Z konieczności musimy jednak ograniczyć omówienie problematyki dyskusyjnej do podstawowych zagadnień metody realizmu socjalistycznego.

2

Początek radzieckiej dyskusji literackiej sięga XIX Zjazdu KPZR, na którym tow. Malenkov w referacie swoim poruszył sprawę najdotkliwszych braków i niedociągnięć literatury radzieckiej i przypomniał zasadniczą Lenińską tezę literatury — partyjność. Fragmenty przemówienia tow. Malenkowa dotyczące zagadnień literackich podtytułowane były troską o jakość i aktywność literatury realizmu socjalistycznego, której głównym zadaniem jest udział w walce o nowe formy życia społecznego. W odpowiedzi na jego apel i krytykę podniosła się fala wypowiedzi dyskusyjnych, która w miarę upływu czasu coraz bardziej przybierała na sile.

Nie od razu jednak udało się dyskusantom, autorem teoretycznych rozpraw, odnaleźć właściwą syntezę. Dyskusja toczyła się wokół różnych zagadnień. Poruszano konieczność zgłębienia mało opracowanej dotąd teorii psychologii twórczości; w walce o poziom utworu artystycznego słusznie kładziono nacisk na rolę indywidualności twórczej, a jednocześnie zakreślano jej nieprzekraczalne granice; zwracano uwagę na to, że głównym tematem sztuki jest człowiek, i dopuszczano do zacieśnienia tej tematyki aż do całkowitego wyeliminowania z literatury motywu pracy ludzkiej.

Na dalszym etapie dyskusja zajęła się prostowaniem poruszonych zagadnień. Czytelników zaciekał zapewne polemika W. Jeremiłowa ze znanym u nas artykułem Ilii Erenburga pt. „Praca pisarza”, przytoczę więc na początek tego przeglądu tematyki dyskusyjnej wypowiedź wybitnego badacza literatury i krytyka, tym bardziej że wprowadziła do nas w samą istotę sporu o sztukę socjalistyczną.

Jak wiadomo, Erenburg kładzie w swym artykule główny nacisk na analizę psychologiczną bohatera utworu literackiego. Zdaniem Erenburga — zresztą całkowicie słusznym — czytelnik, którego interesuje proces produkcji, z większą dla siebie korzyścią sięgnie do literatury technicznej, w powieści natomiast szuka on przede wszystkim odzwierciedlenia uczuć i przeżyć współczesnych mu bohaterów. „Jest jedna dziedziną, na której pisarz ma obowiązek znać się lepiej od swych współobywateli — pisze Erenburg: — to wewnętrzny świat człowieka”. „Literatura piękna jest — według trafnego określenia autora „Pracy pisarza” — emocjonalnym cementem społeczeństwa”.

Do tych wniosków W. Jeremiłow wprowadza korektę, dotyczącą stopnia zaangażowania samego autora w życie, które w swej powieści ukazuje.

„Wewnętrzny świat człowieka radzieckiego — pisze Jeremiłow (Znamia, nr. 8, str. 151-2) — nie może być ukazany przez artystę bez zrozumienia tego, że w naszym społeczeństwie wszystkie problemy budownictwa, wszystkie procesy produkcji wypełnione są głę-

boką wewnętrzną ludzką i poetycką treścią”.

Nie wystarczy powiedzieć — jak to czyni Erenburg — że „jeśli rzekomy Iwan jest hutnikiem, to pisarz ukaże go również i w zakładach: praca jest częścią życia człowieka, a w naszym społeczeństwie stanowi istotną część życia”. Niewątpliwie tak jest, odpowiada na to Jeremiłow, ale i w społeczeństwie burżuazyjnym praca stanowi istotną część życia człowieka. Różnica zasadnicza, „jakościowa”, polega na tym, że w społeczeństwie socjalistycznym problem pracy jest problemem nie tylko bytowym, lecz również „osobistym”, nierozdzielnie związanym z tym, co stanowi główną treść istoty i życia człowieka, co jest ściśle połączone z jego światopoglądem, od czego zależy jego szczęście, co warunkuje proces wzrostu i wzbogacania się jego indywidualności. Każdy socjalistyczny zakład przemysłowy jest — według określenia Majakowskiego — zakładem „produkcującym szczęście”. Na tym też polega poezja nowego, socjalistycznego życia — poezja nie sielankowa, lecz heroiczna.

Stąd płynie prosty wniosek: pisarz nie potrafi naprawdę pokochać swego bohatera (a o to chodziło Erenburgowi w jego teorii psychologii twórcy), rzekomego Iwanowa, jeżeli nie pokocha procesu produkcji, której Iwanow poświęca całą swoją istotę, całą swą pasję twórczą, całą siłę swego umysłu i uczuć; jeżeli nie zrozumie poezji tej produkcji. Nie można przeciwstawić dzieła człowieka jego indywidualności, są to bowiem w społeczeństwie socjalistycznym pojęcia nierozdzielne.

Nie należy zapominać, że literatura radziecka ukazuje nie tylko obraz danego, konkretnego bohatera, lecz przede wszystkim syntetyczny obraz danej rzeczywistości społecznej. Głównym jej tematem jest człowiek radziecki, czyli konkretna, niepowtarzalna indywidualność ludzka w jej powiązaniu z życiem historycznym całego narodu.

3

Wypowiedź W. Jeremiłowa dotycząca „biografii twórczej” pisarza niezmiennie rozszerza krag indywidualności artysty. Tego samego dotyczą wypowiedzi pisarzy K. Fiedina i K. Simonowa. Fiedin na naradzie poświęconej literaturze i sztuce literackiej zwrócił uwagę na trudności i zarazem możliwości sztuki radzieckiej, która ma do

czynienia z rzeczywistością podlegającą nieustannemu procesowi kształtowania się, stałego wzrostu, z ludźmi rosnącymi i doskonalącymi się w tym stałym ruchu rozwoju i postępu. „Odtwarzając nowego człowieka — powiedział Fiedin — powinniśmy ukazywać także jego świat realiów... W literaturze klasycznej świat realiów jest niezwykle bogaty, lecz zawsze służy ujawnieniu charakterów ludzkich” (Lit. Gazeta, nr 30, z 11 marca 1954 r.).

Na tej samej podstawie Simonow, przemawiając na II Zjeździe Pisarzy Azerbajdżanu, wystąpił w obronie terminów „powieść produkcyjna” lub „kolchozowa”, jeżeli określają one twórczość dzieła sztuki, a nie temat w sensie: „powieść o nowych metodach wiercenia nafty lub o nowych metodach sadzenia kartofli”. „Tematy w sztuce są określane inaczej — mówi Simonow — przede wszystkim w powiązaniu z człowiekiem, z jego osobowością, wewnętrznym życiem i działalnością. Krótko mówiąc, tematem literatury jest zawsze człowiek i jego czyny, a nie odwrotnie: czyny i dopiero jako dodatek do nich — człowiek... Bez żywych ludzi produkcja jest martwa!... Natomiast gdy w książce występują żywi ludzie i gdy poznajemy ich, zaczyna się kochać ich dzieło, wówczas nie są straszne żadne opisy procesów technologicznych, żadne szczegóły produkcji... O takie więc utwory będziemy walczyć z ludźmi leniwego umysłu, którym brak dociekliwości, z estetami uciekającymi od pojęcia produkcji, od szlachetnego i poetyckiego słowa praca”.

4

Jednym z najważniejszych epizodów dyskusji przedzjazdowej stała się surowa krytyka, której poddano szereg artykułów umieszczonych w czasopiśmie *Nowyj Mir*. Prezydium Zarządu Związku Pisarzy Radzieckich ogłosiło rezolucję potępiającą idealistyczny kierunek tych artykułów, których autorami są W. Pomierancew, M. Lifszyc, F. Abramow i M. Szczegółow. Rezolucja mówi o szkodliwej tendencji artykułów podających w wątpliwość ideowość literatury radzieckiej i jej wierność realistycznej prawdzie, M. in. Pomierancew w rozprawie pt. „O szczeroci w literaturze” podał w miejsce „ogólnie uznanych, społecznie-klasowych kryteriów — kry-



Zdzisław Głowacki

Spotkanie

teria pozaczasowe i ponadspołeczne”; M. Lifszyc podał w wątpliwość potrzebę w literaturze tematyki pracy, procesów produkcyjnych.

Dyskusja nad błędami czasopisma *Nowyj Mir* i rezolucja Prezydium ZPR są wynikiem poprzedzających je wypowiedzi w szeregu pism, mianowicie: w *Prawdzie*, w *Komunistyce*, w *Lit. Gazecie*, w *Znamia* i in., potępiających fałszywą, niesocjalistyczną postawę autorów błędnych ideologicznie artykułów. Do tych wypowiedzi należy również cytowana już wyżej wypowiedź Simonowa na zjeździe w Azerbajdżanie, zamieszczona w wyjątkach w czasopiśmie *Znamia* pt. „O tym, co podlega i nie podlega dyskusji”.

Sens wypowiedzi Simonowa, zwróconej przeciwko tezie „szczeroci” (Pomierancewa) sprowadza się do tego, że szczeroci jest, owszem, potrzebna, ale nie jakaś szczeroci abstrakcyjna, ponadczasowa, lecz szczeroci człowieka o jasno sprecyzowanych poglądach, budowniczego nowej rzeczywistości. Nikt przecież nie może zakwestionować szczeroci tych autorów burżuazyjnych,

którzy zgodnie ze swoim światopoglądem odrzucają zasady marksizmu. „Ale jakaż jest dla nas wartość takiej szczeroci? — zapytuje Simonow. — Czy mamy chwalić tych pisarzy za szczeroci tylko dlatego, że szczeroci jest zaletą w literaturze w ogóle? Utwory ich mogą nawet zawierać wiele obiektywnie prawdziwych szczegółów, ale nie dostrzegając rzeczywistego kierunku historii, pisarze ci nie mogą ukazać nam całej wielkiej prawdy o życiu narodu, o rzeczywistości”.

Sklonność do ujmowania zagadnienia szczeroci i prawdy w sztuce jako pewnych oderwanych kategorii sprzeczna jest w praktyce z zasadami metody realizmu socjalistycznego. Pisarz nie staje się realistą socjalistycznym mechanicznie, tylko dlatego, że jest obywatelem kraju socjalistycznego. Realizm socjalistyczny wynika ze światopoglądu marksistowskiego. Ten, kto zapomina o tezie partyjności literatury, na próżno szermuje terminem realizmu socjalistycznego: w jego ustach termin ten staje się słowem bez pokrycia. Jedynie pisarz zdolny do odróżniania zjawisk ważnych od błahych, dostrzegania społecznego charakteru zachodzących w życiu konfliktów, ogólnych tendencji w rozwoju społeczeństwa, umie ukazać prawdę o życiu, prawdę o procesach zachodzących w ludziach, słowem, może pretendować do miana realisty socjalistycznego.

5

Ostro i dobitnie postawiona sprawa artykułów drukowanych w czasopiśmie *Nowyj Mir* stanowi potwierdzenie kryteriów wysokiego poziomu ideowego literatury radzieckiej. Nie przypadkowo *Lit. Gazeta* zamieściła sprawozdanie z dyskusji nad błędami miesięcznika *Nowyj Mir* pod tytułem: „O wysoki poziom ideowy naszej literatury!”

W czerwcu r.b. na otwartym zebraniu partyjnym pisarzy moskiewskich A. Surkow wygłosił referat „O podniesieniu poziomu pracy ideowo-wychowawczej”. W dyskusji nad referatem wymieniano przykłady niepowodzeń twórczych w wyniku obniżenia się poziomu ideologicznego pisarzy. Zagadnienie jakości artystycznej jest więc bezpośrednio zależne od treści politycznych i moralnych artysty. Pisarz oderwany od życia, od pracy budowniczych socjalizmu, traci razem z poczuciem rzeczywistości — poczucie piękna, a jego twórczość zawisa w próżni idealistycznych koncepcji.

LEON GOMOLICKI

PRZED ROCZNICĄ ŚMIERCI JULIANA TUWIMA

Dnia 27 grudnia br. upływa pierwsza rocznica śmierci Juliana Tuwima. Społeczeństwo łódzkie przygotowuje się do obchodu tej rocznicy.

Zarząd Oddziału Łódzkiego Związku Literatów Polskich na specjalnym posiedzeniu podjął jednomyślną decyzję w sprawie wystąpienia do Rady Narodowej w Łodzi, aby Aleję Parkową, prowadzącą do szkoły, do której uczęszczał Julian Tuwim, nazwać Jego imieniem.

Na tymże posiedzeniu Zarząd Oddziału Łódzkiego ZLP postanowił wydać numer „Łódzi Literackiej” poświęcony w znacznej mierze pamięci Wielkiego Poety-łódzianina.

SEWERYNA SZMAGLEWSKA

PRAWDA PRZYJAŹNI

(Dokończenie ze str. 1).

Dużo czasu od chwili mojego powrotu do Polski, dużo wysiłku, kosztowało mnie nauczenie się tego, jak mówić o Związku Radzieckim w sposób, który by nie był kwitowany przez audytoryum głębokim milczeniem. Koturnowość informacji polegała na owym obrazie nadmisyłowej doskonałości, podczas gdy natura ludzka tak już jest ukształtowana, że najchętniej darzy miłością to, co słabe, nieporadne, co boryka się i potrzebuje pomocy. Albo — to, co mocne, ale zmagające się ze złem, stające śmiało do walki, podejmujące najwyższy wysiłek. Nie łatwo pokazywać wysiłki narodu, wysiłki jednostki — w perspektywie rozwojowej. Ale prawdą jest, że niektórzy zainteresowanie i sympatię budzi w polskim czytelniku sierota wojenna, której ojciec, żołnierz Armii Radzieckiej, padł gdzieś pod Krakowem czy Wrocławiem niosąc nam wolność. Wiadomość o tym, że dziecko to żyje w Domu Sierot, że nie tylko ma czułą opiekę, ale że czekają je w społeczeństwie tak dobrze pracujące dla jego pełnego ukształtowania instytucje, jak pałace i obozy pionierów, jak dom książki dziecięcej, jak otwarta droga do szkół, do których istnieje tylko jeden klucz — talent poparty pracą — wiadomość taka budzi ludzki odruch serca: może list wysłać? Może jakoś pomóc? W takiej chwili „mowa milczenia” przestaje działać. Bo przecież człowiek, który zaprzagnął pomoc, zaprzagnął nie czego innego, jak udziału w budowie socjalizmu. W nadętym obrazie, stworzonym przez ludzi beznamiętnych nie było miejsca na walkę poglądów wewnątrz Związku Radzieckiego. Tymczasem ostre dyskusje o sztuce, o realizmie socjalistycznym, o sumieniu i obowiązkach twórcy wzbudziły zainteresowanie na całym świecie. Prości ludzie słuchają sprawozdań z tych dyskusji z ogromną nadzieją. Obraz kraju socjalizmu staje się niepodobny do okolicznościowych wykładów, jest bliski przez ukazanie toczącej się tam walki

o prawdę. Istota demokracji polega m. in. na możliwości swobodnego wypowiedziania się wszystkich obywateli. W głosach dyskusji radzieckich nasz obywatel odnajduje własne wątpliwości, staje do walki, wypowiada się po stronie Simonowa czy Erenburga, z onieśmielonego widza przemienia się w czynnego uczestnika walki.

Najważniejszy jest człowiek. Zza wieżowców, zza cyfr, zza najpiękniejszych fotografii musi wyrzeźcić człowiek żywy, a więc mający zalety i wady, skłonny do uciech, ambitny w pracy, kochliwy albo nie, nerwowy albo spokojny, śmieszny albo budzący wzruszenie. Człowiek bliski, dzięki któremu poznajemy jego rozległy, stępami oddychający kraj.

Pamiętam taki obrazek z Moskwy: Zwiedzaliśmy miasto sunąc autokarem od Kremla do nowego Uniwersytetu (będącego jeszcze wtedy w budowie), od Muzeum Lenina do nowych wieżowców. Rozległe ulice, mające coś wspólnego z szerokością kraju i Wołgi, szumiły wielkimi gwarem. Wszystko zdawało się być wyteżone w dzień jutrzejszy, bogatszy od wczorajszego o tysiące luksusowych izb, nowe ZiS-y, o książki wydawane coraz liczniej, o doskonałe ciągle formy życia. Nasza przewodniczka przystanąła na moment przed szarym gmachem i zapatrzyła się w jego okna.

Tu — powiedziała szeptem — w czasie działań wojennych oddawałam trzykrotnie mojego małego. Wycieńczenie głodowe. Z trudem odratowali.

W tej chwili zawołano nas do auta. Znów potoczyły się rozmowy, żarty, śmiech, pytania, odpowiedzi. Tamta uwaga padła i ścisła. Zdażyłam ledwo pomyśleć, że dzisiejszy, kwitujący odbudową, syty i szczęśliwy kraj okupił wielkimi ofiarami i wielkim poświęceniem ogółu — złożonego przecież z jednostek — swoje zwycięstwo i naszą wolność.

Kto wie, czy to jedno zdanie przewodniczką nie stało się dla mnie błyskiem pokazującym cenę, jaką zapłacono za równowagę i pogodę dzisiejszych dni.

Mówiąc o Związku Radzieckim najtrudniej chyba ustrzec się przed tonem kadzidlanych pochwał.

Kraj socjalizmu powstał z rewolucji. Nie wolno więc ukazywać go w postaci monumentalnego monolitu. Jest to żywy twór oddychający wszystkimi tkankami. Jest w ciągłym ruchu, w poszukiwaniu, w ustawicznym przetwarzaniu życia. Nasz naród, nasz lud długo żył w zakrzepłych feudalnych formach. Warto mieć zawsze przed oczyma jego dzieje, jego krzywdy, jego wiekami narosłą, jakże uzasadnioną nieufność — i równocześnie widzieć w żywej wyobraźni drogę, jaka się przed nim otwiera, drogę, na którą wchodzi, żeby sobie wywalczyć jutrzejszy dzień.

„Mowa milczenia” nie zawsze powstaje wyłącznie na podłożu klasowo wrogim. Niekiedy wielkopańsko-feudalny bełkot starego świata, niezrozumiały już dla nas, ale jakże często wpadający w ucho, potrafi rozejść się szeroko poza granicami swojej klasy. Ow człowiek, który w wagonie kolejowym rzucał pełne niechęci słowa, nie rozumiał rewolucji, nie pragnął wziąć w niej udziału. Właśnie wskutek tego stał się dla mnie znakiem ostrzegawczym, semaforem wyrastającym w ciemności i sygnalizującym:

Uwaga! Nie tędy droga. Mówić o „raju” to nie sztuka. Trzeba słyszeć głos własnego narodu. Znać jego ból. Wstydić się za jego błędy. Pomagać mu w znalezieniu właściwej drogi. Przeżywać dumę z racji jego zwycięstw. Łatwiej wtedy wskazywać, jak podobne sprawy przebiegały w Związku Radzieckim. Łatwiej budzić tęsknotę do zrealizowanej, pełnej, z historycznych tradycji wyrastającej rewolucji.

Pojutrze wręczamy dwutysięczną legitymację TPPR.

Szybkim rzutem oka sprawdza Łysakowski wrażenie, jakie wywarła jego informacja, a potem wyklada na biurko parę arkuszy maszynopisu, tak jakby zagrywał atutowego asa. Patrzę ze zdumieniem na te arkusze.

— Co to jest?

— Program imprez w Miesiącu Pogłębiania Przyjaźni — odpowiada Łysakowski tonem wyrażającym przekonywanie, że ów program wart jest szczególnego przestudiowania.

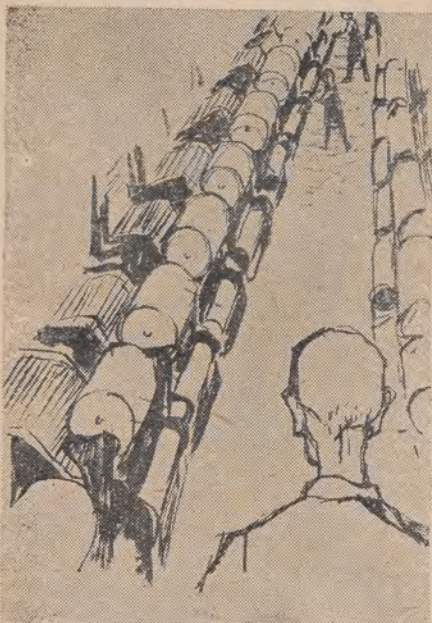
Istotnie — program obfity i urozmaicony. Przez chwilę namyślam się, czy nie należałoby go przepisać lub zanotować co ciekawsze imprezy, lecz rezygnuję z tych zamiarów. Nie mam szczególnego nabożeństwa do programów utrwalonych na papierze, wolę — mówiąc słowami eklezjasty — „po owocach poznać je”. Zresztą, nie przyjechałem tu „po lini TPPR”, jak zdaje się mniemać Łysakowski; trzeba zlikwidować to nieporozumienie.

— Cemu nie, takich znajdziecie tu dosyć. — Wysłuchawszy mnie Łysakowski zamyślił się na chwilę, jakby się zafrasował. — Tył ich tu jest, że nie wiadomo nawet, do kogo was skierować. Przecież wszyscy nasi majstrowie od nich się uczą; mechanicy z warsztatów — tak samo.

— Bardzo dobrze, ale nie będę przecież rozmawiał ze wszystkimi majstrami i mechanikami.

— Przecież wiem, że nie — mruknął Łysakowski i nagle ożywił się, widocznie wpadł na jakiś pomysł. — Wiecie co? Przyjdziecie tu do nas jutro. Porozumiem się z ludźmi i zorganizujemy wam spotkanie. Dziś i tak niewiele da się zrobić; koniec zmiany niedaleko, ludzie się rozejdą, bo każdy ma jakieś swoje sprawy.

Na baraku, w którym mieści się świetlica, widnieje wielki napis: „ZPB im. Nowotki to żywe świadectwo pomocy i przyjaźni wielkiego ZSRR, rękami wielkości naszego narodu”. Miałem trochę kłopotu z odczytaniem tego dość zawiłe zbudowanego zdania, tym bardziej że czytałem je od końca, jak każdy przechodzień idący od kombinatu ku miastu. Patrząc na odkrytą wieżę Fary i masyw pijarskiego kolegium myślałem o kłopotach przetłumaczenia treści umieszczonego na świetlicy hasła na język faktów i uczuć ludzkich. Tych faktów i tych uczuć spodziewałem się doszukać w jutrzejszej rozmowie z ludźmi, którzy przy budowie i urządzeniu kombinatu pracowali z radzieckimi instruktorami. Wiedziałem, że niełatwe są takie rozmowy, że trudno w nich znaleźć to, czego się szuka. Tak więc, choć nie miałem wątpliwości co do organizacyjnych zdol-



ności Łysakowskiego, z niepokojem myślałem o jutrzejszym spotkaniu.

W ażurowym cieniu, jakby rzucają akacje ulicy Jerolimskiej, zatrzymałem się usłyszawszy, że ktoś mnie woła. Ten ktoś nazwał mnie imieniem, jakie nosiłem dziesięć lat temu, wiedziałem więc od razu, w jakim czasie zawiązała się nasza znajomość. Nie od razu jednak poznałem N. Zmienił się: zapuścił włosy, czoło miał wyższe i poszerzone łysiną.

— Człowieku, ty?

Uśmiechnął się lekko na widok mojego zdumienia.

— Już od roku przeszło — powiedział.

— Amnestia?

— Tak.

Taki był początek naszej rozmowy, rozmowy zgola przypadkowej i — jak mi się zrazu zdawało — nie mającej nic wspólnego z tym, o czym jutro mówię z ludźmi kombinatu. Nie mogłem myśleć inaczej, dowiedziawszy się, że N. nie pracuje w kombinacie.

Nazajutrz znalazłem się w lokalu Rady Zakładowej nieco wcześniej. Na-

EDWARD SZUSTER

DZIEŁO SASZY SUSŁOWA I TOWARZYSZY

leżało poczekać. Siedziałem przy oknie, w które zaglądały ciekawie gałęzie przekwitłej lipy. Adamusowa i Turniak załatwiali jakieś swoje sprawy.

— Jak tylko wróci, niech tu po nas zajdzie — mówiła Adamusowa do mikrofonu słuchawki telefonicznej. — Musimy, towarzyszu dyrektorze, dopiąć już tę Trzepticę. Już słuchać nie mogę, jak Komitet wciąż dogaduje, że „Nowotko” jeszcze sprawy nie załatwił.

— A co wy macie do roboty w Trzeptnicy? — spytałem zaciękawiony.

— Spółdzielnię montujemy i umowę o współzawodnictwo chcemy podpisać. — Sądząc z tonu Turniaka można by pomyśleć, że podobne sprawy załatwia co parę dni. — Właściwie wszystko tam już gotowe, kawał roboty zrobiony. Tylko dopiąć, i koniec.

Zaczęli zastanawiać się nad tym, z kim wypadnie pogadać, kogo odwiedzić w Trzeptnicy. Moje myśli powędrowały do wczorajszej rozmowy z N. Skierowało je ku niej słowo „Trzeptnica”. Nazwę tej wsi usłyszałem po raz pierwszy właśnie wówczas, gdy poznałem N.; w tych oddalonych od dróg i kolei okolicach operował nasz oddział. Dziesięć lat temu był w Trzeptnicy dwór, dziś Adamusowa i Turniak wybierają się tam, aby „dopiąć” sprawę spółdzielni produkcyjnej.

W ciągu roku pobytu w oddziale N. przywykł do tego, że obowiązkiem jego jest wykonywanie rozkazów. Wykonywał je sumiennie i skrupulatnie wówczas, gdy nad Pilicą hitlerowcy budowali okopy, i wówczas, kiedy Armia Radziecka i Wojsko Polskie zdobywały Berlin. Wtedy także kręcił się N. w nadpilicznych lasach i choć dostrzegał, że coś niecoś zmieniło się w Polsce, że w osadach i wsiach nie spotyka się już hitlerowskich żandarmów — wykonywał rozkazy, chroniąc się tarczą „żołnierskiego honoru” przed wątpliwościami i niepokojem. Idąc tą drogą znalazł się N. latem 1945 r. w okopach, które pod batem hitlerowskim wykopalili ludzie z jego rodzinnych stron, z okolic Sulejowa, Ręczna i Przedborza. Z tych okopów N. wraz z podobnymi sobie „żołnierzami” strzelał przez cały dzień do żołnierzy radzieckich wracających z Berlina do domu. Okopy zbudowane przez hitlerowców zostały jednak wykorzystane zgodnie z intencją wroga — strzelali z nich młodzi chłopcy z okolic Przedborza, Ręczna czy Sulejowa, a wśród tych, którzy polegli na przedpolu, znalazł się może któryś z obrońców Stalingradu lub któryś z oswobodzicieli Piotrkowa.

Mniej więcej na pół godziny przed rozpoczęciem pracy przez nową zmianę sapie przed kombinatem lokomotywa wąskotorowej kolejki, ciągnąca kilka osobowych wagonów. Niewiele już w tych wagonach ludzi; większość pasażerów wysiadła przed chwilą i wkrótce znajdzie się w murach kombinatu. Idą grupkami dziewczęta z Sulejowa, chłopcy spod Łęczna, kobiety z Uszczyna, idą nawet mężczyźni z powiatu opoczyńskiego, zza Pilicy. Przy wejściu do fabryki spotkają się z gromadkami ludzi zdążających od strony miasta, z ludźmi, którzy do pracy przyjechali koleją od Rokiczin albo od Gorzkowic. Te codzienne odpływy i przypływy ludzi do kombinatu ogląda N. już od roku, mieszka przecież opodal fabryki.

Z zewnątrz, od ulicy, kombinat nie wygląda specjalnie imponująco; najbardziej okazałe prezentuje się budynek straży ogniowej z szeroko rozwartymi wierzchołkami garażu, w którym widać lśniące a poważne samochody pogotowia, beczkowozy i wóz drabinowy. Hale produkcyjne, leżące w głębi placu, wyglądają skromnie — ot, zwykły fabryczny budynek, tyle że czysty. Dopiero znalazłszy się wewnątrz, ze zdumieniem szukamy wzrokiem ściany zamykającej przestrzeń hali. Wierzyć się nie chce, że tak wielką, pełną zgrzytliwego szumu motorów przestrzeń pokrywa jeden dach nie podparty żadnym filarem czy słupkiem.

— Sto trzydzieści metrów! — krzyczy mi w ucho Pawełczyk i idzie szybko między szeregami blźniących maszyn. Poły rozpiętego kłita podfruwają za nim jak niewyrosnięte skrzydła; chcą dotrzymać kroku memu przewodnikowi, muszą pobiec. W takich warunkach trudno o dokładniejszą obserwację otoczenia; trudno także nie dostrzec natarczywie wyraźnych osobliwości tej

szczególnej fabryki: czystości i świeżości powietrza, niewidocznego, a przecież wszędzie docierającego światła, godnej elegancji maszyn czy wreszcie parkietu, po którym goni Pawełczyka.

— Czy wiecie, jak wyglądają przedsiębiorstwa w starych łódzkich fabrykach? — wykrzykuje, pochylając się do Pawełczykowego ucha. Kiwnięciem głowy odpowiada, że wie, i nie zwalnając kroku idzie dalej. Scigam go wytrwale, przyglądając się jednocześnie dziewczętom obsługującym urządzenia, lecz bez pośpiechu całe szeregi maszyn. Chyba nie wszystkie one wiedzą, gdzie i jak pracowały ich rówieśnice sprzed dwudziestu, trzydziestu lat; praca w tej fabryce, wzniesionej z pomocą radzieckich inżynierów i techników, jest już dla nich rzeczą normalną i codzienną.

— Na początku tośmy się często zmówić nie mogli — odpowiada Merk. — Jak trzeba robić, pokazali, tu i bez gadania można było zrozumieć, o co chodzi. Ale przy robocie — inna sprawa;



robić trzeba, a nie przyglądać się. Przy robocie ciągle coś człowiekowi potrzebne: śrubokręt, łom, nakrętka. Tego się na migi nie pokaże. Dużo było na początku zamieszania i śmiechu.

— Na mnie wołali „Kazia” — śmieje się Czerbakow — Kazimierz im nie wychodziło.

— Ja, na przykład, montowałem maszynę na obraczkowej, razem z Pietią — mówi dalej Merk. — On mnie nauczył, jak się nazywają części po rusku, ja jego — jak po polsku. Dobrze się z nimi pracowało, ludzie z nich przychylni. Sasza to się nawet czytać i pisać po polsku nauczył.

— Pamiętacie, jak on tu ostatni raz przyjechał — wtrąca Pawełczyk. — Robimy w warsztacie, a tu ktoś przychodzi i mówi: „Sasza przyjechał”. — To my — buch we drzwi i przez przedziałnię do wyjścia. Biegnę między maszynami, inną znów uliczką Cichosz i ktoś drugi. Aż zamigotało na sali, tak się ludzie śpieszyli. Przadki patrzy — co się dzieje. A Sasza powiadała, że jak dojeżdżał, to mu się od razu wesołe od piotrkowskiego powietrza zrobiło.

— Czekajcie — przerywam Pawełczykowi. — Kiedy on tu przyjechał?

— Niedawno, parę tygodni temu.

— Z Moskwy?

— Nie, z Zambrowa. Oni teraz wszyscy w Zambrowie robią.

Merk skrzywił się.

— Znam Zambrow, byłem tam przed wojną. Dziura. Żadnej kultury nie ma, a ludzie... — Lekceważący ruch ręki dostatecznie wymownie zastąpił pełniejszą opinię Merka o ludziach spod Zambrowa.

Nie wiem, czemu tak niepokojnie traktuje Merk ludzi, z którymi pracuje teraz jego przyjaciel Pietia. Wiem natomiast, że właśnie w okolicach Zambrowa czy Fastów także strzelano do radzieckich żołnierzy w roku 1945; wiem, że w tych okolicach szczególnie długo i uporczywie trzymały się wszelkiego rodzaju bandy. Teraz pracuje tam i Sasza Susłowa, i Oleg Łatyszew, i Bielajew — ten od cewiarek — i Aleksander — szef montażu samoprząśnic obraczkowych — a wraz z nimi prawie setka radzieckich inżynierów, techników i majstrów. Piotrkow-

Rys. Benon Liberski

gruncie rzeczy wiedziałem o Saszy, a jednak imię tego moskiewskiego monterza zapamiętałem. Może dlatego, że tak serdecznie i ciepło wspominali go ludzie, z którymi rozmawiałem. Tak, na pewno dlatego.

Sasza — jak słyszałem — ma żonę, ma swój dom. Tęskni na pewno do żony, chciałby chyba wrócić do domu, a jednak od trzech lat pracuje w Polsce. Był w Piotrkowie, jest teraz w Zambrowie, potem — prawdopodobnie — pojedzie do Fastów. Wreszcie Sasza wróci do domu, do rodzinnej Moskwy, wróci też jego towarzysze. Zostaną po nich w Polsce wielkie i trwałe ślady: wspaniałe zakłady pracy i ludzie umiejący pracować i umiejący żyć, to znaczy — walczyć o to, by było lepiej i piękniej. Tacy ludzie już zresztą są, jedzą „dopinać” spółdzielnię produkcyjną w Trzeptnicy.

— W 1946 roku, przed aresztowaniem, mogłem wyjechać przez Czechosłowację do strefy amerykańskiej. Nawet chciałem, namawiałem Staśka, a on — nie. „Tu są ludzie potrzebni” — mówił. No i zostałem, chociaż miałem już tego dość; chciałem się uczyć i pracować. W więzieniu spotkałem się z esesmanem. „Nie czeka było szczelać do Niemcy” — mówił.

Oto co usłyszałem od N. podczas naszej długiej rozmowy. Słuchałem w milczeniu, bo i co można mówić człowiekowi robiącemu rachunek ze swych dwudziestu ośmiu lat. N. też zamilkł wspomniawszy owego esesmana; bolesne to było wspomnienie.

— Myślisz, że w strefie amerykańskiej uczyłbyś się, pracował?

Zamyślił się na chwilę, potem powoli pokręcił przecząco głową.

— Chyba nie. Prędzej Vietnam albo Korea. Może nawet zrzuciliby mnie noćą do Polski jako spadochroniarza. — Westchnął głęboko. — Teraz się chociaż żyje i pracuje. Prawie jak człowiek.

Tak oto zastanawiał się N. nad tym, czy ostatecznie nie stało się lepiej, że został w kraju i po odsiedzeniu kary wraca do normalnego życia. Dziewięć lat temu strzelał do radzieckich żołnierzy, dziś widzi w naszym życiu coś, co go pociąga, interesuje.

Sasze Susłowa ucieszy chyba wiadomość o tym, że w duszy N. kiełkuje wielka prawda o przyjaźni i twórczej współpracy, która zrodziła kombinat i jego ludzi, a dziś buduje Zambrow i Fasty.

EDWARD SZUSTER

ANNA KAMIEŃSKA

Rys. Czesław Sadowski

BURZA

Zwariowany wicher, opętane drzewa.
Lipa gałęziami pod oknem powiewa.
Galon chmur po niebie, deszczu zawierucha
I znów granat słońca nad głową wybucha.

O szalone serce, o lzy nierozumne,
O wiersze bez sensu smutne i piołunne.
Szamocze się z wiatrem furtka otworzona,
Drży na ścieżce długo gałąź potracona.



Wody biegnące,
ścieżki dzwoniące
powiedzą o życiu,

piórko, co spada,
łuska owada
w suchym igliwiu,

mokre jagody,
warg suchych głody,
buki bolesne,

potoki szklane,
liście blaszane
płynące deszczem,

może powiedzą
gorzką niewiedzą
świerki wyniosłe

hukiem strumieni,
zapachem ziemi,
nieba ołowiem.



DUŻA I MAŁA OJCZYZNA

CZY MŁODZIEŻ może się zesta-
rzyć, nim przekroczy trzydzie-
sty, a nawet dwudziesty rok ży-
cia? Niestety — może. Oto pro-
blem, który stał się całą wyrazistością
tej jesieni przed wychowawcami, pra-
cownikami kultury, a w szczególności
nauczycielstwem na wsi.

W naszej prasie codziennej, na wielu
posiedzeniach Rad Pedagogicznych, Ko-
mitetów Rodzicielskich, a ostatnio
Konferencjach Sierpniowych nauczy-
cieli — padały alarmujące głosy. Za-
rzucono młodzieży wiejskiej — chuli-
gaństwo, zagładanie do kieliszka, „obi-
janie boków”, ucieczkę od podejmowa-
nia trudnych zadań, niechęć do
pracy na roli czy pozostawania w ro-
dzinnych wsiach. Czy całej młodzieży?
Oczywiście — nie. Na jednej ziemi
rośnie kukurydza i pszenica, mamy więc
młodzież dobrą i różną, a dobrej z pe-
wnością najwięcej.

Wskazywano różne środki zaradcze,
które — jeżeli można uogólnić — spro-
wadzały się do postulatów wypełnienia
„próżni”, w jakiej żyje część młodzie-
ży wiejskiej — bujnym, twórczym ży-
ciem kulturalno-oświatowym. Rzeczy-
wiście, jest to jedna z dróg prowadzą-
cych — użyjmy paradoksu — do od-
młodzenia naszej młodzieży. Ale nie
jedyna i może nawet nie najważniejsza.

Kiedy bowiem uświadomić sobie
w pełni wskazania II Zjazdu, okaże
się, że podstawowe kłopoty sprawiają
tylko w części mało atrakcyjne formy
pracy z młodzieżą. Trudności tkwią
głębiej — dotyczą koncepcji wychowa-
nia.

JEST W NAS wszystkich, i tych
„wielkich”, i tych „małych”. Użyjmy ogó-
lnie znanych przykładów. Mickiewicz
pozostanie na zawsze pisarzem całego
narodu, ale serce zostawił w „małej
ojczyźnie” — na Litwie, Szołochow to
pisarz radziecki, ale zarazem piewca
umiłowanej kozackiej dołki, Bro-
niewski, poeta rewolucyjnego proletari-
atu polskiego, wyrwa się na rodzinne
Mazowsze.

„Mała ojczyzna” miała w latach ka-
pitalizmu tragiczną siłę przyciągania.
Tęskniły za nią pokolenia sproletaryzo-
wanych chłopów, rzuconych za ocean.
Była jak gwiazda przewodnia, która
zmuszała wielu emigrantów do powro-
tu w rodzinne strony, przywiodła ma-
łorolnego Bide z nadalekiej Wołgi do
Rzekucia, na nową nędzę i poniewier-
kę.

Nie należy lekceważyć „małej oj-
czyzny”, gdyż i dzisiaj, w Polsce Lu-
dowej, stanowić może ona siłę, która
przyciągnie młodzież w nowy, twórczy
sposób.

W czasie tegorocznych Konferencji
Sierpniowych zwracali nauczyciele
wiele uwagi na sprawę tzw. „trudnej
młodzieży”. Jest jej niemało po gro-
madach. Siedzi na gospodarce, gdyż
ojciec „kazali”, pracuje w GS-ie, go-
rzełni czy mleczarni, gdyż — bodaj go!
— nakaz pracy. W postawie tej mło-
dzieży jest wiele niechęci do życia na
wsi, jakieś poczucie niesłusznego upo-
śledzenia wobec tego, że inni wygrali
szczęśliwie „wyscig do miasta”, uczą
się tam, pracują na dobrych posadach,
budują nowe domy i fabryki, podczas
gdy oni są skazani na monotonne, zru-
tynizowane życie.

I oto odsłania się owa „próżnia”, w
której zawisa pewna część młodzieży
wiejskiej. A dlaczego? Można by odpo-
wiedzieć: słaba praca kół ZMP, kiepsko
działająca świetlica, lichy biblio-
tekarz — słowem, brak życia kultural-
nego powoduje, że młodzi częściej za-
glądają dziewczętom w oczy niż do
książek i za często do kieliszka, w któ-
rym, jak wiadomo, więcej utonęło lu-
dzi niż w morzu. Zapewne, zapewne,
ale to nie wszystko.

Warto — dla wyraźniejszego posta-
wienia sprawy — dokonać pewnego
uproszczenia. W procesie wychowania
młodzieży wiejskiej zabrakło... „małej
ojczyzny”. Aby to zrozumieć, wystar-
czy tylko zdać sobie sprawę z tego, co
może dziać się w sercu młodego chłop-
ca, który nim ruszy do szkoły, musi
wypędzić krowę na łąkę, a później po-
magać przy pracy w polu, wystarczy
pomyśleć, ku czemu wyrwa się jego
serce, kiedy słyszy w szkole o pięknym
życiu młodzieży, mieszkającej w bia-
łych, jasnych domach, bawiącej się po
pracy w kinach, teatrach i parkach.
Jakże będzie wyglądało zestawienie
z małą rodzinną wioską, słomianą
strzechą ojcowskiego domu? Po no-
cach wołała go „duża ojczyzna” nazwa-
mi nowopowstałych miast, wizją

wielkich fabryk, gdzie „człowiek wię-
cej myśli, niż pracuje”.

Dobrze to było — czy źle? Oczywiście
— dobrze. Polska potrzebowała set-
tek tysięcy młodych rąk do pracy, aby
mogła powstać z gruzów Warszawa,
zajaśnieć w szczerym polu Nowa Hu-
ta... Nauczyciel w szkole, literatura,
piosenka, plakat, list przyjaciela, radio
i film, a nade wszystko sama rzeczywisto-
ść — agitowały młodzież za opusz-
czeniem rodzinnej wsi. Uciekał kula-
kowi parobek, pozbywał się ojciec
zmory działów, kiedy ruszali synowie
do miasta.

Ale dziś, jak wykazał II Zjazd, ma-
sowy odpływ do miast nie jest już ko-
nieczny, przeciwnie — „mała ojczyzna”
woła o młode, wysokokwalifikowane
ręce.

dem pozostania w gromadzie nie może
być nakaz ojcowski czy trudności ży-
ciowe, które uniemożliwiły zwycię-
stwo w „wyscigu do miasta”. W takich
bowiem wypadkach powstaje — często
wspominana przez pracowników kul-
tury — „próżnia”, w której żyje mło-
dzież. Doznaje ona uczuć podobnych
uczuciom człowieka, któremu odebrano
perspektywę pełnego życia, pełnego
rozmaitych możliwości, a nie ukazano
innej.

„Próżnia” jest zjawiskiem podwój-
nie groźnym. Po pierwsze dlatego, że
wszystkie młodzieńcze ambicje, plany,
marzenia, chęci dokonywania czynów
budzących uznanie — powinny być uży-
te do walki o nową, socjalistyczną wieś,
a niestety tak nie jest. Po drugie „pod-
starzała” młodzież, znudzona, nie wi-

moralizowanie ich za pomocą łapówek,
„fund”, rozbijanie kół ZMP-owskich
z pomocą kulackich synów — to nie-
które środki pogłębiania „próżni”.

I dlatego „mała ojczyzna” stanowi
pewien określony program wychowa-
nia młodzieży wiejskiej, którego reali-
zacja zaostreży walkę klasową na wsi
i przyspieszy zwycięstwo.

„Nowa wieś spółdzielcza — mówił
Bolesław Bierut na I Zjeździe spół-
dzielczości produkcyjnej — prócz agro-
nomów, techników, buchalterów, trak-
torzystów, mechaników, kowali, ślusar-
zy, specjalistów budowlanych itp. po-
trebować będzie coraz więcej praco-
owników do obsługi potrzeb kultural-
nych, zdrowotnych, oświatowych, pro-
pagandowych, sportowych, dla zakła-
dów opieki nad dzieckiem, kół arty-
stycznych itd. Skąd można czerpać te
kadry, jeśli nie spośród młodzieży wiej-
skiej, którą w tym celu winniśmy już
dziś planowo dobierać, szkolić, przy-
gotowywać i zachęcać do przyszłej
pracy...”

Idzie więc o to, aby wychowywać
młodzież ukazując jej wielkie możli-
wości pięknego, twórczego życia w gro-
madach wiejskich. Piękne życie... Trze-
ba to pojęcie dobrze rozumieć. Piękne
życie znaczyć powinno tyle, co życie
trudne.

Czy łatwo jest prowadzić poletko do-
świadczalne, przekonywać chłopów do
nowych rodzajów upraw, kiedy chytry
wrog niszczy je nocą, a za dnia wy-
śmiewa „wariatów sadzących gruszkę
na wierzbie”? Z pewnością nie, ale so-
cjalistyczna przebudowa wsi jest jedyną,
pełną trudów, lecz skuteczną drogą,
wiodącą młodzież do nowych zawodów
— inżyniera-rolnika, chemika, mecha-
nika, lekarza i wielu innych — które
będą na wsi spółdzielczej tak samo
potrzebne jak i w mieście.

Czy nie wychowujemy już młodzieży
w duchu walki o podniesienie życia w
„małej ojczyźnie” do poziomu „dużej”?
Owszem, wychowujemy. Można by
przypatrzeć przykłady z wielu gromad,
podobnych Podchojnom (Jędrzejowski),
gdzie darmo by szukać młodzieży wałę-
sającej się bez celu. Można by podać
bliski nam przykład — młodzież VII
klasy szkoły w Czarnożyłach (Wielu-
skie) w 80 procentach zgłosiła się do
szkół rolniczych, by po ich ukończeniu

pracować w macierzystych gromadach.
Rzecz w tym, aby ta metoda wychowa-
nia, tak niezbędna dla realizacji wska-
zań II Zjazdu, przeniknęła do wszyst-
kich terenowych kół ZMP, wszystkich
wiejskich szkół, wspierała pracę
w świetlicach, wiejskich Domach Kul-
tury. Najbardziej bowiem atrakcyjne
formy pracy kulturalno-oświatowej za-
wodzą, jeżeli brak im koncepcji, jeżeli
nie porywają do konkretnej pracy,
gdzieś bardzo blisko, że tylko ręką się-
gnąć...

WALDEMAR Babinicz, dyrektor
Liceum Instruktorów Świetlic-
owych i Teatralnych, opowiada,
jakie wrażenie wywarła na
chłopskich widzach inscenizacja wiersza
Majakowskiego: „...kiedy grający
rolę biedniaka-rewolucjonisty Józef Pa-
zera, dawniejszy parobek, zawałał z za-
improvizowanej sceny: swychodź, kto
bosi, bierz się do topora, sztorcem staw
kosy...”, z ław zaczęli powstawać nie-
którzy chłopcy i gęsiego szli na scenę”.

Olbrzymia moc literatury, jej, chci-
ałoby się powiedzieć, czarodziejские
środki oddziaływania na człowieka raz
jeszcze ujawniły się na scenie wiej-
skiej świetlicy.

Jan Czapnik, kierownik szkoły we
wspomnianych już Czarnożyłach, jeden
z tych, którzy realizują słynny na cały
kraj apel nauczycielek z Mikołeski,
wzywający do organizowania życia
młodzieży wiejskiej — przekształcił
wewnętrznie grupę chuliganów za po-
mocą... „Poematu pedagogicznego”. Ci-
byszewski, wódz miejscowych obibo-
ków, tak silnie przeżył rolę Buruna, że
dziś jest przodującym ZMP-owcem,
prawdziwym bojownikiem o przebudowę
rodzinnej gromady.

Te dwa wymowne przykłady wpływu
literatury na człowieka prowokują sta-
nowczo do podkreślenia jej wielkiej
roli w wychowaniu młodzieży.

Literatura „awansu społecznego”, uka-
zująca bohatera w drodze do miasta,
może poszczycić się osiągnięciami.
A literatura ukazująca głęboki sens
powrotu na trudne, lecz porywające ży-
cie w „małej ojczyźnie” — jakżeby po-
mogła. Gdyby tylko była...

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

SERGIUSZ WASILIEW

ZAMIŁOWANIE

Ono się rodzi już w cieniu kołyski,
Jego obecność matka pierwsza zgadnie,
Gdy prostą mądrość celów — nie tak bliskich —
Wyraża po swojemu, nieporadnie.

W twym rówieśniku, koledze, bliźniaku
Od pierwszej chwili pragnie się ujawnić.
Można domyślić się go z wielu znaków,
Z dziecięcych stapań, gaworzeń zabawnych.

Jednego dziwnie wzruszy, kiedy wiosną
Ujrzy rozsądę, wiaty kwiat, jabłonie.
Drugiemu mile ślusarskie rzemiosło
I chętnie młotek bierze w drobne dłonie.

Trzeci by ciągle patrzył na żelaza,
Na sterty cegieł i wory cementu.
Czwarty wciąż słowa współbrzmiające powtarza,
I jest dlań skarbem butla afamentu.

Jednak rozpoznasz w każdym — z ruchów, wzroku —
Tę wspólną cechę, dla której brak słowa —
Ten jak wichura uparty niepokój,
Ten znak szczególny pierwszych zamiłowań.

Poznajaj moce, które drzemią w ziarnie,
Własności lodu i przymioty stali,
Byś stał się twórcą, abyś bezustannie
Wysokie swe mistrzostwo doskonalił.

Cóż dumniejszego nad to, gdyś świadomy,
Że chociaż lata twe kresu dobiegą,
Zostaną sady, maszyny i domy,
Książki i pieśni — prace życia twego.

Przełożył TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI



Rys. Leszek Różga

SAMUEL MARSZAK

PIERWSZA KSIĄŻKA

Kiedy poznamy trud nauki pierwszej
I poskładamy w szereg słów sylaby
I sens ukryty odczytamy z wierszy
„Żąbło, jeleń, woda, ogień, starzec słaby” —

Dziecinna radość będzie lśniła jaśniej
Że nie na próżno człowiek pismo stwarzał;
Nagrodą będą dla nas pierwsze baśnie
Za przeczytanie stron elementarza...

I roztajemy się w tej wzniosłej chwili
Z naszym rodzinnym ukochanym domem,
Byśmy w rozmowie tylko z sobą byli:
Ja razem z książką i świata ogromem.

Przełożył GRZEGORZ TIMOFIEJEW

MAŁA ojczyzna” to nie zaczaro-
wana kraina, do której powra-
ca się w nieobowiązkowych
wspomnieniach, jakieś nieo-
kreślone bliżej, zasnutę mgłą ustronie
osobistych sentymentów, lecz miejsce
trudnej pracy, na które trzeba powró-
cić w rzeczywistości. Tylko że powo-
dem powrotu nie może być jedynie
nakaz pracy, tak jak jedynym powo-

dzająca możliwości pasjonującego, twó-
czego życia na wsi, łatwiej podlega
wpływowi wroga klasowego. Nauczycie-
le wiejscy słusznie zwracają uwagę
na fakt, że atak na młodzież jest
obecnie jedną z podstawowych form
walki politycznej, stosowanych przez
wroga. Rozpisanie młodych gospodarzy,
pracowników GRN, GS, POM-
istów, agronomów, zootechników, de-

BORYSA GORBATOWA poznałem w
Berlinie w 1947 roku. Odbiwał się
wówczas pierwszy powojenny kongres
pisarzy niemieckich, którzy po latach
hitlerowskiej niewoli mogli spotkać się
we własnej ojczyźnie. Ze Związku Ra-
dzieckiego przyjechała delegacja w
składzie: Borys Gorbатов, Walentin
Katajew i Wsiewołod Wiszniewski.

Dwóch z nich już nie żyje: Wiszniewski
zmarł przed dwoma laty, Gorbатов w
lutym b. roku. Widzę ich jednak wy-
raźnie, jakby ten zjazd odbywał się do-
piero wczoraj. Wsiewołod Wiszniewski
krępy, serdeczny, o ciemnych, do góry
zaczaszanych włosach. Walentin Kata-
jew wysoki, pochylony lekko do przodu,
zamysłony. Najruchliwszy z tej trójki
był Borys Gorbатов. Szczupły, wzro-
stu mniej niż średniego, o tyłej wygo-
lonej głowie i ze złotymi binoklami na
nosie, zwracał uwagę niezwykłą wprost
żywołnością. Można było powiedzieć o
nim: ruchliwy jak żywe srebro.

Opowiadał chętnie o swoim kraju,
o swej pracy, o kolegach-pisarzach.
Miał ten dar, który na ogół cechuje lu-
dzi radzieckich: prostotę i bezpośred-
niość w obcowaniu. Po paru chwilach
człowiek czuł się w jego towarzystwie
tak, jak w domu starego znajomego,
więcej: jak w domu przyjaciela.

Zapamiętałem jego opowiadania o
wyjazdach w teren. Najchętniej odwie-
dzał Donbas, w którym spędził swoje
dzieństwo i młodość, jemu też, Don-
basowi, poświęcił wiele reportaży i po-
wieści, ogłoszoną niedawno w polskim
przekładzie. Tak sobie dziś, po latach,
myślę, że właściwie każdy z pisarzy
winien mieć jakiś ulubiony zakątek
kraju, który często odwiedza. Tylko
wówczas istnieje gwarancja, że powsta-
nie z tych kontaktów i odwiedzin dzie-
ło prawdziwie głębokie i wzruszające.

Z rozrzuconiem mówił Gorbатов o
swojej córce, o domu; szybko mogliśmy
sobie my, stuchający go, wyobrazić, jak
mieszka, co robi, jak w ogóle żyje.

Spostrzegłem wtedy — a późniejsze
spotkania potwierdziły moje przekonanie
— że kontakt z pisarzem radzieckim
jest łatwiejszy niż np. z polskim. Zaw-
sze mi się wydaje, że nasi koledzy są
jaśniej sztywni, mniej przystępni. Borys
Gorbатов był uosobieniem prostoty
i bezpośredniości. Potrafił rozmawiać
przytłumaczając człowieka za guzik od
marynarki i dowodzić coś z żarliwym
przekonaniem lub wziąć go pod rękę i
chodząc tam i na powrót po sali dy-
skutować o różnych sprawach.

Był niezmordowany. Odpowiadał na
wszelkie możliwe pytania. W spotkaniu

z grupą pisarzy niemieckich rozpra-
wiał do północy o tym, jaką radość
daje mu praca pisarska.

Pisarstwo przypomina mi zawsze
pracę ogrodnika. Zwłaszcza ten okres
w jego pracy, który nazywamy plewie-
niem. Ileką pisarz nawracać musi
chwastów ze swego literackiego ogrodu.
Ale jak przyjemnie popatrzyć później
na dobrze obsiane grządki.

Mówił lekko, krótkimi zdaniem, czę-
sto używając obrazowych porównań,
uśmiechał się zza złotych binokli. Pisa-
rze niemieccy pełni byli dla niego podziwu.
Gorbатов bardzo przypadł im
do serca.

— Prawdziwy człowiek — mówili o
nim między sobą.

Wspominam ten pobyt w Berlinie i
uświadamiam sobie, że nie żyje rów-
nież dwóch świetnych pisarzy niemiec-
kich, którzy wówczas, w 1947 roku, byli
duszą kongresu. To Friedrich Wolf i
Erich Weinert.

Borys Gorbатов widziałem często
w ich towarzystwie. Wolf i Weinert
doskonale mówili po rosyjsku, obaj
czas wojny przebyli w Moskwie, pew-
nie stamtąd już znali się z Gorbato-
wem. Dziś o nich piszemy wspomnie-
nia. Byli to wierni i oddani sprawie
ludu synowie.

Odczuwamy stratę każdego pisarza,
ale jakże inaczej odczuwamy stratę
człowieka, któregośmy znali osobiście,
który utrwalił się głęboko w naszej
pamięci.

Pamiętacie opowiadania Gorbatowa
„Arktika na codzień”? Prawda, że czy-
taliśmy je z wypiekami na twarzy, peł-
ni podziwu dla odkrywczości i świeżo-
ści tematycznej tych utworów. Albo
powieść „Dusze nieumarzone”, o wal-
ce z okupantem hitlerowskim, czy
wreszcie obszerną książkę „Moje po-
kolenie”, obrazującą życie młodzieży
komsomolskiej w pierwszych latach
socjalistycznego budownictwa. Pamię-
tamy te utwory zawierające wiele ży-
wych postaci i wiarę w pełne zwycię-
stwo sił życia.

Przywożem wówczas z Berlina gru-
bą księgę utworów zebranych Gorbato-
wem z dedykacją. Patrzę dziś na te
rosyjskie słowa, na jego podpis, czytając
zebrane w tomie opowiadania i po-
wieści i uświadamiam sobie, że odszedł
od nas człowiek, który kochał życie
i umiał radować się nim zawsze, nawet
w chwilach najcięższych.

Toteż i pamięć nasza o Borysie Gor-
batowie będzie żywa i trwała. Taka,
jak on sam i pozostawione przez niego
utwory.

JAN KOPROWSKI

AGNIESZKA szorowała podłogę. Przez otwarte okna wlewał się słodkawy zapach lip, zagładających prawie do cienistej izby Maryjki. Z kuźni, zza sadu, dolatywało tu bicie młotów, a z dalekich łąk niosła się aż tutaj woń pierwszego, skoszonego na święty Jan siana. Wszystko to przygłuszone było, jakby owinięte klebiastą cieniutką pajęczyną — szelestem liści i buceniem pszczoł.

Agnieszka klęcząc wyprostowała bolący grzbiet, odjęła spuchnięte w stawach ręce od mokrej, zdartej już do połowy ryżowej szcztolki. Sprzed domu dobiegło tu czyjeś stąpanie, zaszurało potem na dwóch stopniach, wiodących do sionki, wreszcie rozległo się tuż za drzwiami. Po chwili w progu izby stanęła siwa, o poradnionej twarzy, przykurczona wiekiem stara Dąbrosiowa.

— A, to matka przyszła?
Agnieszka otarła ręce o podkasaną spódnicę, wsunęła je na chwilę pod ramiona, jakby chciała je tam osuszyć i w ciepłych gniazdach pach pozostać trochę bólu powykrecanych palców, po czym zaczęła się podnosić z kolan. Podparła się dłońią o podłogę, syknęła raz i drugi. Jej niemłoda, ale ładna jeszcze twarz, powleczone szronem jakiejś urazy i niechęci do świata, pociemniała jeszcze głębiej. Matka przystąpiła do Agnieszki, pomogła jej wstać. Zatrzymała się i na tę chwilę znikł z jej zmarszczek koło oczu wyraz jakiejś dobrotliwej chytrności.

— Wciąż słabujesz? Nie ci nie lepiej?
— A nic. Na amen mnie pokręci. Kaleka ze mnie będzie. Może on — wskazała oczami kiereunek, skąd dobiegało bicie młotów — pojmie wtedy, że musi mnie gdzie do sanatoria posłać.
— Przyszłam, bo ojciec pisał ze Świeradowa.
— No i co? I co? — porwała się Agnieszka.
— Ano przeczytaj sobie list. Potom przyszła.
— Chodźcie do kuchni. Zajrzą do pieca, żeby mi się ciasto nie spaliło.
— Pieszysz? Co to, święto jakie, abo co innego?

Maryjka dzisiaj przyjeżdża. Dla Jana, wiecie, to więcej jak święto. Tylko patrzeć, jak przyleci oblać się w czystą koszulę i kapotę niedzielna.

Przeszły przez siankę obok paradynej izby z zieloną pluszową kanapą. W kuchni snuł się od duchówki zapach pieczonego ciasta, które tracąc właśnie surowość wydzielając z siebie wszystkie wonie, nim ich resztę zdoła uwieźć pod złocistą, chrupką skórą. Agnieszka zajrzała do piecyka, nakłuła placek szpilką od włosów, mruknęła: — Jeszcze surowe — i wsadziła blachę z powrotem.

— No, gdzie ten list? — wstawiała od pieca. — Jakże ojcu? Lepiej? Sam pisze?

Matka wyciągnęła arkusik ze starej, mocno zniszczonej torebki, w której zawsze nosiła różaniec i książkę do nabożeństwa.

— Masz, czytaj.
Agnieszka ujęła list, rozpoznała charakter pisma:

— Ojcowe pisanie. Jeszcze koślawe, ale już ojcowe.

Czytała gdzieś ze środka to, co ją najbardziej obchodziło:

„...Bez trzy tygodnie wozili mnie na kapiele samochodem albo wózkami. Po trzech tygodniach jużem chodził o laskach, a teraz kiedyżem już rzucił laski, dał mi doktor przedłużenie i powieździał, że jak ostane jeszcze dwa tygodnie, to mnie rematyz odejdzie całkiem, ale będę musiał przyjechać jeszcze na drugi rok, to będę całkiem zdrowy i zdalny do roboty...”

Agnieszka unwała, opuściła list, pokręciła głową:

— Wiedzicie!

Usta matki poruszały się jeszcze, jakby przywierały słowom listu. Agnieszka położyła arkusik na jej kolanach, przesunęła naczynia na stole, ale tak jakoś mało o tym myśląc, zrobiła dwa kroki ku progowi paradynej izby. Stojąc w jej otwartych drzwiach patrzyła za okno, zdawało się w ogródek przed domem. Po chwili przerwała milczenie:

— A mój powiada — zaczęła z jakąś zawziętą goryczą — że te kapele to wymysł, że szkoda czasu i pieniędzy. Że po tym jest jeszcze gorzej, że to tylko dla bogatych próżniaków z miasta. Co tam mogą co rok albo co pół roku jeździć. A że bidnych chłopów mamia tylko tymi sanatoriami, żeby do spółdzielni przystawali, a to i tak nie pomoże. Bo ziemię wezmą, a kalekę wyrzucą, żeby zdechł z głodu i choroby bez żyłki strawy. Bo oni potrzebują młodych i silnych, a stary niech na śmieci idzie.

Matka nie ruszyła się z ławy:

— Głupi, ciemny chłop. Z chytrności tak mówi. Trzęsie się nad każdym groszem, jakby wszystko chciał do trumny ze sobą zabrać.

Agnieszka potrząsnęła głową:

— To dla Maryjki wszystko. — Ogarnęła wzrokiem dom, sad, wybiegła oczami za sad, ku polom. — Dla Maryjki, dla pani doktor. Przedwczoraj morgę lasu dokupił, na urządzenie gabinetu Maryjce, jak nauki skończy, powiada.

— A ciebie niech do cna pokręci! Dla ciebie to na leczenie nie ma, zła krew jedna! A kto na tę panią dochtór robi? Nie ty?

Agnieszka postąpiła bliżej okna paradynej izby. Nie odwracała oczu od ogródka. Na jajo-watym klombie puszyły się ciemne, aż niemal czarne, pasowe róże. Brzegiem klombu dokwitała jasna wiotka rzęda. W czterech rogach ogródka sypały się pomidła płatki białych i białoróżowych peoni. Pod samym oknem, w cie-niu, prostowała łądzki maciejka. Jeszcze chwila, jeszcze godzina — a otworzy swoje niktę kwiatki i mieszkające napełni jej mocna, dusząca woń. I wszystko to — maciejka i peonie, i róże, i te nachylone nad dach lipy pachnieć będą całą noc, i księżyc będzie myszkował boso po sadzie i zagłądał do izb. Z opiótków doleci śmiech dziewcząt i chłopaków, a Agnieszka będzie się przewracać po gorącej pościeli i poje-kiwać z bólu, prostując zreumatyzmowane kości. A Jan, uharowany do szpiku kości Jan, będzie

chrapał przez sen, aż Agnieszka będzie dziw i złość brała, skąd w tym skurczonym ciele, ma-lejącym coraz bardziej, jak wysychający orzech, skąd się tyle harkotu i zgrzytu bierze.

Agnieszka westchnęła. Matka poruszyła się niespokojnie. Nie lubiła tych Agnieszczynych zamyśleń.

— Zaglądaj no do pieca, coś tam skwirczy.

Agnieszka oderwała się od okna, wróciła do kuchni, wzięła ścierkę, otworzyła piec. Buchnął na nią żar, słodki zapach rozprażonych czereśni i waniliny. Matka mlasnęła bezzębnyimi ustami: — Z wiśniami, Jagna, z wiśniami?

— Z trześniami. Dla Maryjki. Kazał upiec.

Ona to najwięcej lubi.

Stara przełknęła ślinę, której miała pełne usta.

— Dla Maryjki, dla Maryjki — mamrotała, patrząc na nogi swej córki, popuchnięte w stawach. — Wszystko dla Maryjki. A jak ty się położysz, to i Maryjce nie będzie kto miał placeka upiec. Czemu to on nie najmie ludzi do pola? Ino wszystko ty. W domu, w oborze, w polu...

WANDA KARCZEWSKA

ODWIEDZINY MATKI

Agnieszce znowu pociemniały oczy. Nie wia-domo, czy z gniewu na matkę, że tak mówi, czy na męża, że tak skąpi, czy na świat, że tak stoi za oknami w krasie, podczas gdy ona...

— Gadacie! — syknęła wreszcie, sparzywszy się o wyjętą blachę. — Najmie ludzi, to powiedzą zaraz, że bogacz, że wyzyskuje naród. A ile to trza zaraz płacić ludziom? Stówkę! Stówkę i jeszcze strawę im pod nos postawić! — Zamilkła, trzepnęła ścierką muchy, zlatujące się do ciasta. Po chwili skończyła, już jakoś bez złości, jakoś żałośnie:

— Ech, ja bym może i dała, ale Jan...

— Sknyra... — mamrotała stara — uschnie z tego sknyrstwa, a ciebie na śmierć zamęczy...

Agnieszka rozeźliła się nagle. Wyjawszy placek na stół, zaczęła skrobać przypaloną blachę, ale tak jakoś zawzięcie, że ten zgrzyt aż kości przenikał.

— Wy mnie, matka, nie buntujcie. Dolewacie oliwy do ognia, a samiście mi kazali za niego iść. Nie chciałam, osiemnaście roków mi było. Wyście go znali, wyście po całych dniach prze-mawiali mi do rozumu, że gospodarską żoną będę, panią na morgach. No tom jest — dziwka gospodarska na sześciu morgach.

Stara zatrzęsa głową. W kacił oczu znowu nabiegła jej chytrność, ale jakaś zła, twarda:

— Brzuch miałas, głupia! Zapomniałaś już? Bez to my cię namawiali. Trza było łapać ojca dla bachora. Nawinał się dzieciaty wdowiec, ba-by potrzebował, myślał, żeś taka gruba, mięsna w sobie, to my cię dali. Kto by cię inny wziął?

— Franek by mnie wziął, trza mi było czekać, jak chciałam.

— Franek, Franek. Ty o Franku nie myśl. A kto mógł wiedzieć, że go Niemcy w tym obo-zie nie utuką? Tyła narodu wybili...

— Trza mi było czekać. Teraz mam za swoje, Pan Bóg mnie pokarał...

— Eee... — stara podniosła się z ławy — co to rozpamiętywać, co było piętnaście lat nazad.

ko! A Maryjka ma głowę do pozłoty, nie do nauki!

Urwała. Obejrzała się na matkę, która wy-dziobywała palcami przypalone okruszki z blachy i podnosiła je do zapadłych warg.

— Co tam w blasze dębicie? Macie tu — odikroila szybko kawałek placeka od brzegu, gdzie było najmniej czereśni. — A schowajcie, żeby Jan nie widział. Znowu powie, że dziadoki ze spółdzielni przychodzą na żebry do gospodarza.

Nagle — zatrzymała w powietrzu nóż, którym rozkrawała placek na części, żeby nie było wi-dać, że kawałek dała matce, i jąla nasłuchiwać. Odgłos młotów z kuźni za sadem ucichł. Agnie-szka spojrziała do paradynej na zegar, potem znów z niepokojem w okno.

— Pół do szóstej, a tam jeszcze pół izby do szorowania. Jan pewnikiem zaraz przyjdzie...

Patrzyła na matkę. Stara, siedząc na ławie, mamiła bezzębnyimi działkami kasek placeka.

— Nie jedzcie ciepłego, jeszcze wam zaszkodzi. Na wieczór sobie schowajcie.

Znowu spojrziała z niepokojem w okno i zno-wu z niepewnością na matkę. Lepiej, żeby so-bie stara poszła. Nagle wpadło jej do głowy, jak przypieszyć jej odejście, bo skoczyła do komo-ry, przyniosła wianuszek suchej kiełbasy i gar-nuszek z masłem i owinąwszy to w gałganek, wtykała matce:

— Macie, idźcie już. Nie mam dziś czasu.

Wypychała ją niemal z kuchni, ale matka ja-koś odgarnęła od siebie zawiniątko, choć nie mogła oderwać oczu od sterczącego koniuszka suchej kiełbasy.

Agnieszka już niecierpliwiła się:

— No, bierzcie, coście tacy honorni?

Stara uchyliła się przed zawiniątkiem, tak że Agnieszka trzymała je przez chwilę zawieszone w powietrzu.

— Mnie tam Janowego jada nie potra. Star-czy mi to, co mam.

— Ale ojcu, ojcu poślijcie do sanatoria.

— Ojciec pisze — nie doczytałaś do końca — że nigdy jeszcze tak nie jadł, jak w tym sana-torium. Schowaj se to, Jagna, po co Jan ma py-skować, że musi dziadoków ze spółdzielni żywić.

Drzwi od sionki skrzypnęły. Agnieszka szmyr-gnęła zawiniątko pod stół, jej bure oczy roz-biegły się w strachu:

— Jeszcze piekło mieć przez was będę...

Po chwili jednak, zamiast szurania Janowych butów, rozległo się w sionce kłapanie bosych nóg i do kuchni wpadł jedenastoletni Feluś: bure matczyne oczy, kłębek szarobłond włosów nad czołem na wystrzyżonej głowie, perkały nos i dwa rzędy drobnutkich, szczerzących się w uśmiechu zębów.

— Mama — uwiesił się u klamki, wjechał na pchniętych drzwiach do kuchni — mama, dej chleba.

— Ty tu? A krowy gdzie? W szkodzi? Cze-kaj, da ci ojciec chleba, paskiem po tyłku...



Rys. Tadeusz Kokietek

Coś mi się ten Franek znowu kole ciebie kręci. Dobrzeście z Janem żyli. Jużes zapomniła? Sy-nów mu rodziłaś, jednego po drugim...

— Parobków — odgryzła się Agnieszka — pa-robków, nie synów. Żeby Antoś nie był się łoń-skiego roku utopił, to by dziś gnój wozil, w kuźni młotem bił, potem grabił, kosił, żał, to by się do siódmego potu musiał urobić. Nie dał mu iść do szkoły, nie dał. A taki był chłopak zmysł-ny do nauki. Aż plakał, tak się do tych szkół prosił. A on — nie! Parobka potrzebował, nie kształconego syna. A Feluś? Feluś ledwie zdyszany ze szkoły przyleci — już go do krów go-ni. Ani mu zjeść porządnie nie da. A ten trze-ci... ten trzeci, com go nie donosił, też by świ-nie pasł, a do szkół by go nie dał. Maryjka tyl-

— Ojciec nie przyjdzie to raz, bo szedł grabić siano, krów pilnuje Biernocik — to dwa, a po trzecie, ojciec mnie i tak nie złapie, bo ja mam chybkie nogi, nie, babcia? Jak się macie? Co dziś wasz pan agronom robi? Szczepi pomidory na wierzbie?

Chłopak paplać myszkował po komorze, niósł kawał chleba i siorpał z garnuszka kwaśne mleko. Mrukał bezzębnyimi oczkami do babki, wdzycał się do matki. Kobiety patrzyły na niego trochę niby zgorszzone chłopczyńskim py-skowaniem, w gruncie rzeczy urzeczone prze-korną wesołością dziecka.

— Ty pyskolu jeden — matka wyciągnęła rękę, chcąc mu przygładzić czub włosów sterczą-cy nad zgrzanym czołem. — Ty byś tylko smy-

kał i smykał od krów, paplał i bawił się, a ga-dzina niech w szkodę wejdzie... Ej, leniu, leniu! Chłopak uśmiechnął się, sprzedał matczynej ręki, ochlapał koszulę mlekiem, roześmiał się:

— Mama, jaki leń? My z kumplami założyli spółdzielnię pracy do pasienia krów, a jak się pracuje kolektywnie, to się pracuje mniej, nie, babcia?

Mrugnął do babki, puścił do matki zeza, aż Agnieszka przeżegnała się, i plótł dalej:

— Biernocik się kapał, tom ja mu krów pil-nował, teraz Biernocik zważa na nasze, a ja skoknąłem pojeść, potem przyjdzie kolejka na Kazuka, wtedy oba z Biernocikiem skokniemy do pana agronoma popatrzyć na inspekty. Obie-cał nam dziś wszystko pokazać, co i jak. Fajny chłop. Jak się nauczę, to tobie potem, mama, założę inspekty. A potem sam będę agronomem. Tak'm miczurinowcem, zobaczysz mama!

Odstawił pusty garnuszek, złapał matkę wpół, okręcił ją, aż się zatoczyła, i nim zdołała go trzepnąć w plecy, wyskoczył przez okno, scho-wał się za nie, potem wychynał, pokazał głowę, zaśmiał się — „A kuku!” — i już bosa pięty dudniły po podwórzu.

Agnieszka pokręciła głową:

— W kogo to się wdało? Ani we mnie, ani w Jana. Cieszy się ze wszystkiego, jakby mu kto w kieszeń napluł.

— O, on się nie da... Ten na swoim postawi... — Dąbroska zabierała się do odejścia.

Agnieszka sięgnęła pod stół:

— To jak? Nie chcecie tego masła? Takżeście się z bogacili, od kiedy ten miczurinowiec do was przyszedł? To po ile wam teraz za dniów-kę wypłaca, bogacze? Po pięć pięćdziesiąt? Scierwy, dziadoki jedne, tyle gospodarstw zmarnowało.

Stara, zdawało się, miała zamiar o czym in-nym pomówić, ale córka zniecierpliwiła ją:

— Ty się, Jagna, o to nie kłopot! Trzy lata marnowali, a na czwarty wszystko odrobą. Trzy lata próbowali to hodowli bydła, to rolnej go-spodarki, a teraz doszli do swojego. Teraz bę-dzie inaczej.

— Co, ten miczurinowiec...

— Ano, ten inżynier agronom. Teraz zapro-wadzimy gospodarke warzywną. Z samych rzodkiewków, wiesz, dzieuchó, ile my zebrałi! Dwanaście tysięcy. A z kalachfiorów i z pomi-dorów będzie...

— Ta ta ta, całą ziemię obrócić na warzyw-niki i inspekty, a krowy będą ziemię żarły...

— Ty się, Jagna, o to nie kłopot. Zielonej pa-szy dla krów starczy, a siano... Chłopy poje-chają hań, w Szczecińskie, na sianokosy i ura-dziły zamiast zapłaty parę wagonów siana przy-wieźć. Krowy nie zdechną. O dniówkę ty się nie kłopot. Do ciebie nie przyjdę. Zięć mnie nie używi, córka mnie na starość nie używi, sami się używimy. Starego wylecą, starzy my, ale bę-dziemy robić i na ten kawałek chleba zarobi-my, a gromada z głodu nam zginać nie da.

Agnieszka chciała jej zrazu przerwać, potem dała spokój. Milczała. Z każdym słowem matki milczała coraz ciężiej. Opuściła ręce. Nagle jej się wszystkiego odechciało. I tej sprzeczki z matką, i tej kuchni, i szorowania podłogi. I woniających za oknami lip. Doskwierało jej, ssało mózg, jak głód żołądek, porykiwanie bydła na łąkach i brzek kosy, i szelest daremnie pachnących drzew. I myśl o wyschniętych zagonach kartofli, które trzeba będzie okopywać, i pamięć spie-koty żniwnej, która się zbliżała. Podniosła oczy na matkę stojącą u progu. Widać w jej oczach było coś bardzo bolesnego, bo stara zagadnęła śpiesznie:

— Co ci to? Spodziewasz się? Znowu...

Agnieszka wytchnęła powietrze ze ściśniętej piersi, potrząsnęła głową:

— Nie, matka! Nie spodziewam się dziecka. Niczego się już nie spodziewam. Myślę tylko, po co to wszystko? Was nie używim na starość, Antoś mi się utopił... Po co ja się tak męczę, dla kogo? — Jan wiecznie, jak ten rozeźlony pies, wiecznie by robił i robił, tyroł i tyroł i mnie do roboty gonił. A na wieczór? Kiedyś to się jeszcze pośmiać lubił, ale jak ta nasza Polska nastała i ten jego synolek z zagranicy nie wrócił, a najbardziej jak Maryjka wyjecha-ła z domu, to on nic, tylko radia słucha i czernieje ze złości. Coraz więcej klnie na wszystko. Pluje nawet na to słońce, że tu świeci. A po-tem, jak się już naćka ty złości z radia, to się uwali i chrapie. I czeka, on nawet przez sen mamroce o wojnie i czeka, kiedy ten jego synuś z zagranicy dygnitarzem wróci...

Stara słuchała, a kiedy Agnieszka wzmogła pod koniec głos, syknęła nagle:

— Cichaj, głupia! Jeszcze kto posłysz. Mó-wiłaś już komu o tym?

Agnieszka podniosła przebudzone oczy. Chcia-ła zaprzeczyć, ale urwała, jakby się jej nagle coś przypomniało:

— Nnie... nie mówiłam... — odparła nie-pewnie.

Stara szeptała:

— Tego nie powinien nikt wiedzieć, nikt sty-szeć. Kto wie, jak z wami będzie. Może będzie-cie musieli do tej spółdzielni przystać... Tak, to będą mówili: średniak, namyślił się, przyjął... A jak rozpowiesz ludziom o tym, co on w do-mu gada, o tym radu, to pedzą — wróg, nie przyjmować... Choćbyś i sami kiedy chcieli...

Agnieszka opędała się od szeptu matki jak od much:

— Toć nikomu nie mówię. Wam przecie tylko. Co to, uzalić się już matce nie wolno?

— Nie masz co narzekać. Żona powinna iść za mężem. Męża masz. Gospodarza i kowala. Ziemię ma, fach ma...

Agnieszka poruszyła się, machnęła ręką z nie-chęcią.

(Dalszy ciąg na str. 6)

REDAKCJA naszego pisma zaproponowała mi napisanie artykułu o „warsztacie tłumacza” — ściślej: tłumacza z literatury rosyjskiej, jako że przeżyłem w ciągu ostatnich lat coś niecoś z Gogola, Leskova, Czechowa, Gorkiego, Lwa Tołstoja, Aleksandra Ostrowskiego, Hercena i in. Owszem, chętnie taki „artykuł” mogę napisać — ale jest to temat tak rozległy, złożony i wieloraki, że nie łatwo się z nim uporać. Poczynając od zagadnień teorii i zasad przekładu w ogólności, kończąc na sprawach a mówiąc po prawdzie — grzechach i wybrykach tzw. „adiustacji” — nasuwa się mnóstwo najrozmaitszych kwestii, którym nie jeden wybitny krytyk poświęcał już niemało uwagi, jak np. u nas Wacław Borowy lub w Rosji Korniej Czukowski. Trzeba coś z tego wybrać, co się zaś tyczy adiustacji... Ale co to adiustacja? Może nie każdy czytelnik zdaje sobie z tego sprawę. Więc słówko o niej, a potem przystąpimy pokrótce do rzeczy.

Nie wiem nawet, skąd i kiedy ten wyraz się u nas wziął. Jest niby pochodzenia łacińskiego, ale starożytna łacina nie znała go. Ad znaczy „do” — iustus — sprawiedliwy, słuszny, prawy, rzetelny. Adiustować znaczyłoby tedy: usłusznąć, usprawnić, urzutełnić, uzgodnić. Mamy też francuskie słowo: ajuster — czyli: przyrządzić, dopasować, wyrównać, nastawić. Z tego wszystkiego zrobiła się polska „adiustacja”, która polega na tym, że w wydawnictwach siedzą rozmaite paniusie i panienczki, czytające wszystkie maszynopisy — zarówno tłumaczenia jak i rzeczy oryginalne — z czerwonym, zielonym i czarnym ołówkiem w ręku. I każda z nich uważa sobie za święty obowiązek „wprowadzać poprawki”. Jest to taka belferska robota — jak poprawianie przez nauczyciela wypracowań uczniów pierwszej klasy. Potem wykoloryrowany maszynopis wraca do autora, ten zaś bierze do ręki tęgą gumkę i zaczyna wymazywać owe upiększenia. Ot taka sobie zabawa: marnowanie czasu i energii, która można by spżytkować w sposób celowy i wydajny. Bo co potrafi wyprawiać „adiustacja”, niech zaświadczy jeden przykład,

JERZY WYSZOMIRSKI

Z WARSZTATU TŁUMACZA

wzięty gwoździu mocniejszej dokumentacji od Borowego. W swej rozprawie o teoretykach tłumaczeń przytacza on taki wyczyn adiustacji: autor napisał po prostu, ludzkim, powszednim, zrozumiałym językiem: „ojciec zjadł kolację i poszedł spać” — adiustacja zrobiła z tego: „ojciec spożył wieczrę i udał się na spoczynek”.

Na razie o adiustacji dosyć. Niechże czytelnik wyciągnie stąd wniosek, jakie musi z nią mieć tłumacz kłopoty, zgoda niepotrzebne i niedorzeczne. A przecie, pracując nad przekładem, ma dużo innych — istotnych; piętrzą się przed nim trudności nie byle jakie — najrozmaitszej natury — które musi pokonywać całym wysiłkiem i wiedzy swojej, i talentem, i pracowitością, by stworzyć dzieło w miarę możliwości dorównujące oryginałowi pod każdym względem, dzieło — jak to się mówi — kongenialne.

Jakież to mogą być trudności? Nasamprzód tzw. realia. Są to nazwy swoiste — rzeczy, instytucji i zjawisk, związane z historią i obyczajowością danego społeczeństwa, środowiska czy narodu, nie mające nieraz dosłownych odpowiedników w innym języku. Weźmy dla przykładu jakieś realia historyczne polskie — dajmy na to: pospolite ruszenie, towarzyszyć pancerny, zjazd, królewskyszyna, piechota łanowa; czy z innej dziedziny: świętopieczęć, szczydry wieczerz, podkoziółek, kusaki, lajkonik, turoń — i tam dalej. Jak to przetłumaczyć na jakikolwiek inny język? Weźmy naszą tytułową starszłachecką, z którą wszakże tłumacz, „Trylogii”, czy też powieści Krasińskiego albo „Pana Tadeusza”, musi się stykać na każdym kroku. Waszmość, waćpan, waś, acan, asindziej, mościłanie, mocumpanie, jegość, waszeć, aszka — itp. Jak to tłumaczyć na rosyjskie, francuskie, niemieckie czy inne? Otóż dawne życie rosyjskie, przedrewolucyjne, którego odbiciem jest literatura klasyczna

wieków XIX i początków XX, obfituje w tego rodzaju „realia”, wytworzone przez takie środowiska, jakich znowu nie znaliśmy nigdy ani my, ani Europa zachodnia: środowisko obszarńcze i chłopie („pomieszczyk” i „muzyk”), urzędnicze, popowskie, kupieckie, bur-lackie. Weźmy komedie Al. Ostrowskiego, klasyka komedii kupieckiej, jak u nas klasykiem komedii szlacheckiej

wy, o rety, o laboga, rany boskie, o rany! święci pańscy... Ale czy zawsze można w ten sposób tłumaczyć? Czy nie przepoliszczymy oryginału? Ileż wyczuca artystycznego smaku i zmysłu równowagi musi mieć tłumacz, by zachować miarę, nie przesolic, nie przeholować, nie przełajnować!

Etymologia ludowa — to zagadnienie osobne. Zetknijmy się z nią u nie-



Dzieła Mickiewicza cieszą się w Związku Radzieckim coraz większą popularnością. Prof. S. Swietlow jest nie tylko badaczem literatury polskiej, lecz również jednym z najlepszych tłumaczy „Pana Tadeusza”.

jest Fredro. Styl, język i słownictwo Ostrowskiego wiąże się najściślej z obyczajowością kupiecką. Pełno tu zwrotów właściwych owej warstwie, różnych porzekadeł, gadek, przygoduszek i przysłówi, częstokroć dosłownie nieprzetłumaczalnych, dla których przekładowca musi mozolnie wyszukiwać odpowiedniki i równoważniki myślowe i uczuciowe. By zdać sobie sprawę z tej pracy, weźmy dla porównania i przeciwwieństwa „Pana Jowialskiego” — małołidło obyczajowe szlachetczyzny polskiej — i ową furę przysłówi, którymi sypie jak z rękawa główny bohater: dać temu należy wyraz w jakimkolwiek innym, obcym języku zda się niepodobieństwem.

Z realiami nierozłączne są idiomaty, czyli właśnie owe zwroty przysłówowe. Znowu dla umysłowania sobie tej sprawy weźmy jakiś idiomat polski: kłbić jak biczem przecięta, smalić cholewki, stroić koperczaki, że aż się za nim kurzy... Proszę to przetłumaczyć na inny język. Nie łatwo, prawda? Każdy język ma takie swoje piękne osobliwości. Oto kilka malowniczych idiomatów rosyjskich, z którymi u Leskova np. ciagle mamy do czynienia: 1) Mielę Jemielia, twoja niedziela — 2) Dieriewnia tykowa pomieszczenia diko — 3) Pro Fomu, pro Jeremu — 4) Po Sieńkie i szapka... — No, tłumaczmy! Ja to próbowałem tak przełożyć: 1) Gadu gadu, ani końca ani ładu; 2) Ciemny jak tabaka w rogu; 3) Dziad swoje, baba swoje — albo: golono, strzyżono; 4) Każdy swoją piędią mierzy. A może lepiej: wedle stawu grobla?

Dalej — idzie sprawa narzeczy, gwar i tzw. etymologii ludowej. Jak tłumaczyć gwara chłopską? Czy schłopić ją też — ostrożnie, z umiarem i artystycznym, czy tłumaczyć językiem ogólnie używanym, tzw. literackim? Niedawno czytałem „Chłopów” Reymonta w przekładzie rosyjskim. Otóż tłumacz oddaje prawie wszystko językiem literackim, i takie np. zdanie: „Krowa Boryny się zlała — Ambroży wziął puszczałdo i przeciął jej żyły” — w przekładzie rosyjskim brzmi: Korowa okoliwajet — Ambroży wziął noż... Cała barwność i swoistość oryginału polskiego ginie. Ale z drugiej strony, jeżeli będziemy gwarę chłopską rosyjską tłumaczyć na gwara polską (czy też odwrotnie), czy nie zatrzymamy tym sposobem kolorytu narodowego, czy z chłopów rosyjskich nie zrobimy polskich, a z polskich — rosyjskich? A tego tłumaczowi czynić nie wolno. Nie wolno mu zeswojszczyć obcego dzieła literackiego. Musi zachować jego ducha i wszystkie odrębności.

Sprawa gwar i narzeczy — to twardy orzech do zgryzienia. Weźmy np. takie ludowe cząstki wyrazowe rosyjskie, jak: nu-ty, an, wona, uzo, edak, isz, czu, czaj... Aż się proszą one, żeby spolszczyć na: hen, adyć, toć, ano, juźci, alić, zawszec, że też... Isz to skróć od widisz — polskie ludowe „cie”, które jest skrótem „widzicie”. Cie! — chciałoby się przetłumaczyć. Albo czu. To: czuj, słysz. A czaj? To: musić, ani chybi, niechybnie, pewno, pewnością, pono, ponoć. Wykrzyknik: batiuszki, matuszki znajduje swój odpowiednik w takich naszych wykrzyknikach, jak: moiście-

których pisarzy rosyjskich, np. u Leskova i Szczedrina, czasami u Gogola. Lud, każdy — nie tylko rosyjski — zwykł przyswajać sobie wyrazy obcego pochodzenia takim trybem, że je całkowicie unaradawia, nadając im brzmienie czysto rodzime. Np. u nas chłop z ewangelisty zrobił wanielistę, z inżyniera — niziniera, z jezuitę — wuziutę, z Antychrysta — jancykrysta itp. I chłop rosyjski u Leskova robi to samo: słysz „mikroskop” i zruszcza to na miel-koskop; słyszał dilażan — karetę podrożną — i powiada: dieleżan, i słuszenie: że niby jest to taki powóz, w którym można na pół leżeć, albo też i dzielić (dielejt, dzieł, dieleżan) miejsce z innymi.

Tak oto odsłoniły się nam żdzielebko niektóre tajemnice „warsztatu” tłumacza. Ale bynajmniej nie wszystkie. Jest wiele innych. Sam język — duch jego, jego właściwości, wyłączości i sposoby wyrażania myśli, jego składnia i budowa. Weźmy najprostszy przykład: boli mnie głowa. Francuz powie: j'ai mal à la tête; Niemiec: ich habe Kopfschmerzen; Rosjanin — u mienia bolit golowa. Tłumacz musi zachowywać ducha swego języka i wszystkich jego prawa; musi tekst obcy oddawać najpoprawniej, najpiękniej i najczystej w swym języku ojczystym. A różnice w duchu języka rosyjskiego i polskiego są bardzo znaczne. Drogi rozwojowe tych dwóch języków, mimo że obydwa są słowiańskie i pokrewne sobie, były zupełnie inne. Nasz język kształcił się i wyrażał na łacinie, na czeszczyźnie i niemieczyźnie, które z kolei też zapożyły się u łaciny (najprostsze wyrazy niemieckie, jak schreiben, Strasse, Haupt, Körper, Fenster itd. itd. są łacińskie); język rosyjski ulegał wpływom greckim, bizantyjskim, cerkiewnosłowiańskim i tatarsko-wschodnim. I takie znowu codzienne wyrazy w nim, jak: ikona, tietradi, gramota, bumaga, idol, szar, kumir, chaltura, chandra — są pochodzenia greckiego; inne, jak: baszka, batowatj, dien-gi, łoszadaj, saraj, ambar, czerdak, kabak, sunдук, jamuszczyk — itd. itd. mają swe źródła w języku tatarskim i językach tureckich w ogóle.

Różność wpływów zaważyła na duchu języków, na ich składni. Tłumacz musi o tym wiedzieć i pamiętać, bo żeby tłumaczyć dobrze, wiernie i ściśle, musi znać i czuć dobrze ducha języka, z którego tłumaczy, i tego, na który tłumaczy. Gruntowna tedy, dogłębna znajomość dwóch danych języków oraz towarzysząca jej pewna znajomość historii i kultury dwóch danych narodów jest koniecznym warunkiem umiejętności i sztuki tłumacza. Tłumacz musi wiedzieć o tym, że każde słowo, każde wyrażenie ma swój sens tylko w kontekście, tylko w zdaniu, i że zmianą kontekstu sens i znaczenie słowa także się zmieniają. Wielkim niebezpieczeństwem jest słownikarstwo, dosłowność, tzw. literalizm, czyli kopiowanie oryginału. Weźmy dla przykładu rosyjski wyraz: sławnyj. Dosłownie (słownikowo) to — sławny. Ale ileż odcieni uczuciowych może mieć to słowo zależnie od kontekstu. Sławny, słynny, głośny, chwalebny. A sławnyj maty? To może być: dobry chłop — pocziwiec — z kościa-

mi... A może być też: setny chłop, mowowy chłop — zależnie od tego, kto to mówi, do kogo mówi. Bo trzeba pamiętać o tej zasadzie, którą już starożytni Rzymianie doskonale rozumieli: quis, quid, ubi, quibus auribus, cur, quomodo, quando: kto mówi, co mówi, gdzie, w jaki sposób, dlaczego, jak, kiedy. I to samo słowo w ustach różnych ludzi, w różnych warunkach i otoczeniu, nabiera innej barwy, innej — jak to się mówi — wartości uczuciowej. Inaczej mówi nauczyciel do ucznia, kolega do kolegi, ojciec do syna — choć używa tego samego języka, tych samych słów. Tłumacz papierowy, tłumacz słownikowy otwiera słownik rosyjsko-polski i patrzy: zadornyj — czupurny, zadzierzysty. I mając zdanie: Ona posmotriela na niego zadorno — wali: spojrziała na niego zadzierzyscie. Wówczas gdy w danym przypadku trzeba by powiedzieć: spojrziała na niego załotnie, albo figlarnie. Albowiem zadorno ma dużo odcieni, zależnie od kontekstu, i równie dobrze może znaczyć: zawiadacz, obcesowo, buńczucznie, zaczepnie itp. Tak samo, jak wroisz, brat może znaczyć „żesz, bratku”, ale też: bujasz, świecisz, bajerujesz, zalewasz — zależnie od tego: quis, quid, ubi, quando... I rosyjskie wdrug, tak niezmiernie częste, znaczy nie tylko „nagle”, ale i: wtem, raptem, naraz, z nagle, niespodzianie, znienacka — znowu zależnie od tego, w jakim kontekście jest użyte.

Bo przekładowca powinien być nie tłumaczem przysięgłym sądowym, który tłumaczy metrykę chrztu lub akt kupna — lecz twórcą i artystą. O istocie przekładu pisał niedawno mądry człowiek. Wzmiankowaliśmy na wstępie Borowego: jego rozprawę pt. „Zestudiów nad przekładem” polecam każdemu, kogo te sprawy interesują. Wsjarjon Bielinski pisał: „Wierność przekładu zasadą się nie na odwrotności litery, lecz ducha utworu. Każdy język ma swoje odrębności, środki i sposoby wypowiedziania się tak dalece, że mu tylko właściwe, że gwoździ wiernego odwzorowania niejedynemu obrazu i zdania oryginału, trzeba je w przekładzie zmieniać całkowicie, istotę bowiem przekładu stanowi to, by życie wewnętrzne zwrotu przetłumaczonego zgadzało się z życiem wewnętrznym oryginału.” Tak zwana „ściśłość”, czyli dosłowność, zabija nieraz wierność, czyli prawdziwe oddanie ducha oryginału. Przekład bowiem nie jest fotografią, jak to już nieraz wskazywano, jeno portretem. Toteż jeden z radzieckich teoretyków przekładu, L. S. Bolew, powiada: „A portret góruje nad fotografią tym, że nie poprzestaje na cechach zewnętrznych oryginału, lecz sięga do głębi, oddaje jego wyraz wewnętrzny i rys charakteru. I taki do-bry portret jest niewątpliwie wierniejszy od fotografii, która, być może, odznacza się większą ściśłością w uchwyceniu powierzchowności rzeczy. A zatem: dobry przekład — to portret oryginału”.

Rzecz prosta, nie każdy tłumacz będzie takim portrecistą w przekładach, jakim był Boy-Zelenki w swych tłumaczeniach z francuskiego, jakim był Matejko w malarstwie. Ale trzeba do tego dążyć. By zaś ten wysoki cel osiągnąć, trzeba być samemu trochę artystą, twórcą, pisarzem.

Nie wyczerpalimy, naturalnie, wszystkich spraw warsztatu tłumacza. Jest jeszcze kwestia frazeologii, imionictwa, słownictwa specjalnego, archaizmów, neologizmów — i mnóstwo innych. Tych, które poruszyliśmy, nie oświetliliśmy też w całej pełni. Ale artykuł ma swoje ramy, których przekroczyć nie może. Zamknijmy go narzucając do „adiustacji”, by pokoić kropkę nad i. Otóż adiustacja dziś w naszych wydawnictwach rozszalała się niesłychanie. Z tym złem trzeba walczyć. Adiustatorzy dochodzą do tego, że jeżeli autor pisze „ładny”, to mu poprawiają na „piękny”; pisze „piękny” — poprawiają na „śliczny”; pisze „śliczny” — poprawiają na „przystojny”; pisze „ponury” — poprawiają na „posępny”; napisze: „posępny”, poprawiają na „ponury”. Jest to jakiś wysiłek bezmyślności, bezduszności, lakersztwa, urzędowania, biurokratyzmu literackiego, szkolarstwa. Na ostatnim zjeździe literatów pisarze skarżyli się, że adiustatorzy chcą koniecznie wyjałować, wyżyłować z krwi i życia ich utwory. Tak mówił K. Brandys. I ostatecznie, jeśli chodzi o przekłady, mamy coraz więcej takich, których po prostu czytać nie można. Kto zawinął? Nieudolny tłumacz czy nadgorliwa adiustatorka? Nie wiadomo. W tym stanie rzeczy tłumacz nie może właściwie brać odpowiedzialności za swoją pracę, po której harują trzy kolorowe ołówki różnych Besserswisserek, jakby powiedział Niemiec, czyli wszechwiedzących i lepiej wiedzących menterek. Po cóż w takim razie powierzać przekłady tłumaczom? Niechże trzy ołówki same robią tłumaczenia.

Tymczasem prawdziwa adiustacja powinna sobie postawić inne zadania. Nie ma ludzi nieomylnych. Najlepszy

(Dalszy ciąg na str. 12)

ODWIEDZINY MATKI

(Dokończenie ze str. 5).

— Ech, matka! Dziwni z was ludzie. Najpierw toście nam wstawiali, żeście z karkulacji do spółdzielni poszli, żeby na starość w chorobie nie zginąć. Dopiero co wychwalaliście te wasze nowe porządki i tego agronoma. A jak mnie się robi żal, żeście mnie uwiązali w tej niewoli, to wy znowu: męza masz, gospodarza masz. Ziemię ma, fach ma...

Dąbrosiowa wybaluszyła starce, wodnistę oczka. Znowu zaczęła się zbierać do gadania, ale nagle opuściła pomarszczone powieki i jakby zaczęła liczyć szpary w podłodze:

— My to my. My mieli morgę piasku. I my starzy. Nam jeszcze rok, dwa życia. I wiadomo, jak jest, a nie wiadomo, jak będzie. Wyście młode jeszcze. Macie sześć morgów, a będziecie mieli więcej. Dziecko masz, musisz je wychować. Ty się do niczego nie mieszasz. Masz czas.

Agnieszka spojrziała ze zdziwieniem. Nie rozumiała matki. Sama opowiada cudo o tych rzodkiewkach i o miczurinowcu, a teraz... Już miała brać wodę z kotła na blasze, by ją zanieść do Maryjczyńskiego pokoju, gdy ją nagle coś tknęło:

— Z czymżeście wy tu przyszli, matka?

Dąbrosiowa zacisnęła usta. Niby urażona, zbierała się już do wyjścia. Od niechciana rzuciła jeszcze:

— Ty sobie z tym Frankiem daj spokój.

— Z jakim Frankiem? Co mama?

— Widzieli cię ludzie. Dwa razy już. Żeby do ciebie szczerzysz. Hańbisz się. Matka dzieciom. Swoją pochował, to teraz do ciebie się wraca. Stara miłość nie rdzewnieje, powiadają. Ale on nie dla ciebie, choćbyś nie była żeniata. On teraz pan. Kierownik szkoły. To nie to, co było, jakeśta oboje byli młode.

— Mama klepie Bóg wie co! Zonę pochował, dzieci mu nie dała, sam jest, to i częściej do ojca przychodzi. Do pana posła. Starego ojca mu nie wolno odwiedzić? A że mnie na drodze spotkał, to co? Słowa nie wolno człowiekowi do człowieka przemówić? Co to my? Dwa wrogi ci co?

Stara już uchodziła z kuchni, zamiatając niepokornie podłogę oczami: — Ja ta nic nie mówię. Ludzie powiadają, że cię od chłopca odwodzi, do spółdzielni ciągnie...

— Wy mi plot nie żnoście! Ludzie, ludzie! A co mi ludzie? Dziadoki jedne! Widzicie ich!

Zawinęła się, dźwignęła kociołek z wodą i wyszła z nim do Maryjczynej

izby. Po chwili wróciła z pustym garnkiem i — przystanąła zła i zdziwiona — matki już w kuchni nie było. Szurnęła go na blachę kuchenną, doskoczyła do okna w paradnym pokoju, wychyliła się:

— To tak? — rozkrzyczała się — bajdów mi naznosiłicie, a teraz bez słowa idziecie? Ani „pocąjucie” mnie w nos! nie powiecie?

Stara Dąbroska zatrzymała się przy furtce, poprawiła chusteczkę na głowie, powiedziała cicho:

— Z Bogiem, Jagna.

Agnieszka czekała widać na co innego, bo nim cofnęła się w głąb mieszkania, odmrunknęła ze złością:

— Z Bogiem! Z diabłem, nie z Bogiem!

Matka zatrzasnęła furtkę. Przekwitłe peonie, rosnące tuż przy płocie, zadrzęły, różowe płatki posypały się na ścieżkę. Zawiało słodką, aż bolesną dusznością. Agnieszka wciągnęła ją w siebie i w tej duszności słodkiej zamajęczała jej na drodze pod topolami inna, nie matczyzna twarz i posłyszana inne, nie matczyne słowa. Krew jej nabiegła do skroni, krew ciemna i ciężka. Poczuła ciasność przyodziewku na sobie, ale kiedy oderwawszy się przemocą od uwidzeń, wróciła do kuchni, oczy jej na nowo powlokł gniew. Na stole leżał podarowany matce, nie dojezdzony, porzucony kawałek placzka z czereśniami.

— Honorna, zła krew!

Nagle zegar w sąsiedniej izbie zaczął trzeszczeć, jakby z napięciem zbierał wszystkie siły zużytych sprężyn, żeby zmusić stary mechanizm do wybięcia godziny.

— Olaboga! Szóstka!

Porwała nie dojezdzony kawałek placzka, rzuciła go ze złością kurom za okno i poszła, do pokoju Maryjki. Ukłękła na szmacie podłożonej pod bolące kolana, zanurzyła ścierkę w kubie, chlapięła na podłogę i przez chwilę patrzyła w tępy zamyśleniu, jak woda zalewa wymyte już deski podłogi.

— Mądrzy oni — myślała — poradzili sobie. Sami się bdy nie zlekli, ale mnie w to jarzmo... Czekaćcie, ja się jeszcze z niego...

Wtem gdzieś zada sadu doleciało szczekanie psa, pisk dziecka, potem zaskrzypiał, jakby kto orzech gniotł, gniewny głos Jana. Widać wracał do domu. Agnieszka oderwała oczy od wonięcych lip i westchnawszy głęboko, opuściła głowę, biorąc w ręce szcztokę do szorowania. Po chwili ramiona jej poruszały się wzdłuż desek, równo, z bolesnym poddaniem. Jak w jarzmie.

(Fragment opowieści)

WANDA KARCZEWSKA

Człowiek w krajobrazie

RANEK jest chłodny i niebo niskie, nasiąknie nocną wilgocią. Ale gdzieś za mgłami wstało już słońce i za chwilę wyjdzie ku nam z całym swoim blaskiem.

Dwa duże, dobrze utrzymane kasztany kołyszą się w ciężkim truchcie, na błyszczących zadach tańczy uprząż, obłok kurzu uderzył w nos końskim potem.

Na trawach w rowie drzy rosa, nad polami wisi pylisty zapach suszy. Horyzont goły, uderza brakiem drzew. Za to rysują się w całej swojej wysokości pojedyncze topole, z rzadka wetknięte w ziemię. Te same włoskie topole w naszym mieście stoją mocno pomiędzy murami fabryk i mają dużo gęstej zieleni. Tutaj — są ubogie, obszarpane. Drzewo piękne, ale smutne z tym swoim nagim pniem, który na każdy powiew odpowiada drżeniem.

Obok mnie na bryczce siedzi Antoni Plucha, kierownik jednego z dziewięciu zespołów pegeerowskich.

— Czemu te drzewa takie wyskubane? — zapytuje.

Plucha odpowiada: — Gałęzie im chłop obciosywał, kiedy były młode, i tak wyrosły. Nie rzucają cienia na pole. W cieniu zasiew wolniej wszędzie, gorzej obrodzi. Cień kradnie ziemię. A ziemi ludziom brakuje.

Tyle mówią topole. Nie mają więcej niż 20 lat, ale w innym sensie są już bardzo stare. Należą do innej epoki.

Wjeżdżamy na szosę. Widać na lewo całą kolonię małych, zgrabnych, spadzistych dachów. To działkowicze. Dołączyli do niej w 45 roku, z reformy rolnej. Potem Państwo wybudowało każdej rodzinie domek. Potem wyrósł w pobliżu POM. Czy działkowicze myślą teraz o założeniu spółdzielni produkcyjnej?

— Tak — odpowiada Plucha. — Zbierają się.

A przypomniałszy sobie minione czasy dorzuca z zastanowieniem: — Takie to było głodne ziemi, a nie jeden, jak dostał akt nadania, to go zwracał. Bał się, że pan wróci. Trzeba było długo agitować... Powolny naród.

Plucha mówi cicho i z namysłem. Kiedy zwraca ku mnie spojrzenie jasnych oczu, jakby trochę rozstrzelonych na boki, wydaje się człowiekiem łagodnym, nieśmiałym i słabym. Jest chudy i drobny, wzrastał w głodnych latach wojny jako syn fornala. Ile miał lat, kiedy wojna się skończyła? Dwa-ścieścia jeden. Co robił po wojnie? Pracował i uczył się. Ukończył szkołę wieczorową, potem kurs mechaników, jako robotnik pegeerowski zdobył tytuł przodownika. Okazuje się, że jednak znajdował dość siły, aby dużo pracować, uczyć się i czytać, bo posłano go — nie bagatelą! — na kurs kierowników gospodarstw.

Kierownik takiego gospodarstwa stanowi, jak w fabryce czy kopalni, ów średni dozór techniczny, od którego zależy bezpośrednio wykonanie planu. Na naradzie produkcyjnej otrzymuje on wytyczne od wyższych szczebli ogromnej organizacji PGR, u dyrektora i agronoma zespołu znajduje pomoc i radę, ale na swoim odcinku sam decyduje i odpowiada za wszystko.

— I jak wam poszło to gospodarowanie? — zapytuje.

Plucha odpowiada wymijająco: — Dość trudno było...

Jak się później dowiedziałam, Plucha mianowany kierownikiem stanął wobec zadania ponad siły. Nie znajdował posłuchu u ludzi. Z jednej strony szkodził mu brak doświadczenia, z drugiej — zawrót głowy od nominacji. Kierownik! Załamał się. Zaczął pić. Ten cichy, nieśmiały człowiek zaczął popędzać ludzi, grozić im. Dostał ostrą nagane — obraził się, prosił o zwolnienie. Ze swoim zawodem mechanika nie zginie bez PGR-u! Posłuchał jednak mądrej perswazji. Zgodził się na przeniesienie i na nowym miejscu okrzepł. Chwycił sekret właściwego podejścia do ludzi. Znalazł wspólny język z załogą. Doświadczenia zdobyte w pierwszej, ciężkiej próbie wykorzystał przy następnej.

Mijamy siedzibę POM-u w dawnym pałacu. Pałac jest osłonięty czarnymi świerkami, pod murem drzew widać nowe budynki gospodarskie ze świeżej cegły. Na siwym polu, gdzieś daleko, kończą podorywkę.

Jak kto gospodaruje — wszyscy o tym wiedzą. W tym zespole pegeerowskim przyjął się zwyczaj, że całe załogi odwiedzają nawzajem swoje gospodarstwa, zaglądają w każdy kącik. — O, u nas jest lepiej! — powiadają jedni. Na to drudzy: — No, no, poczekajcie, jak my do was zajrzemy...

Tego roku w żniwnym wyścigu pierwsze doszło do mety gospodarstwo Pluchy.

Koła bryczki potoczyły się szybciej. Zjeżdżamy z pagórka. Ziemia jest w tym powiecie płaska, ale gdzieś-gdzie wznosi się spokojną falą. Widać już komin gorzelni w gospodarstwie B. To tam jest ten Kasprzak, traktorzysta, który sam zmontował sobie światło na snopowiązałce i nocą jeździł — diabeł — po polu niby jakim samochodem!

Daleko na horyzoncie, gdzie spienione ogrody wydają się lasem, jest znów inne gospodarstwo zespołu. Rozrzucone są one szeroko, dzieli je czasem i dwadzieścia parę kilometrów. Ale po wszystkich migiem rozeszła się wiadomość, w jaki to sposób brygada w gospodarstwie W. wykonała plan. Kiedy zważyła omlócone ziarno i stwierdziła, że brakuje wedle planu po 16 kilo z hektara, to po te 16 kilo poszła jeszcze raz w pole zbierać ziarno do ziarnka.

Wszyscy wiedzą także, że w gospodarstwie H. było inaczej. Sprzątnięto z pola tak niedbale, że na zaorany ściernisku znówu wzeszedł owies. Brygadzie zdjęto, zapłacił też część szkody za zmarnowane ziarno.

Wędrują od gospodarstwa do gospodarstwa wiadomości wielkie i małe. Wiadoma jest szeroko nawet taka rzecz, że dojarka kupiła sobie w mieście białe kordonkowe rękawiczki za 60 złotych.

Wszystko to wiem skądinąd. Kierownik Plucha jest małomówny. Skąpo, wstrzemięźliwie odsłania przede mną zarys „swego dziesięciolecia“, zamkniętego udanym żniwem.

A przecież jak wiele te lata dla niego znaczą! Jaką ogromną drogę przebył! Fornalski syn kierownikiem dużego gospodarstwa.

Z wyrudziałej łąki powiało ostatnim pokosem siana. Nie znam się, nie oceniam jego gatunku i jakości.

— Pachnie — powiadam — pięknie pachnie siano. To chyba najlepszy zapach, prawda?

— Nie — odpowiedział Plucha patrząc na mnie uczciwie swoimi rozstrzelonymi oczami, z wyrozumieniem dla mojej dziwacznej ciekawości. — Nie — powtórzył. — Obornik! Obornik pachnie świeżym chlebem.

I odwrócił oczy ku polom, na których niebawem staną ciemne przymy nawozy i oznaczają nowy cykl siewów i zbiorów.

Dwóch jest w zespole kierowników „z awansu“. Ten drugi to starszy, dobry rolnik, ale człowiek mrówka: jak go ludzie nie usłuchają, to pójdzie i sam zrobi. Nie poszerza horyzontów myślowych, przebył już swoją drogę rozwoju do końca.

Cichy i wąty Plucha bije nawet pod pewnym względem sąsiada, do którego właśnie jedziemy. Tamten ma temperament fanatyczny. Na snop zboża patrzy z większą miłością niż na młodą żonę. Swoim mocnym krokiem, swoim głosem wnosi szum wiatru — grzmot burzy. Zjednoczenie PGR chce go posłać na wyższe studia. Niestety! Kiedy sięga po pióro, ręka jego omdlewa w powietrzu na samą myśl o pisaniu. Nad książką — powieki opadają, a jak już musi posiedzieć w kancelarii, to taki zły, że nikt tam ze strachu nie wejdzie. Ten model rolnika należy do przeszłości.

Koniom spod kopyt rwie się chmara wróbi i opada na jagody jarzębiny.



Mirosława Miller: Czworaki nie staną do pracy.

Rzeźba wyróżniona na IV Ogólnopolskiej Wystawie Plastyki.

Słońce przedarło się przez chmury i od nagranych pól uderzył zapach — tak trudny do opisanie zapach sierpnia: jest w nim ślad po dojrzałym ziarnie i rozsnutych na, rżysku nitkach słomy; jest słodczy soczystych sliw w sadzie i gdzieś niedaleko przekwitającej mięt.

Kierownik przerywa ciszę. — My w pegeerze to jesteśmy przedsiębiorstwo pod gołym niebem.

Wszystko, co pod tym niebem barwi się i pachnie, co jest rozkoszą dla oczu przywykłych do fabrycznych murów, dla niego jest elementem jego przedsiębiorstwa! A przedsiębiorstwo to ogromne. Ten zespół PGR ze swoimi dziewięcioma gospodarstwami zajmuje obszar ponad 2000 ha. Zyski są trudne. Wykonanie planu to wypadkowa siły rodnej ziemi, kaprysów nieba i zapobiegliwości człowieka. Zapobiegliwość trzeba zwiększyć, aby uruchomić ogromne rezerwy w gospodarce rolnej.

— Plon byłby lepszy — mówi Plucha — gdyby nie ta susza.

Ma na myśli nie tylko ostatnie lata. Sprawa jest trudniejsza.

— Mój ojciec pamięta, jak tu na błotach panowie strzelali kaczki. Dziś jęczmień rośnie.

Śluszenie! Łęczyckie bagna zrodziły kiedyś bajkę o Borucie. Teraz po nich ani śladu, lasy wytrzebiono, ziemia bez drzew wysycha. Ekipy Instytutu Geologicznego prowadzą tu wiercenia, woda tryska dopiero z głębokości 130 metrów.

Przed tą ziemią staje wielki problem. Walka o plon obejmie front jeszcze szerszy, zmieni w ogóle krajobraz. Już teraz spiętrzą się wody na Bzurze i Ochnie. Potem rozleją się one kanałami, a nad kanałami posadzi się topole — drzewa szybko rosnące. Nie będą one już sterceć w krajobrazie jak rzadkie, wyskubane pióra. Staną murem gęstej zieleni i ochronią przed wiatrem, zatrzymają wilgoć w glebie.

Opowiadam o tym kierownikowi, nawet o tym, jak nawadnia się całe pustynie. Słucha mnie potakując głową. Rozumie, że oblicze ziemi musi zmienić się wraz z obliczem człowieka.

ARIADNA DEMKOWSKA



Halina Chrostowska-Piotrowicz. Z cyklu „Z PGR-u“

ALEKSANDER TWARDOWSKI

IWAN

Umarł Iwan — zdun nielada,
Szkoda mi krzepkiego dziada...

Wiecznie dymił swą fajczyną
Dziad, gawędziarz pełen werwy.
Nie jadłby i nie pił, ino
Tytoń kurzyłby bez przerwy.

Machorki mi nie żałował,
Najprzedniejszą mnie częstował.

— Naści — mawiał — mój chłopaku,
Zapał, bo mój dobry w smaku,
Zapał, proszę cię, mojego,
Mój nie gorszy od twojego.

I przy każdym poczęstunku
Okazywał ci kawalarz
Tyle serca i szacunku,
Że choć nie chcesz, to zapalas.

Umarł Iwan, chłop uczynny,
Bajarz, palifaja słynny.

Podobno w konania chwili,
Bają młodzi tak i starcy,
Rzekł: „Zegnajcie, ludzie mili,
Nakurzyłem się i starczy!“

Jakby tylko tym się wslawił,
Zanim legł na wieki w grobie,
Jakby tylko pozostawił
Kapciuch z fajką swą po sobie.

Nie, nie darmo pożył Iwan
I nie tylko palił przecie,
Ale śmierć miał nie chępliwą:
Skromnie żył i zmarł na świecie.

Ręce złote miał, więc zwinnie
Szła robota mu uczciwa:
Ile tylko pieców w gminie —
Wszystkie je postawił Iwan.

I na próbę napaliwszy
W piecu składnie i fachowo,
Kiedy buchał ogień żywszy,
Z taką zwracał się przemową:

„Palcie w piecu, jedzcie, pijcie,
Wypiekaście chleb i życie.
Piec jak dąb! Gotujcie, smażcie
Bez remontu lat piętnaście!“

O robotę w polu dbajcie,
Ciasno stoły obsiadajcie.
Piec jak dąb! Gotujcie, smażcie
Bez remontu lat piętnaście!“

Pełnią życia, dobrą chwałą
Rozślawcie ojczyznę całą.
Piec jak dąb! Gotujcie, smażcie
Bez remontu lat piętnaście!“

I na każdym piecu nowym
Dziad, co był nielada chwatem,
Wypisywał swym wzorowym
I szerokim pismem datę.

Aż tu nieoczekiwanie
Umarł dziad — i po Iwanie...
Umarł Iwan, chłop uczynny,
Bajarz, palifaja słynny.

Skromnie zmarł, ale rzecz dziwna,
Tak go widzę w wyobraźni,
Jakby tu pozostał Iwan,
Lecz na chwilę wyszedł za drzwi.

Ludzie dziada wspominają,
Ludzie często powtarzają:
„Zapał, proszę cię, mojego,
Mój nie gorszy od twojego.“

A o mroźnym świecie w zimie,
Nad domami wesołymi
Dymy kłębią się w błękicie,
Śnieg siarczyście się rozświeca,
Coraz więcej ognia w piecach
I jak trzeba, płynie życie.

Przełożył WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

Z białoruskich pieśni ludowych

Kalinka-malinka
Nad jeziorem stała,
Nad jeziorem stała,
Listki upuszczała.

„Oj, córko-córeczko,
Co się z tobą stało?“
Ach, w sercu dziewczyny
Trzy smutku przyczyny.

Nad jeziorem stała,
Listki upuszczała.
Matka własnej córki
Za rok nie poznała.

Ach, w sercu dziewczyny
Trzy smutku przyczyny...
Chłopiec z butną miną
Pierwszą jest przyczyną.

Matka własnej córki
Za rok nie poznała:
„Oj, córko-córeczko,
Co się z tobą stało?“

Chłopiec z butną miną
Pierwszą jest przyczyną.
A przyczyna wtóra
To świekra ponura.

A przyczyna wtóra
To świekra ponura.
A przyczyna trzecia,
Że chłopiec jej nie chciał...

Przełożył MARIAN PIECHAŁ



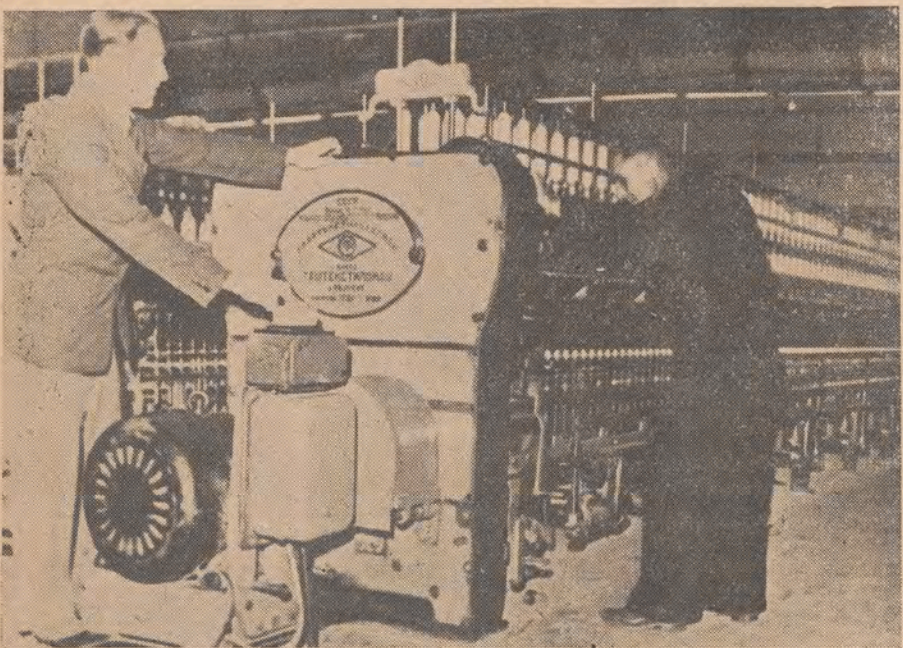
Młodzież polska studiująca w Moskwie — bierze udział w balu akademickim na Kremlu.



Z pobytu radzieckiej delegacji kulturalnej w Łodzi. Znakomita aktorka i reżyser główny moskiewskiego Teatru im. Lenińskiego Komsomolu Z. Biersniewa-Giacyntowa na próbie analitycznej „Ożenku” M. Gogola w Teatrze Ziemi Łódzkiej.



Występy „Mazowsza” w Moskwie spotkały się z entuzjastycznym przyjęciem.



Radziecka technika pomaga polskim robotnikom. W te nowe maszyny włókiennicze Związek Radziecki wyposażył Kombinat Bawełniany im. M. Nowotki w Piotrkowie.

JAN SZCZEPAŃSKI

PROBLEM ŁÓDZKIEGO ŚRODOWISKA NAUKOWEGO

CZY MOŻNA mówić o problemie łódzkiego środowiska naukowego? Czy środowisko to nie jest faktem dokonanym? Czy w Łodzi nie ma 10 wyższych uczelni i szeregu instytutów naukowych, skupiających kilkuset pracowników naukowych, prowadzących intensywnie prace badawcze? Czyż w Łodzi nie odbywają się zebrania naukowe, na których pracownicy nauki przedstawiają wyniki swoich badań, czyż pracownicy ci nie opublikowali w okresie mijającego 10-lecia kilku tysięcy książek, skryptów, rozpraw, artykułów, recenzji i przyczynków?

Niewątpliwie w Łodzi istnieje cały szereg środowisk naukowych. Ale też istnieje problem łódzkiego środowiska naukowego, problem atmosfery twórczej pracy naukowej, problem zapewnienia odpowiednich warunków tej pracy, problem powiązania pracy naukowców z życiem, dążeniami i zainteresowaniami szerokich mas mieszkanców miasta, problem wpływu i współudziału pracowników nauki w kształtowaniu socjalistycznego oblicza kulturalnego miasta. Problem dotychczas nie rozwiązany. Gdybyśmy chcieli dokonać przeglądu wyników i osiągnięć nauki łódzkiej w minionym dziesięcioleciu Polski Ludowej, to moglibyśmy przytoczyć liczby imponujące. Sami pracownicy Uniwersytetu Łódzkiego opublikowali w tym okresie ponad dwa tysiące prac naukowych, do tego dochodzą jeszcze setki prac wykonanych przez pracowników innych uczelni i instytutów. Moglibyśmy wskazać wielkie osiągnięcia i w zakresie szkolenia nowych kadr: Uniwersytet Łódzki wydał 124 dyplomy doktorskie, 3 576 dyplomów magisterskich; w tej chwili do prac kandydackich przygotowują się dziesiątki aspirantów i asystentów; w Politechnice wydano 21 dyplomów doktorów nauk technicznych, 1251 dyplomów inżynierów-magistrów; Akademia Medyczna, Wyższa Szkoła Ekonomiczna i Wyższa Szkoła Pedagogiczna również mogą się poszczycić setkami napisanych prac dyplomowych wszelkich stopni. Czyż więc Łódź nie jest siedzibą intensywniejszej pracy naukowej? Czy można mówić o problemie łódzkiego środowiska naukowego?

Można i trzeba, właśnie teraz, kiedy prace naukowo-badawcze w Polsce wchodzi w nową fazę rozwoju — po powołaniu Polskiej Akademii Nauk i po rozpoczęciu planowych badań naukowych we wszystkich dyscyplinach. W tej chwili każdy zakład naukowy — czy to instytut samodzielny czy zakład wyższej uczelni — ma swoją tematykę przydzieloną poszczególnym pracownikom oraz w przybliżeniu wyznaczone terminy wykonania prac. Rozpoczęto również systematyczne finansowanie prac naukowych. Stworzono cały szereg wydawnictw umożliwiających drukowanie napisanych rozpraw. Nigdy jeszcze warunki pracy naukowej nie były tak korzystne jak teraz. Dlatego teraz można się pokusić o to, co się dotychczas nie udawało, mianowicie o stworzenie łódzkiego środowiska naukowego.

Na problem ten składają się, ogólnie biorąc, dwie sprawy: kontaktów, wymiany myśli i doświadczeń, dyskusji metodologicznych i wzajemnego oddziaływania na siebie pracowników naukowych, oraz sprawa zainteresowania się nauką przez władze miejskie i ludność miasta.

Dlaczego obie te sprawy dotychczas, po dziesięciu latach, są ciągle otwarte? Szybki rzut oka na historię nauki łódzkiej wyjaśni wiele, chociaż nie wszystko. Wyższe uczelnie łódzkie i instytucje naukowe organizowały się tu w bardzo krótkim okresie powojennej odbudowy. Od samego początku trzeba było prowadzić pracę na wielu frontach: zdobywać pomieszczenia na sale wykładowe, laboratoria, biblioteki i biura; prowadzić intensywną pracę dydaktyczną, gdyż do szkół napływały tysiące studentów z całej Polski; organizować dopiero pracę naukową i szkolić młode kadry. Wreszcie przed pracownikami naukowymi stało zadanie nawiązania do pięknych tradycji łódzkiej inteligencji, która stworzyła tu, w latach międzywojennych, ognisko żywej pracy intelektualnej; należało rozwinąć szeroko twórczą pracę naukową i popularyzacyjną, wprowadzić ją w treść codziennego życia miasta i przyczynić się do nadania miastu nowego, socjalistycznego oblicza kulturalnego.

Lecz jakie warunki muszą być wypełnione, aby w jakimś środowisku mogła się rozwinąć twórcza praca naukowa? Przy współczesnym stanie wiedzy i jej niesłychanej specjali-

zacji twórcze prowadzenie badań wymaga wysoko zorganizowanego warsztatu i wysoko wykwalifikowanych kadr. Warsztat naukowy to nie tylko lokal ze wszystkimi potrzebnymi aparatami i pomocami, biblioteką i kompletem bieżącego czasopiśmiennictwa fachowego, lecz także suma indywidualnej wiedzy i umiejętności, koncepcji, bibliografii, notatek i materiałów zebranych według pewnych dyrektyw metodologicznych przez poszczególnych pracowników. Tak więc warsztaty naukowe tworzą się dopiero w ciągu szeregu lat systematycznej i ciągłej pracy.

Jak przedstawiały się te sprawy w Łodzi? Zaczniemy od sprawy kadr. W roku 1945 zjechało się do Łodzi wielu wybitnych profesorów z Warszawy, Wilna, Lwowa, zjechali pracownicy dawnej Wolnej Wszechnicy Polskiej, której oddział był od r. 1928 jedyną wyższą uczelnią w Łodzi. Nie brakło tu w tym okresie świetnych nazwisk, posiadających ustaloną sławę w nauce polskiej i światowej. Zdawało się, że skupienie liczego grona naukowców pociągnie za sobą stworzenie warsztatu twórczej pracy, które związa te kadry na stałe z naszym miastem. Stało się jednak inaczej. Możemy mówić o trzech okresach w dziejach łódzkiej kadry naukowej. Pierwszy — to okres wielkiej koncentracji. Gdzieś w latach 1948—1950 zaczyna się okres drugi — okres odpływu, spowodowany szybko postępującą odbudową Warszawy, reformą studiów wyższych i idącą w ślad za tym „racjonalizacją” kierunków studiów. W tym okresie odpływa z Łodzi większość wybitnych nazwisk. Nie miejsce tu teraz na rozważania, ile w tym procesie odtotu jest winy „Łodzi”, a ile władz centralnych, które z lekkim sercem ogłaszały Łódź z uczonych, artystów, pisarzy, czasopism, teatrów. W tym okresie uczelnie wyższe zostały bardzo zubożone. Wreszcie zaczyna się okres trzeci, kiedy w łódzkich placówkach naukowych zaczyna coraz szerzej dochodzić do głosu młode pokolenie, które w uczelniach łódzkich uzyskało tytuły doktorów, docentów i profesorów.

„Kadry decydują o wszystkim”, a przede wszystkim w pracy naukowej, więc ów proces kształtowania się rozwoju kadr musiał wpłynąć i wpłynął ujemnie na rozwój łódzkiej kadry naukowej, na osłabienie intensywności łódzkiego życia naukowego. Na tych odcinkach nauki, gdzie już w pierwszym okresie rozbudowano wspólną bazę materialną zakładów naukowych, a więc w Politechnice, proces „odlotu” przebiegał łagodniej, a i jego skutki nie dały się tak ostro we znaki. Podobnie w Akademii Medycznej. Lecz w Uniwersytecie w tym okresie reformy i racjonalizacji zwinęto kilkanaście kierunków studiów, wstrzymano rozwój wielu zakładów i instytutów, które były ośrodkami żywej pracy twórczej. Zwłaszcza ostro została dotknięta humanistyka. Jest rzeczą wprost niezrozumiałą, że w Łodzi nie rozległ się ani jeden głos protestu przeciwko ograniczeniu humanistyki uniwersyteckiej do studiów polonistycznych i historycznych, przeciwko zwinieniu humanistyki w Wyższej Szkole Pedagogicznej. Fakt, że zwinienie studiów filozoficznych, społecznych, neofilozoficznych, pedagogicznych i szeregu innych przeszło w opinii łódzkiej zupełnie niepostrzeżenie, mówi nam bardzo wiele o braku więzi między tymi ośrodkami naukowymi a miastem. Wiele katedr uniwersyteckich, pozbawionych dopływu słuchaczy, a później i asystentów, musiało ograniczyć swoją działalność naukową do drobnych prac nielicznego grona pracowników utrzymujących się przy wegetującym zakładzie.

Jeśli chodzi o nauki techniczne i lekiarskie, to możemy powiedzieć, że w Łodzi powstało żywe środowisko naukowe. Politechnika Łódzka, jedna z najlepiej rozbudowanych i wyposażonych uczelni polskich, jest mocnym zapleczem dla poważnego ruchu naukowego w dziedzinie techniki. Ponadto nauki techniczne są w Łodzi reprezentowane przez szereg instytutów, jak Instytut Włókiennictwa, Instytut Techniki Ciężkiej, Instytut Celulozowo-Papierniczy i in. W oparciu o taką bazę, przy ścisłej współpracy z przemysłem i ruchem racjonalizatorskim, nauki techniczne rozwinęły się bardzo bujnie. Nie bez znaczenia jest również rozległa działalność Naczelnej Organizacji Technicznej. Nie jest to, oczywiście, sprawa przypadku. W mieście przemysłowym, w okresie realizacji narodowych planów gospodarczych, stanowiących przecież wielką rewolucję techniczną, nauki techniczne, które umiały nawiązać kontakt i współpra-

cać z produkcją, musiały się rozwinąć najlepiej. Podobnie Akademia Medyczna, jakkolwiek, gdy chodzi o znalezienie odpowiedniej bazy materialnej, walczy z daleko większymi trudnościami niż Politechnika; jakkolwiek też straciła wielu pracowników nauki na rzecz Warszawy, jest ciągle ośrodkiem żywej pracy badawczej, wynikającej z praktyki w służbie zdrowia, z konieczności sprawowania opieki naukowej nad lekarzami-praktykami — no i wreszcie z niezachwianej woli pracy naukowej. Nie jest chyba przypadkiem, że wśród pracowników nauki współdziałających z Towarzystwem Wiedzy Powszechnej przodują profesorem Akademii Medycznej.

W Uniwersytecie natomiast, gdzie baza materialna była najslabsza, gdzie zainteresowanie opinii publicznej miasta dla wielu dziedzin teoretycznych było najmniejsze, odpływ kadr naukowych musiał wywołać osłabienie pracy badawczej. Dla wielu kierunków pracy uniwersyteckiej naukowej zabrakło więc po prostu możliwości dalszego rozwoju: zarówno bazy materialnej, jak i kadr. Można stwierdzić, że te kierunki studiów, które w Uniwersytecie Łódzkim są nadal reprezentowane, rozwijają się dobrze, że są ogniskami żywej i twórczej pracy, o czym świadczą ciągle nowo ukazujące się publikacje i przygotowane rozprawy kandydackie. Lecz trzeba również stwierdzić, że próby zorganizowania uniwersyteckiego środowiska naukowego stoją na martwym punkcie.

Zdawałoby się, że taką właśnie formą organizacyjną tego środowiska powinno być Łódzkie Towarzystwo Naukowe, skupiające w swoich trzech wydziałach: 1. językoznawstwa, nauki o literaturze i filozofii, 2. nauk społecznych i historycznych, 3. nauk matematyczno-przyrodniczych — wszystkich zaawansowanych pracowników naukowych wyższych uczelni. Cztery wydziały Towarzystwa, Wydział Nauk Lekarskich, skupia lekarzy. Łódzkie Towarzystwo odegrało w życiu naukowym Łodzi bardzo poważną rolę, jednak nie spełniło jednej nadziei — nie stało się ośrodkiem żywej, powszechnie znanej pracy badawczej, żywej wymiany myśli, dyskusji i ścierania się poglądów. Bogata działalność zebraniowa i odczytowa Towarzystwa, w którym członkowie referują swoje prace, nie skupia ogółu naukowców należących do poszczególnych wydziałów. Najważniejszą zastugą Towarzystwa jest jego działalność wydawnicza. Organizowana w ostatnich latach akcja popularyzacyjna Towarzystwa przyczynia się do wzbudzenia zainteresowania jego działalnością wśród mieszkańców Łodzi i może zapoczątkować szeroki ruch łączności między uczonymi i łódzką klasą robotniczą.

Dokonana w ostatnich latach praca organizacyjna, powstanie szeregu instytutów uniwersyteckich, zespołów katedr i katedr zespołowych posiadających kilku współpracujących profesorów, stwarza szczególnie sprzyjające warunki do rozwoju nauki i wzmożenia oddziaływania na poziom kulturalny miasta. Ośrodki nauk technicznych i lekarskich grają bardzo poważną rolę w kształtowaniu poziomu umysłowego miasta, jego stylu życia i pracy. Niewątpliwie wypełniają luki dotknięte przez Łódź odczuwane. Jednakże najważniejsze zadania przypadają tutaj naukowemu dyscyplinom uniwersyteckim, jako najbardziej związanym z odbudową, najbardziej powołanym do tworzenia ogólnej syntezy i poglądu na świat. Historia wskazuje, że właśnie uniwersytety, a nie inne typy uczelni, wyszciskały najmocniej piętno na życiu umysłowym miast, w których pracowały. Uniwersytet może spełnić taką rolę w naszym mieście.

Aby jednak można było mówić o powstaniu łódzkiego środowiska naukowego, winny być spełnione następujące warunki: 1. zniesienie izolacji między poszczególnymi zakładami naukowymi w ramach uczelni i między uczelniami; organizacja kontaktów między pracownikami naukowymi różnych uczelni; uczelnie wyższe winny interesować się swoją pracą, wymieniać doświadczenia i wzajemnie sobie pomagać; 2. trzeba zorganizować stałą informację o pracy i osiągnięciach, trudnościach i potrzebach łódzkich zakładów pracy naukowej, popularyzować wyniki ich badań. Trzeba, aby pracownicy nauki spotykali się z pracownikami sztuki i literatury. Trzeba, aby poszczególne dziedziny twórczości nie żyły odosobnione, zamknięte w swoim własnym kręgu, lecz by przedstawiciele wszystkich dziedzin twórczości spotykali się na gruncie swo-

(Dalszy ciąg na str. 13)

O WIERSZACH TADEUSZA RÓŻEWICZA



Ukazanie się tomu wierszy zebranych Tadeusza Różewicza powoduje pytania o drogę poety. Jaka była? Wydaje się, że była konsekwentna, zwłaszcza gdy spojrzymy uważnie na miejsce, skąd Różewicz wyszedł. I miała od razu wyraźny drogowskaz: w stronę życia. Choć początkowo droga prowadziła przez zgłiszczą wiedzy o życiu, w cieniu śmierci.

Już w pierwszej książce — „Niepokój”, 1947 — bohater liryczny wierszy jest cały widzialny, możliwy do określenia w kategoriach społecznych i politycznych, ukształtowany pod presją rzeczywistości, współczesny i żywy. Świadczy to o wyjątkowej dojrzałości debiutu. Tę opinię potwierdza dalszy rozwój poety. Bohater liryczny wierszy — ten, którego poznaliśmy w „Niepokój” — w żadnej z następnych książek Różewicza nie ginie. A przecież zdarzało się to na innych drogach poetyckich, zwłaszcza na gładkiej nawierzchni schematyzmu i deklaracyjności. Wówczas bohatera lirycznego zastępował mechanizm, który nierzadko perorował wcale precyzyjnie. Różewicz omijał schematy, które obejmowały rzeczywistość dlatego tylko, że ją upraszczały — rezygnował z pozorów szybkiego rozwoju poezji. Linia jego twórczości nie była przerywana przez nagłe zwroty, bohater liryczny kształtuje się z dnia na dzień — i czytelnik jest przy tym, te wiersze są doświadczane.

Wojna wypełniła pamięć poety szczególnie i na długo. Są w „Niepokój” jak gdyby fotografie wstrząsających chwil: „Matka powieszonych”, „Dola”, „Dwa wyroki”. Tu autor tylko rysuje konkretne obrazy, nie opatrując ich żadnym komentarzem, nie formułując wniosków. Takich właśnie wierszy, w których Różewicz poprzestaje na statycznym opisie, nie odczytując morału — jest dużo. Stanowią one wyraźny typ w jego poezji. Ale nie one dominują. Już od pierwszej książki przeważają utwory o innym charakterze — obrachunki moralne. Najpierw obrachunek z dymiącymi jeszcze zbrodniami faszyzmu. Ma on wyraźny charakter polityczny, określony przez sytuację, w jakiej go Różewicz dokonywał zaraz po wojnie. Była to sytuacja człowieka, który ocalał, ale tylko biologicznie. Nie mógł natomiast ocalić konwencji etycznych. Te bowiem zostały doszczętnie zburzone przez walący się światopogląd mieszczańskiego liberalizmu i pacyfizmu, do którego przynależały. Normy moralne, które oszukani brali za realność, okazały się tylko mitami. W szeregu oszukanych był Tadeusz Różewicz.

Mam dwadzieścia cztery lata
ocalałem
prowadzony na rzeź.

To są nazwy puste i jednoznaczne:
człowiek i zwierzę
miłość i nienawiść
wróg i przyjaciel
ciemność i światło.

Pojęcia są tylko wyrazami:
cnota i występki
prawda i kłamstwo
piękno i brzydota
męstwo i barbarzyństwo.

(„Ocalony”).

Dla moralisty Różewicza droga do życia prowadziła poprzez zdobycie przekonania, że właśnie nie jest tak, jak myślał w tym wierszu. Że pojęcia „cnota i występki, prawda i kłamstwo” nie są tylko wyrazami, lecz odpowiadają określonym czynom ludzkim i zjawiskom społecznym, mogą służyć ich ocenie.

Szukam nauczyciela i mistrza
niech przywróci mi wzrok, słuch i
mowę
niech jeszcze raz nazwie rzeczy i
pojęcia
niech oddzieli światło od ciemności.

Tym nauczycielem stała się rzeczywistość, widziana w miarę upływu czasu coraz szerzej. W niej szukał poeta uzasadnienia wiarygodności ocen etycznych. Stąd też charakterystyczna cecha poezji Różewicza: poeta przedstawia świat tak, jak gdyby go w swoich utworach konstruował od podstaw. Nawet określenie „budownictwo rzeczywistości w wierszach” wydaje się tutaj sposobne. Bowiem rozwój twórczości Tadeusza Różewicza można porównać do żmudnego wznoszenia elementów życia, począwszy od najprostszych, na ziemi spalanej przez wojnę. Tak pojęte budownictwo rzeczywistości w wierszach Różewicza jest jednoznaczne z kształtowaniem się światopoglądu poety.

Ścisłe powiązanie procesu twórczego z rozwojem ideologicznym autora — w poezji Różewicza jest szczególnie widoczne. W konsekwencji przemiany bohatera lirycznego — wspominaliśmy już o tym — nie nikną z oczu czytelnika, można je obserwować z wiersza na wiersz.

Zdarzało się często zaraz po wojnie, gdy infiltracja obcych poetyk była dość silna, a zdarza się i nadal — że młodzi poeci wybierają gotowe wzory przedstawiania świata na zasadzie ich atrakcyjności, mody lub też osobistych upodobań. Często też wybrane w ten sposób szablony nie odpowiadają zupełnie treściom, które poeta chce wypowiedzieć. Natomiast poetyka Różewicza — cokolwiek dałoby się powiedzieć o jej cechach dziedzicznych — wynika ze stosunku poety do rzeczywistości, rozwija się wraz z kształtowaniem się poglądu Różewicza na świat, jest uwarunkowana jego postawą moralistyczną. Na przykład Różewicz, mimo intelektualną problematykę swej poezji, zgola nie operuje pojęciami: dobro, zło, sprawiedliwość, nadzieja. Ich miejsce w wierszach zajmują konkrety — nazwy rzeczy, opisy zdarzeń. W tej metodzie — a jest ona realistyczna — uwidacznia się nieufność poety wobec pojęć etycznych, sponiewieranych przez praktyki faszyzmu. Wyrażanie tego, co ogólne, poprzez konkrety jest tutaj jak gdyby konfrontowaniem rzeczywistości z terminami: miłość, zbrodnia, człowieczeństwo. Na marginesie zanotujmy, że niechęć Różewicza do abstrakcji różni jego technikę poetycką od stylu Eluarda. Ale ta nieufność wobec pojęć, wręcz ucieczka od słów — do wymowy rzeczy i faktów, zatacza w poetyce Różewicza jeszcze szersze kręgi. Powoduje rezygnację z rygorów wersyfikacyjnych. Niechaj między rzeczywistością a poezją nie staje żaden pośrednik, nawet rym, żaden przyzmat, w którym obraz świata mógłby się zalać.

Omówione tu założenia pisarskie Różewicza dają piękne wyniki, ale tylko tam, gdzie nie wkracza maniera udziwniania świata, widoczna zwłaszcza w „Niepokój”, „Czerwonej rękawiczce” i w poemacie „Elegia prowincjonalna”.

Ciekawe, że i ta szkodliwa maniera nie jest wyłącznie jakimś formalistycznym pomysłem. Wiąże się ona ze szczególną postawą moralistyczną, którą chciałoby się określić jako zapamiętanie się w przerażeniu, w pesymizmie. Udziałnił więc, atomizował świat, deformował jego prawdziwy obraz. Wyzwalanie się od tej dekadencjonalnej manieri następowało w miarę, jak otaczająca poetę rzeczywistość nasycała optymizmem pogląd na świat.

Bliskie tym sprawom jest zagadnienie „obsesji” wojny u Różewicza. Wojna zdruzgotała złudzenia mieszczańskiego humanitaryzmu. Żeby odbudować wiarę w człowieka, trzeba było wspomnienie wojny zrozumieć. Trzeba było zobaczyć wojnę nie w wymiarach apokalipsy, lecz w kategoriach historycznych i społecznych. Jest to proces dla rozwoju Różewicza ważny. Zmienia się, kształtuje wspomnienie wojny, pamięć wydobywa sens polityczny minionej grozy. Głos walczącego o pokój brzmi w poezji Różewicza szczególnie przejmująco.

Zakres tematyki poezji Różewicza stale się rozszerza. Prawie wszystkie zjawiska, które rysują prawdziwe oblicze naszego czasu — znalazły w jego wierszach odbicie. Towarzyszy temu rozwój samej poetyki. Otrzymujemy pełną plastykę obrazów. Jej zapowiedzi istniały już dawno, ale właśnie zapowiedzi, gdyż mimo konkretności, którymi poeta operował, poszczególne elementy obrazów poetyckich były ze sobą skojarzone dość luźno. W wierszach przeważała plastyka sytuacji. Osiągał ją poeta poprzez częste wprowadzanie dialogu, fragmentów rozmowy potocznej, dramatyzowanie narracji. Nowe wiersze Różewicza przynoszą, co od razu rzuca się w oczy, wyraźne, sugestywne obrazy:

Urodził się na stepie
wśród widnokręgów
co rosną
jak kręgi na wodzie
nieskończenie
toczą się w niebo otwarte.

Dawniej plastyczne przedstawianie sytuacji ograniczało się do krótkich epizodów, zanotowanych chwil. Dalsze kształtowanie się tej metody prowadzi do udratyzowanej noweli poetyckiej. — „Stara chłopka idzie brzegiem morza”. Te dwa sposoby plastycznego przedstawiania świata — plastyka obrazów i plastyka sytuacji — zespala się ze sobą w nowych wierszach Różewicza.

Powstaje dojrzały i pełny utwór epicki „Widnokręgi”.

Tadeusz Różewicz walczy o spełnienie wielkiego pragnienia:

Chciałbym nie mówić
lecz czynić słowami
aby słów moich dotknęły rękami
ludzie.

MIROSLAW OCHOCKI

JAN ŚPIEWAK

Do XY

O czułości nie mów mi źle, że jest zbędna,
Chciałbym nauczyć się jej od przepiórki, od polnego konika.

Nie strofuj mnie za to, że wpatruję się w zieleni,
Boję się uronić kroplę jasności z listeczka traw.

Nie mów mi, że drzewa nie poruszają się, że gałęzie nie klaszczą.
Wszystko się rozwija i przekształca, nie stoi w miejscu.

Nie odwracaj mnie od litości, od troski serdecznej,
Lituję się nad każdym zgasłym motylem. To pomaga mi żyć.



Pieśń zapomnianych ścieżek

O wy drobne polne ścieżki biegnące na oślep
Pośród żyta, co zwiegdło, pośród wiatru, co przewiał.
O wy ścieżki w podwórzu starte stopą drobniotką.
O wy ścieżki, po których nie biegałem ni razu.

O wy ścieżki chłopięce, konie, promy i tratwy,
Śmigające wysoko, bezimiennie, bliźniacze.
Wy o chytrym spojrzeniu, niedokrwiście, łakome,
Opiewane przez świerszcze fruujące nad rzeką.

Wy ogrody dzieciństwa i surowych doświadczeń,
Niespełnione, przecute, blakające się obok.
Wymuskane, odświętne i przybrane kwiatami,
Ścieżki strome jak dłonie uniesione do góry,

Wy jak usta zacięte, ścieżki lustra obłoków,
Które nigdzie nie wiada, rozigrane i drwiące.
Ścieżki śnieżne tulupy, rękawice baranie,
Ścieżki, które odeszły i zbliżają się nagle.

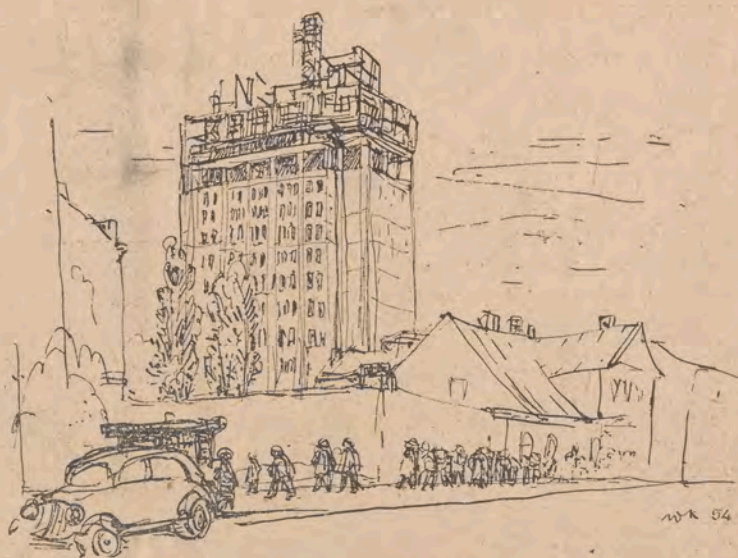
Starł was śnieg, starło lato, starły deszcze i burze.
Odplynęły dawno i już nie ma was więcej.
Ścieżki dzwonki, stokrotki, ścieżki muszle gwarzące,
Ścieżki chmury minione, ścieżki mądre błękity.

STARA I NOWA ŁÓDŹ

Rys. Wacław Kondek



Baluty — ul. Zachodnia



Śródmieście — wieżowiec od ul. Narutowicza



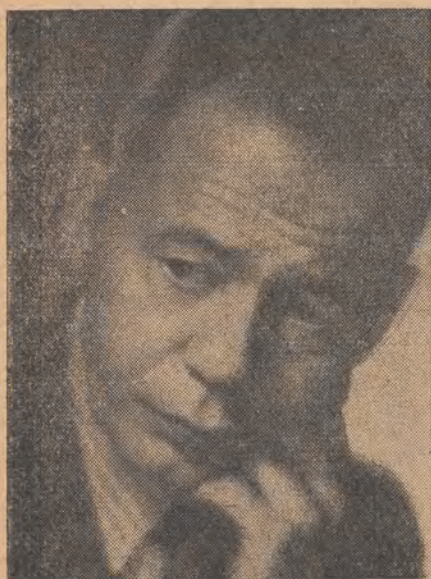
Podwórze na Chojnach



Nowe „Stare miasto”

W OCZACH HISTORYKA

W Roku przyszłym przypada trzecie setna rocznica bohaterskich walk narodu polskiego z najazdem szwedzkim. W dziejach naszych siedemnastego wieku znajduje wiele ciemnych kart. Ucisk mas ludowych, warcholstwo i zdradziecka polityka rządzącej Rzeczpospolitą magnaterii, tępy fanatyzm i obskurantyzm reakcji katolickiej, oto najbardziej ponure karty historii tego stulecia. Nie tylko jednak one składają się na dzieje tego okresu. Obok nich znajdziemy wiele jasnych stron naszej historii, na



Stanisław Czernik

których zapisały się postępowe, patriotyczne tradycje naszego narodu. Jedną z najpiękniejszych kart będzie wyzwolenie walka mas ludowych przeciw szwedzkiemu najazdowi w tak zwanych latach „potopu”, 1655—1660.

Tak urzekająca powieść Sienkiewicza, jak „Potop”, nie tylko zaciążyła w niezwykle silny sposób na opinii przeciętnego czytelnika, ale nawet wywarła duży wpływ na badania naukowe. Pewne usankcjonowane przez Sienkiewicza pomyłki lub zgola oczywiste fałszywe dane historyczne zostały zaliczone do prawd narodowych, których podważanie ściągało na śmiałości zarzut „szargania świętości”. Tak było na przykład z legendą obrony Częstochowy. Każdy Polak wiedział z „Potopu” o olbrzymich armiach szwedzkich, zaopatrzonych w potężną artylerię, ponoszących olbrzymie straty przy oblężeniu częstochowskiego klasztoru. Tymczasem gruntowna rozprawa szwedzkiego historyka T. Westrina, wydana w pierwszych latach bieżącego stulecia, wykazała, na jak kruchych podstawach opierała się legenda obrony Częstochowy. Okazało się, że klasztor częstochowski oblegany był przez nieduży oddział szwedzki liczący niewiele ponad tysiąc żołnierzy, w tym zaledwie 400 piechoty, i dysponujący bardzo słabą artylerią, kilkakrotnie słabszą od artylerii klasztornej, że straty szwedzkie — zaledwie kilkunastu ludzi — były mniejsze niż te, jakie trafiają się w zwykłej potyczce. Nacisk ideologii burżuazyjnej był tak wielki, że źródłowa rozprawka Westrina pokryta została całkowitym milczeniem i historiografia nasza w dalszym ciągu powtarzała fantastyczne wiadomości o obronie Jasnej Góry. Dopiero w ostatnich czasach śmiało badania prof. Olgierda Górki wykazały, w jaki sposób powstawała daleka od rzeczywistości historycznej „legenda obrony Częstochowy”.

Sienkiewicz z dużą wiernością historyczną oddawał wiele drobnych i nieistotnych faktów, z drugiej jednak strony nie dostrzegał sprawy tak ważnej, jak udział mas ludowych w walce ze szwedzkim najazdem.

Dlatego też mimo pietyzmu, z jakim odnosimy się do arcydzieła Sienkiewicza, nie możemy na tej podstawie urabiać sobie wizji owego okresu. Trzeba dać szerokim warstwom czytelników nowy obraz rzeczywistości historycznej XVII stulecia. W pewnym jednak stopniu dokonały tego badania historyczne. Przede wszystkim trzeba tu wymienić śmiało i pionierskie badania zmarłego tragicznie przed niewiele dniami znakomitego znawcy XVII w. prof. Stanisława Szczotki, dotyczące udziału chłopów w walce z najazdem. Tymi śladami poszły i inne prace. Na ogół jednak w tym zakresie nie możemy poszczycić się zbyt obfita nowszą literaturą historyczną. Pewnym przełomem w interpretacji okresu „potopu” będzie kilkutomowe dzieło przygotowywane zespołowo pod redakcją prof. K. Lepszego przez „Państwowe Wydawnictwo Naukowe” na r. 1955.

Zanim jednak historycy będą mogli dać należyta ocenę tych ważnych wydarzeń sprzed trzech stuleci, spróbowa- li to zrobić literaci. I właśnie ze środo-

wiska łódzkiego wyszły dwie powieści, w nowatorski sposób usiłujące przedstawić udział mas ludowych w walce o wyzwolenie Polski od szwedzkiego najazdu. Trzeba powiedzieć, że zarówno powieść S. Czernika, jak i W. Rymkiewicza dają czytelnikowi prawdziwy obraz rzeczywistości siedemnastowiecznej.

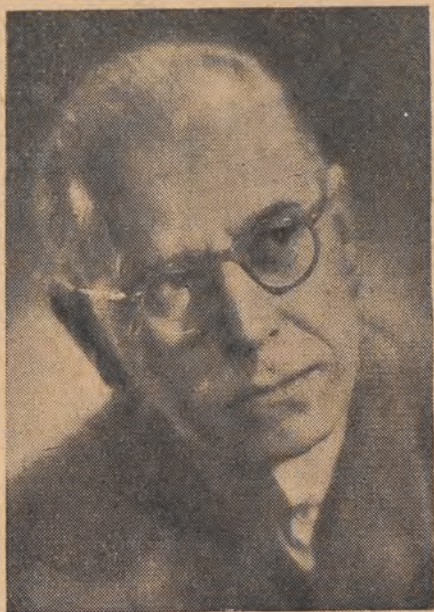
Książka Czernika „Uniwersał Czarnieckiego” przedstawia fragment walki, którą z najazdem szwedzkim prowadzili partyzanci chłopscy. Akcja tej interesującej opowieści rozgrywa się we wsi Pogrzebieni i w okolicach, w widłach Wisły i Sanu, pamiętnych z zasadzki, którą tam przygotował na Szwedów regimentarz Czarniecki. Karol Gustaw ledwo umknął wtedy ze zrecznie zastawionej nań pułapki. Autor podjął próbę odtworzenia postaci Stefana Czarnieckiego jako wodza, który potrafił porwać chłopstwo do obrony kraju, niekiedy wbrew oporom możnowładców i szlachty, przeciwnie dawaniu „chamstwu” broni do ręki, jako że w przyszłości broń ta mogła być użyta przeciwko stanowi szlacheckiemu.

Szkoda, że ta trafna koncepcja została potraktowana przez Czernika zbyt szkieco.

Jako przedstawiciel zacofanych i warcholskich odłamów szlachty występuje stronnik Karola Gustawa, pan kasztelan Mniszek, właściciel wsi Pogrzebieni, w której gąsior i dyby symbolizują ponurą dolę uciemiężonego chłopstwa.

Na tle życia folwarczno-pańszczyźnianej wsi polskiej, konfliktów między gromadą a dworem, toczy się dramatyczna fabuła „Uniwersału”.

Dziedzicowi-zdradcy autor przedstawia plastycznie i żywo odmalowane postaci Magdy Hadziecowej, Łysienka,



Władysław Rymkiewicz

Onufrego i arińskiego myśliciela Samuela Cieszkowskiego. Natomiast pozostałe „personae dramatiae” są ledwie naszkicowane i słabo zindywidualizowane.

Trzeba podkreślić zalety stylistyczne utworu, czystą, piękną polszczyznę. Ponadto rzecz napisana jest z poważną erudycją historyczną. Z nieprzeciętną znajomością realiów obrazuje autor kulturę materialną ówczesnej wsi polskiej, jej życie obyczajowe i strukturę wewnętrzną. Rozróżnienie siedemnastowiecznego chłopstwa zostało przedstawione w sposób zgodny z historycznym stanem rzeczy.

Natomiast pewnemu spyceniu uległ skomplikowany problem ariński w dobie „potopu”. Na pół groteskowa, na pół tragiczna scena napadu na dom arińskiego myśliciela, Samuela Cieszkowskiego, autora traktatu „O ostatecznym zrównaniu rodzaju ludzkiego”, nie jest typowa dla tego rodzaju zagadnień. Trudny ten problem wymagałby zresztą specjalnego pogłębienia.

Do zalet utworu zaliczyć trzeba również bogate elementy ludowości oraz świetnie stylizowane na ówczesną modłę piosenki. W całości „Uniwersał Czarnieckiego” nie jest jednak powieścią, lecz raczej dużym opowiadaniem historycznym, czym chyba miał być w zamiśle autorskim.

Szerszy obraz ówczesnych wydarzeń daje powieść W. Rymkiewicza „Rycerze i ciury”, której nowe wydanie ukazało się w ostatnich dniach. Bohaterem książki Rymkiewicza jest historyczna postać jedynego chłopskiego dowódcy partyzantki ludowej, młynarza Michałka spod Tucholi. Na ogół dowódcami chłopskich oddziałów partyzanckich byli „szlachetnie urodzeni”, jak Żegocki i inni. Michałko był jedynym chłopem, który dostąpił rangi dowódcy partyzantów.

W „Rycerzach i ciurach”, jak i w „Uniwersale”, uwaga autora skupia się na stosunkach wiejskich, na konfliktach między chłopami a panem feudalnym, a przede wszystkim na

współdziale chłopskich ochotników w walce ze Szwedami. Marginesowo, lecz wnikliwie przedstawia Rymkiewicz również życie ówczesnego miasteczka (Starogardu), życie wędrownych ludzi — tzw. luźnych — żołnierzy itd. Obok tego widzimy dwór królewski, zgangrenowaną magnaterię i szlachtę.

Bogate w realia i trafiające do wyobraźni czytelników są sceny ilustrujące ucisk pańszczyźniany, tyranie szlachecką i kontrasty między przepychem „szlachetnie urodzonych” a nędzą chłopską. Pomimo uwarunkowania sta- nowego i wynikających stąd ograniczeń potrafił chłop ująć za oręż i stanąć do walki z wrogiem w obronie ziem ojczystej.

Rymkiewicza cechuje duża odwaga i nowatorstwo w obrazowaniu tła historycznego. Wiele zagadnień, które dopiero nieśmiało zasygnalizowane zostały przez zawodowych historyków, np. na odbytej w r. 1952 metodologicznej konferencji otwoczek, znajduje już szerokie rozwinięcie w jego powieści. Nie wiemy jeszcze z pewnością, czy

sformułowania Rymkiewicza znajdują potwierdzenie w prowadzonych dopiero badaniach historycznych. Bardzo śmiała na przykład jest teza, według której udział chłopów w wyzwolenie walce oraz idąca za tym pewna ich emancypacja polityczna, grożąca zaostreniem konfliktów klasowych, były jedną z przyczyn pierwszych oczyszczowań. Niemal rewelacyjny jest ostrożnie zresztą sugerowany pogląd, że znany zdrajca spod Ujścia, wojewoda poznański, Krzysztof Opaliński, niekoniecznie musiał być autorem śmiałych i postępowych w owym czasie „Satyr”. Istotnie, były to czasy, gdy możni panowie bezceremonialnie podpisywali swoim nazwiskiem utwory swych sekretarzy lub specjalnie wynajętych poetów.

Niezaprzeczoną wartością obu powieści jest to, że są one udaną próbą przedstawienia ówczesnych stosunków ucisku i tyranii bez idealizujących ob- słonek, ukazania nędzy i poniżenia chłopskiego w całej okrutnej prawdzie feudalnego ustroju.

BOHDAN BARANOWSKI

ANTONI KASPROWICZ

Z „POEMATU O MARIANIE BUCZKU”



W mrocznej celi zamkowej pod więzienną kratą
Modli się książdż Fortuna i wdycha jak frater:

„Pax hominibus daj, Panie, secundum cor Dei,
Albowiem ubi crux, ibi lux w nadziei.

Błogosław więc cierpiącym w fabrykach, folwarkach,
Tym, którzy trud ojczyzny dźwigają na barkach,

Błogosław, Omnipotens, chorym i ułomnym,
Błogosław bezrobotnym, głodnym i bezdomnym,

Tym wszystkim, którzy krew swą oddali krajowi,
I tym, za których płaci Belweder Rzymowi...”

Modli się książdż Fortuna i wdycha jak frater:

„Omnipotens, Tyś tutor et ultor i Pater”.

Reszta więźniów głębokim snem głodnych, obitych —
Śpi. Tylko Buczek, w drugiej już Rzeczypospolitej

Pierwszy więzień za sprawę walczącego ludu,
Wraz z Dawidkiem pod piecem półszepem spór wiodą

O błędach PPS-u. W dyskusji żarliwej
I w ciszy nocnej Marian z Dawidkiem łwiogrywym

Krzyżują, niby miecze, obosieczne zdania.
A książdż ze zmęczenia za oknem się ślania.

I kiedy już nad ranem zaspani więźniowie
Dźwigają z przyzwe ciała, ciężące ołowiem,

Zdumieniem oczu wita Dawidek grzywiasty
I Buczek czarnooki — świt błąd nad miastem,

Który nagle przez okna i kraty do celi
Wlazi z kuble słonecznym, by ściany pobielić.

Tak mijają dni letnie i noce grudniowe,
W których huczał Dawidek, a Buczek swą głowę

Obnosił w rękach drżących, jak białą pochodnię,
Oświeclając zdrady, podstęp i zbrodnie

Dokonaną zniwastkę w lasach mazowieckich
W gwiezdny wieczór styczniowy na Misji Radzieckiej.

Co przywoła z ojczyzny chłopsko-robotniczej
Słowa wiecznej przyjaźni do polskiej stolicy.

I tak wśród długich nocy zimowych, bezsennych,
Rozpraszały się mroki, co cieniem trumienym

Przesłaniały słoneczny blask codziennej prawdy.
Jasno już teraz widział Marian wielkość zdrady,

Wyraźnie słyszał okrzyk w ogniu kanonady
„Sojediniajtesia!”. Dojrzał wreszcie drogę własną

W promieniu gwiazd, które już nigdy nie zagasną.

O, Dawidku, lwie rudy spod trzydziestej szóstej
Sławnej celi zamkowej! Mądry, złotousty

Agitatorze KPRP, niestrudzony
Aktywista partyjny, skrzypku uzdolniony,

Za którym tęsknią blade berdyczowskie Surki
O warkoczach świecących, jak rude wiewiórki.

Ileż tych wykładów tam było, dyskusji
O walce klas, taktyce, chłopskich buntach w Rosji

I Wielkim Październiku, który już niedługo
Przeorze niby traktor cały ziemski ugor.

A ileż spornych kwestii, trwożnych szcztów w nocy
Na przyzwe próchniejącej, pod dziurawym kocem?

Ile dysput gorących, swarliwych na pozór?
A książdż przemycanych, bibuły i broszur,

Które Marian pochłaniał swym gorącym sercem,
Gdy „Zawisza” na straży stał przy wizyterce!

Dawidku, jeśli żyjesz, to opowiedz wnukom
O tych nocnych rozmowach i o tym, jak stukał

Marian „Morsem”, podając towarzyskom „abcyng”:
„W piątce prowok... uważać na Prawdźca, chłopcys!”

Tak na baszcie zamkowej, za więzienną kratą
Uptywały dni, noce, miesiące i lata,

W czasie których za requiem z psalterza Fortuny
Mężniał Marian wśród walki więziennej Komuny.

Rys. Tadeusz Kokietek

ŁÓDZKIE
PUBLIKACJE
NAUKOWE

Niesposób w krótkiej notatce ani o- mówić, ani scharakteryzować dorobku wydawniczego łódzkich pracowników nauki w okresie dziesięciolecia. Można co najwyżej zagadnienie to zasygnali- zować.

Wiele prac profesorów łódzkich ucze- lnicy ukazało się nakładem najpoważ- niejszych wydawnictw ogólnopolskich, jak Państwowe Wydawnictwo Nauko- we, Ossolineum, Książka i Wiedza itd. Lecz i na miejscu, w Łodzi, istnieją du- że, całkowicie wykorzystywane moż- liwości publikowania prac naukowych, co jest szczególnie ważne dla młodych pracowników, dopiero rozpoczynają- cych swój start.

Akcję wydawniczą w zakresie prac naukowych prowadzi na terenie nasze- go miasta Łódzkie Towarzystwo Nau- kowe. Skupia ono 141 członków — twórczych pracowników nauki, zgru- powanych według specjalności w poszczególnych wydziałach Towar- zystwa. Obecnie mamy: I. Wydział językoznawstwa, filozofii i li- teratury, II. Wydział nauk historycz- nych i społecznych, III. Wydział nauk matematyczno-przyrodniczych i IV. Wydział nauk lekarskich. Jak dotych- czas, wciąż jeszcze brak wydziału nauk technicznych. Specjaliści tej dziedziny mają na terenie Łodzi odrębne towa- rzystwa naukowe, które jednakże nie prowadzą własnej akcji wydawniczej.

Każdy z wydziałów ŁTN w ramach ogólnego planu wydawniczego Towar- zystwa publikuje prace zarówno swo- ich członków, jak i zaopiniowane przez członków prace tych naukowców, któ- rzy ze względu na krótki staż naukowy nie zostali jeszcze przyjęci w poczet członków.

Najwięcej pozycji wydawniczych, bo aż 31, opublikował Wydział III — nauk matematyczno-przyrodniczych. Znajdu- jemy tu prace o charakterze regio- nalnym, jak np. publikacje profesora Dylka o rozwoju osadnictwa w rejonie łódzkim i ukształtowaniu powierzchni naszego województwa.

Ze względu na znaczenie niektórych prac dla specjalistów poza Polską — są one zaopatrzone w obszerne streszczenia w języku rosyjskim, a niektóre nawet wydane po rosyjsku, francusku lub angielsku. Rzecz jasna, że chodzi tu o prace o charakterze bardzo spe- cjalnym, jak np. wyniki badań prof. J. Wiśniewskiego i dra L. Kołodziej- czyka z dziedziny fizyki teoretycznej albo wyniki obserwacji i uogólnienia z zakresu systematyki pijawek i wrotek prof. Pawłowskiego i dra Sandnera.

Charakter regionalny posiada kilka prac Wydziału II — nauk historycz- nych i społecznych. Należy tu wymie- nić: dra Anny Rynkowskiej — Działal- ność gospodarcza władz Królestwa Polskiego na terenie Łodzi przemysło- wej, dra J. Warężaka — Osadnictwo kasztelanii łowickiej, prof. St. Zajacz- kowskiego — Studia nad terytorialnym formowaniem się ziemi łęczyckiej i sie- radzkiej.

Poza pracami poszczególnych wydzia- łów, a każda z nich to pokazany tom dużego formatu, ŁTN wydaje sprawo- zdania ze swych czynności i posiedzeń oraz publikuje odczyty o charakterze popularnonaukowym.

Instytut Myśli Społecznej oraz Insty- tut Historyczny UL w oparciu o ŁTN wydają czasopismo „Przegląd Nauk Historycznych i Społecznych”. Dotych- czas ukazały się trzy roczniki (około 500 stron każdy). Pismo omawia głów- nie zagadnienia regionu łódzkiego. Komitet redakcyjny stanowią profesoro- wie: J. Chalasiński, N. Gąsiorowska i M. H. Serejski.

Wydawnictwem periodycznym nieza- leżnym od ŁTN są „Prace Polonistycz- ne” — organ łódzkiego językoznawców, historyków literatury i krytyków lite- rackich. Dotychczas ukazało się 11 to- mów. Obecnie w przygotowaniu jest tom XII — poświęcony twórczości Ada- ma Mickiewicza. Tematyka tego tomu wiąże się z rokiem mickiewiczowskim i jest wkładem łódzkiego środowiska historyków literatury do prac ogólnopolskich, przedsięwziętych w setną rocznicę śmierci poety.

Śmiała próbę wydawnictwa powieła- czowych realizuje Instytut Historycz- ny UL. W głównej mierze jest to za- sługa zakładu historii społeczno-gospo- darczej, pozostającego pod kierownictwem prof. N. Gąsiorowskiej i prof. G. Missalowej. W serii tej wydano już sześć wyróżniających się prac magi- sterskich i doktorskich dawnego typu.

W bieżącym roku młodzi łódzcy pra- cownicy nauki otrzymają jeszcze jedną możliwość publikowania swych prac. Dzięki staraniom rektora UL prof. dra Szczepańskiego Ministerstwo Szkół Wyższych przyznało kredyty na wydawanie zesztytów naukowych Uni- wersytetu Łódzkiego. Podobnie jak In- stytut Nauk Społecznych w Warszawie albo też Warszawska Wyższa Szkoła Planowania i Statystyki, Uniwersytet Łódzki będzie miał własne czasopismo — sprawdzian dorobku naukowego ko- lektywu uczelni.

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

TRZY PRAPREMIERY

Teatr Powszechny — DOM NA TWARDEJ

Czekaliśmy od dawna na sztukę, która by właściwie sobie środkami ukazywała genezę naszej współczesności. Jeśli „zamówienie społeczne” ma sens, to nie ulega wątpliwości, że właśnie dzisiaj, w roku Dziesięciolecia, upomina się ono o sztukę, korzeniami swej inspiracji tkwiącą w okresie bohaterskim Polski Ludowej, w okresie jej narodzin.

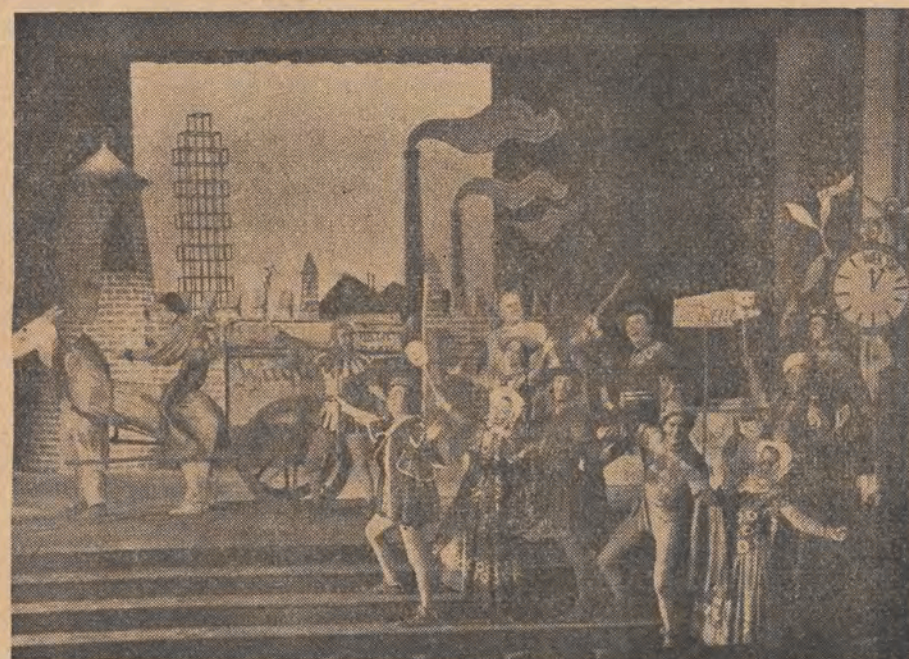
Sięgając do chwili powstania Krajowej Rady Narodowej, Kazimierz Korcelli wyczuł zamówienie — bez cudysłowu — płynące z istotnych potrzeb społeczeństwa. Konkretuza czterdzieltnych walk Warszawy podziemnej i przełomowy przetrwał w nową perspektywę historyczną — pierwsze posiedzenie KRN jest momentem wezwo- wym, którego oddziaływanie na dzieje późniejsze dopiero dziś objawia się w całej pełni. Poza tym owa noc sylwestrowa roku 1943, kiedy to grupa bojowników i nosicieli wielkiej idei, w konspiracyjnym mieszkaniu przy ulicy Twardej, rzuca podwaliny nowej ludowej Polsce — coś za kuszący temat dla pisarza mającego poczucie historii. Niezawodny instynkt dramatopisarski podpowiadał jednak Korcellemu, że fabuła sztuki związanej z pierwszym posiedzeniem KRN powinna się rozgrywać na peryferiach wydarzenia, że powinna jego promienie zogniskować w soczewce przeciętnej rodziny polskiej, w zderzeniach i spięciach kilku konkretnych postaci, wyraźnie zindywidualizowanych i typowych. Trudny ten problem pisarski Korcelli zaatakował z właściwych pozycji i trzeba od razu powiedzieć, że zdobył część jego terytoriów. Ale tylko część.

Autor „Papugi” udowodnił nie raz, że zna na wylot prawa rządzące widowiskiem scenicznym. Co więcej, umie nasycić scenę atmosferą, w której milczenia są równie ważne jak słowa. Potrafi uwidatnić raczej to, czym ludzie są, niż to, co się między nimi dzieje. Pewne znamiona talentu Korcellego są widoczne także w „Domu na Twardej”. Akt pierwszy sztuki dość dobrze oddaje koszmarną okupacyjną codzienność, z jej spowolnioną grozą, z jej „śmiercią na raty”. W akcie drugim dramat narasta i kulminuje nie w zbiegu okoliczności, lecz w konfrontacji postaw, w zagadnieniu ludzkim. Niestety, akt trzeci zagadnienia tego nie rozwiązuje i w ogóle niczego nie rozwiązuje. I dlatego posiedzenie KRN wydaje się tu do- czepione sztucznie, więzią zewnętrzną chronologiczną.

Jaki jest podstawowy błąd „Domu na Twardej”? Brak akcji i konfliktu, opo- sowa statyczność. Tak zwana fabuła dramatyczna sztuki sprowadza się do działań Jana Korbuta, to znaczy — jego prób wyciągnięcia syna Władysława, młodego akowca, z łap gestapo. Próby te, dorywcze i daremne (gdyż Władysław umiera w pierwszym akcie, w co ojciec nie chce uwierzyć), nie dynamizują akcji, nie prowokują konfliktu. Bo też funkcją ich nie jest ożywienie ruchu scenicznego, lecz obnażenie charakterów wciągniętych w nie osób. Ale — nic nie zostaje obnażone, postaci bowiem „Domu na Twardej” są nieżywe. I to jest największą słabością sztuki Korcellego.

Postaci mające uosabiać Gwardię Ludową nie działają, nie rozwijają się na scenie, a więc nie żyją. Są to figu- ranci w ścisłym znaczeniu słowa, bo powołani do tego, by figurować i re- prezentować. Oto dwaj pozytywni bo- haterowie, bojownicy Gwardii Ludowej, Adam i Sowa. Adam pojawia się w pierwszym akcie, odbywa rozmowę z córką Korbuta, Moniką, i znika, aby więcej na scenę nie wracać; odtąd dzia- ła już tylko poza sceną, o czym donosi nam jego towarzysz Sowa. Gdy pod koniec drugiego aktu pojawia się Sowa i oznajmia, że Adam zginął w akcji bojowej, cała nasza sympatia i wszyst- kie nadzieje skupiają się wokół Sowy, jako tego, który zastąpi Adama i na- reszcie odegra w sztuce jakąś czynną rolę. Płonne nadzieje! Sowa chodzi po

mieszkaniu Korbuta ze sterzącą z kieszeni kolbą rewolweru, rzuca parę „choler”, domaga się wódki i w końcu czynność jego sprowadza się do roli jednego z członków obstawy chronią- cej posiedzenie KRN. Dwaj zatem bo- jownicy Gwardii Ludowej do właści- wej akcji dramatycznej nie wnoszą nic; są to schematy, w sposób dość pry- mitywny ilustrujące to, co o Gwardii Ludowej wiemy już skądinąd, ze wspomnień, z publikacji i dokumentów historycznych. Wierzmy autorowi na słowo, że Adam i Sowa walczą gdzieś poza sceną, ale nie znajduje to odbicia w walce, jaka powinna się toczyć na scenie. A walki tej nie ma! Bo jak się przedstawia druga strona barykady? Oto kapitan Bruk: zanim zjawi się na scenie, wiemy już z rozmów innych po- staci, że to przedstawiciel delegatury „londyńskiej”, „wychowanek Doboszyń- skiego”, człowiek mający kontakty z Abwehrą. Kiedy wchodzi do mieszka- nia Korbuta, widzimy od razu, że to matador reakcyjnego podziemia: ofi- cerskie buty i buńczuczna mina. Roz- mowa jego z Korbutem jest dialogiem głuchych: Korbut myśli jedynie o ratowaniu syna, Bruk chce go pozyskać dla Komitetu Antykomunistycznego. Nie wiadomo tylko, dlaczego Brukowi tak bardzo zależy na Korbutcie, który nie gra żadnej roli politycznej, w kon- spiracji nie bierze udziału, jest zgorz- kniałym i zwątpiałym bankrutem. Nie wiadomo, dlaczego Bruk tytułuje go majorem, skoro Korbut, jak sam twier- dzi, wystąpił z wojska w randze porucznika. Nie wiadomo wreszcie, dla- czego Bruk domaga się od Korbuta de- nuncjacji Adama, skoro ludzie jego po- kroju mieli w takich wypadkach inne, pewniejsze drogi. Cała ta rozmowa była potrzebna autorowi po to, aby za- demonstrować model faszystowskiego konspiratora. Ale Bruk nie jest żywym człowiekiem, lecz statyczną marionet- ką, gotową formułką wroga.



Teatr im. St. Jaracza: „Zapusty na Bałutach” B. Broka, L. Becka i J. Huszczy.

Obraz I — scena zbiorowa.

Fot. A. Kaczkowski.

Korcelli zapomniał o zasadniczym przykazaniu, według którego akcja dramatyczna powinna wciągać wszyst- kie osoby działające, uruchamiać je ca- łą masą. Po scenie chodzi szereg fi- gur, których usunięcie nie wyrządzi- ło by szkody. Ich jedynym zadaniem jest ilustrować. Tak więc ro- tistrz Łada ilustruje sanacyjne oficer- stwo: stuka obcasami, załatuje wódką, mówi: „my, legunowa siłwa”, tęskni do „białych nocy w Oazie” i starych ka- baretowych szlagierów; jest to karyka- ta z rewiowego skeczu, której po- wstydziłby się nawet nasz Teatr Saty- ryków. Oto Gutek, waluciarz, rycerz

stawicielem. Ex-legionista, rozczerowa- ny do swej formacji macierzystej, Kor- but przez długie lata zadowalał się skromną posadką w magistracie; za o- kupację odchodzi już całkowicie od le- gionowej przeszłości, ale do niczego nie przychodzi; w konspiracji nie tylko sam nie bierze udziału, ale zakazuje tego synowi, nie widzi sensu jego ofiary i walki, dla ratowania go stacza się do zwykłego delatorstwa; w ostatnim akcie widzimy go w roli rezydenta u dawnej kochanki. Jest to postać o małym współczynniku typowości, zbłąkana na marginesie, widmowa i, żeby już wszyst- kogo powiedzieć, nieinteresująca. Nie odczuwamy klęski Korbuta jako klęski całej jego klasy, gdyż nie wypływa on z logiki wydarzeń sceniczych, nie jest klęską poniesioną w walce. Niechaj zmarli grzebią swoich zmarłych.

Postać naprawdę żywą w „Do- mu na Twardej” jest Monika. To ona miota się i szuka, cierpi i w cier- pieniu przeobraża się, nabiera wstrętu do swego środowiska, zrywa z nim i odchodzi aby w szeregach, z których ubył Adam, znaleźć drogę wyjścia. Powiedziałem wyżej, że w sztuce Korcellego nie ma konfliktu. Niezupełnie to ściśle: jest w niej zarodek konfliktu — między Korbutem a Moniką; zarodek wątku, nierozwinięty, jakby przeoczony przez samego autora. A przecież kon- fликт ten mógłby stać się osią konstruk- cyjną dramatu. Rozmowa ojca z córką w trzecim akcie mogłaby być kluczo- wym dialogiem sztuki, a jest w istocie, wyjąwszy moment, kiedy Monika u- świadamia sobie, że ojciec to wróg — anemiczna i mętna, zagubiona w roz- gardzaju sylwestrowej zabawy.

Reżyseria łódzka nie zdołała pomóc sztuce Korcellego. Role, którym jedynie nadadł pozor życia, teatr zwał na barki bardzo młodych aktorów. Nie zatem dziwnego, że A. Benczak, J. Kaczma- rek, S. Matczak, L. Niemczyk i J. Ant-

czak nie stworzyli kreacji. Najwięk- szym błędem było powierzenie roli Kor- buta A. Lewkowi — roli bądź co bądź skomplikowanej i nie pozbawionej ak- centów tragizmu. Najlepiej spisały się dwie kobiety: Celina Klimczakówna, której przypadło wdzięczne zadanie od-

tworzenia postaci Moniki, oraz Jadwiga Chojnacka, która figurę Antosiowej hojnie obdarzyła charakterem, wyrazem i werwą.

Scenografia nie wykracza poza in- wencję i styl nawiasowych informacji autora.



Teatr Nowy: „Świat się kończy” J. Kasprowicza. Od lewej: J. Kłosiński, J. Pilarski, W. Jakubińska, S. Butrym. Fot. A. Kaczkowski.

Teatr im. St. Jaracza — ZAPUSTY NA BAŁUTACH

Różne są elementy w spektaklu „Za- pusty na Bałutach”: dobre i złe. Po- mówmy nasamprzód o dobrych. A więc niewątpliwie chwalebny był zamiar wielogłowej spółki autorskiej obdarze- nia Łodzi widowiskiem ludowym o swoistych składnikach łódzkich. Zało- żywszy, jakoby Łódź nie miała swego folkloru, swojej mitologii, swojej tra- dycji popularno-obrzędowej, postano- wili autorzy (Bronisław Brok, Leopold Beck i Jan Huszcza), mówiąc językiem gazetowym, zapamięć tę lukę. Ale nie tylko zamiar jest godzien pochwały. Wcale dobry jest obraz trzeci. Wprawdzie jego motywy satyryczne są nieco ograne i nieszczerze łódzkie, wprawdzie razą nas tu jeszcze niepotrzebne strzę- py kostiumów rybałtowskich, niemniej jednak montaż reżyserski, gra aktorów i teksty zniewalają tempem, werwą, celnością i zacięciem. Gdyby nie „łódz- ka piosenka”, która (podobnie jak „ba- lada łódzka” w obrazie drugim) traci „poetyczną” tandetą niesławnej pamięci Włostów i Hemarów, obraz ten był- by bardzo dobrą sekwencją teatru re- wiewowego. Scena „Pod balkonem punk- tów usługowych” jest wyborna i jako tekst literacki, i jako popis aktorski (Skoczylas i Łapińska).

Otóż obraz ten jest dobry pomimo, a może na przekór estetycznej konwen- cji widowiska. Obraz ten stanowi odrębną całość i, oczyszczony ze szczyt- ków rybałtowskich, mógłby stać się je- dną z lepszych pozycji Teatru im. St. Jaracza. Ale autorzy, powziawszy chlubny zamiar obdarzenia Łodzi wido- wiskiem ludowym, popełnili błąd zasa- dniczy: uznali, jak się rzekło, że Łódź nie ma własnej tradycji folklorystycz- nej, że nie ma swojej „pieśni gminnej”, że, słowem, nie ma przeszłości kultural- no-obyczajowej, z której można byłoby czerpać jakieś wzory, i sięgnęli po wzór nie wspólny, z Łodzią nie mają- cący.

Czy Łódź jest istotnie tak uboga? I nie, i tak. Nie — dlatego, że nie da się pomyśleć, aby Łódź, taka jaką znamy, to znaczy miasto fabryczno-robotnicze, nie wytworzyła w ciągu przeszło stu lat istnienia własnych form kultury ludo- wej: obrzędów i ceremonii, legend i baśni, piosenki fabrycznej i ballady podwórzowej, anegdoty i przypowieści, dyktirki i facecji. Tak — dlatego, że Łódź nie miała szczęścia do miłośni- ków-szperaczy i zbieraczy, którzy by ową samorodną twórczość łódzkiej kla- sy robotniczej, ową spontanicznie two- rzoną tradycję utrwaliili na piśmie, a więc tym samym uświęcili, zapłodnili i zapewnili jej w pełni świadomy żywot. Ważkie to zagadnienie porusza na in- nym miejscu Włodzimierz Krzemiński. Ukazał się przecież w r. 1935 zbiorek St. Rachalewskiego „Baśń i legenda Łodzi”, zbiorek niedbale opracowany i w wielu punktach fantazyjny, niemniej jednak stanowiący źródło natchnień i wskazań dla sumiennych i twórczych badaczy. Ogłoszona w r. 1904 „Łódź społeczna” Stefana Górskiego zawiera wiele ciekawych danych z tego zakre- su, wspomina między innymi o popu- larnym w swoim czasie „świecie fajki”, obchodzoną na Wodnym Rynku, o konkursach króla kurkowego itp. Gór- ski poświęca również sporo miejsca „łódzkiemu Bérangerowi”, Arturowi

Gliszczyńskiemu, który zebrał i sam napisał wiele piosenek o Łodzi. (Dziwne, że żaden poeta łódzki czasu dwudzie- stolecia nie podjął i nie rozwinął ini- cjatywy Gliszczyńskiego).

Autorzy „Zapustów”, zamiast sięgnąć do tych źródeł, zamiast poszperać, po- pytać ludzi, powertować roczniki sta- rych pism łódzkich, obrali drogę mniej- szego oporu. Wyszli poza Łódź i odwo- łali się do... komedii rybałtowskiej, ściś- lej mówiąc — do stylizowanej transkryp- cji komedii rybałtowskiej, jaką są „Igre w Barbakanie” Adama Polewki. Otóż Łódź nie ma za sobą wieków XVI i XVII, nie ma starych tradycji uni- wersyteckiej, klerkowskiej i cechowej, które wydały na świat specyficznie krak- owskie zespoły rybałtów, sowidrze- zów i waganów. Łódź nie znała śred- niowiecznych misterii i mirakłów, widowisk pasyjnych i hec zapustnych, nie miała prototypów wczesnorenesa- sowej komedii rybałtowskiej, takich jak Pleban, Dworak, Chłop (podkrakowski), Klecha, Kleszyna, Dziad, Kantor itd. To, że w końcu XVI wieku kompanie wędrownych waganów zaważały o Wieluń czy Łowicz, nie upoważnia jesz- cze do tego, aby między wozy z bawełną i samochody dzisiejszej Łodzi wprowadzać rybałtowski „wóz Thespi- sa”. Nakładać na Łódź schemat komedii rybałtowskiej jest zabiegami mecha- nicznym, sztucznym i chybnym. Rów- nie mechaniczne, a ponadto podejrzane jest zastępowanie w tekście Polewki krakowskich wień kościelnych — łódz- kimi kominami. Jak dalece autorzy „Zapustów” nie zastanawiali się nad tym, co robią, dowodzi tego postać Me- dicusa: wysławianie scholastycznej u- czoności profesorskiej jest starą trady- cją krakowską i w atmosferze Krako- wa może mieć sens i rezonans; ale w Łodzi anno 1954 makaroniczny mono- log Medicusa może tylko godzić w na- szą medycynę i lecnicztwo, które dali- bóg najmniej zasługuje na satyryczne cieży.

„Zapusty na Bałutach” są bezładną składanką, w której nie ma Bałut, za- to jest wiele martwych ciężarów. An- tologia frazki jest emfaticznie nudna, bo nie osnuta na żadnej akcji. Aby od- fajkować temat antyimperialistyczny, wprowadzono do widowiska „Johna Browna”, tylko że sam w sobie piękny utwór Norwida jest recytowany z pato- sem godnym uroczystych akademii. Fragment Twimowski „Kwiatów polskich” (Rewolucja 1905 roku) spła- danie tradycji łódzkiej, choć i tu ograni- czono się do melodramatycznej, Defila- da ci-devant fabrykantów łódzkich jest dobra w założeniu, ale słaba w wyko- naniu, bo nie poparta ani dowcipnym tekstem, ani satyryczną swadą.

Nie bez słusznosci majster łódzki, pełniący mieszaną funkcję konferansje- ra rewiowego i strażnika naszego gro- du, zakazuje rybałtom wstępu intra muros. Jeśli wpuszcza ich do miasta po obrazie trzecim, to dlatego, że obraz ten odkupuje grzech koncepcji i wyni- kające zeń grzeszki pomysłów wtór- nych. A może i dlatego, że Jadwiga An- drzejewska, Władysław Walter, An- drzej Szalawski, Włodzimierz Skoczyl- as i Roman Stankiewicz to doświadczeni aktorzy, którzy nawet w przebraniach sowidrzezalskich są drodzy sercu Łodzi.

Teatr Nowy — ŚWIAT SIĘ KOŃCZY

„Świat się kończy” powstał w pierwszym, społecznie bojowym okre- sie twórczości Jana Kasprowicza. Ni- gdy nie grany na żadnej poważ- nej scenie polskiej (jeśli pominie- my niesprawdzone wersje, według któ- rej miał się ukazać na deskach krakow- skiego Teatru Ludowego w r. 1904); spychany w cień i lekceważony przez burżuazyjnych historyków literatury; przysypiany pyłem zapomnienia — dra- mat socjalny autora „Księgi ubogich” musiał czekać przeszło pół wieku na-

stania nowej ery historycznej i nowej, rewolucyjnie odrodzonej Polski, aby przemówić do nas pełnym głosem i głosem pełnym niewygasłej pasji oskarży- cielskiej. Samo odkopanie tego utworu przysparza świeżej chwały Teatrowi Nowemu.

Ale „Świat się kończy” nie wyskoczył z głowy Kasprowicza, jak Minerva z (Dalszy ciąg na str. 12)



Teatr Powszechny: „Dom na Twardej” K. Korcellego.

Od lewej: A. Benczak i C. Klimczakówna.

Fot. A. Kaczkowski.

głowy Jowisza. Wyrasta z określonej epoki, z określonej sytuacji historyczno-społecznej — jest nią całkowicie uwarunkowany i jako dzieło literackie, i jako odbicie pewnej rzeczywistości. Świadczy o tym wymownie ramy czasowe utworu, dwie daty: rok 1880, w którym umiejscowiona jest akcja dramatu, i rok 1891, kiedy to dramat ukazał się w druku.

Przyjrzyjmy się naprzód drugiej dacie, która wskazuje na to, że „Świat się kończy” powstał na pograniczu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Okres znamienity i przełomowy: od dziesięciu lat trwa kryzys ideologii pozytywistycznej, złudzenia związane z kapitalizmem leżą w gruzach, sprzeczności ustrojowe są źródłem prądów pesymistycznych i krytyki kapitalizmu; ale proces ten pogłębia świadomość społeczna pisarzy mieszczańskich i znajduje wyraz w najświetniejszych nurcie literatury pozytywizmu — w realizmie krytycznym. Jesteśmy w przededniu załamania się ideologii pozytywizmu, która, przestraszona wzrostem ruchów robotniczych i nasileniem propagandy socjalistycznej, przejdzie na wsteczne pozycje nacjonalizmu, mistyki i religianizmu. Równoległe realizm krytyczny słabnie i wyraża się w naturalizmie; literatura mieszczańska zrywa z realizmem i schodzi na bezdroża prądów młodopolskich: modernistycznego estetyzmu, indywidualizmu, symbolizmu.

„Świat się kończy” odzwierciedla doświadczenie owego momentu przejściowego: pierwsze dwa akty sztuki przynależą do realizmu krytycznego, akt trzeci nurza się w naturalizm. Niejednolitość stylistyczna dramatu jest przecież znamienną dla sytuacji historycznej i chwili zwrotnej w literaturze ideologów mieszczaństwa.

Kasprowicz nigdy nie był pisarzem pozytywistycznym. Po przybyciu do Lwowa młody poeta, radykalny inteligent chłopięcego pochodzenia, szerzący sprawy ludowej, rozpoczyna pracę publicystyczną w „Kurierze Lwowskim”, który pod wodzą Bolesława Wysockiego, działacza ludowego, reprezentuje galicyjską odmianę pozytywizmu. Jej specyficzne tendencje ludowo-inteligentne nie mogły nie wywrzeć wpływu na autora „Z chałupy”, który w owym czasie tworzy swe najbardziej buntownicze wiersze chłopięce i pierwszy swój dramat „Świat się kończy”. Pisząc go sięga więc Kasprowicz w sposób naturalny do swych przeżyć chłopięcego syna ze wsi wielkopolskiej oraz peregrynacji zbędnej i ściganego inteligenta. I dlatego umiejscawia akcję sztuki w roku 1880.

Przypomnijmy sobie, że jest to rok powstania w Wielkopolsce zwartej grupy inteligentko-mieszczańskiej, głoszącej demokratyczne hasła społeczne i zarazem rok procesów socjalistycznych w Krakowie i Poznaniu. I jest to okres, kiedy na wsi wielkopolskiej walka klasowa zaostrza się w stopniu niebywałym. Kapitał niemiecki, który po zwycięskiej wojnie franko-pruskiej nabiera potężnego rozmachu, zmierza systematycznie do skapitalizowania folwarku i uprzemysłowienia rolnictwa. W niepowstrzymanym pochodzie zagarnia również wieś wielkopolską, gdzie wszelkimi środkami — politycznymi i gospodarczymi — ruguje chłopów polskiego z ziemi, wykupuje grunty pod budowę fabryk i przedsiębiorstw przemysłowo-rolniczych. Odbywa się powrotna koncentracja własności ziemskiej i równoległe — nieuchronna pauperyzacja średniaków i biedniaków. Proces ten wywołuje na wsi grynderską spekulację ziemią: kulacy skupują lub przywłaszczają sobie zadłużone biedniackie morgi, aby je oddać agentom kapitału po dziesięciokrotnie wyższych cenach.

Wszystkie te realia epoki Kasprowicz po mistrzowsku wtapia w dramatyczną materię konfliktu. Pazurem prawdziwego realizmu rysuje rozwarstwienie wsi — nie według kryterium narodowego, lecz według kryterium klasowego. Z jednej strony — kulacy, Wróbel, Miętowie i im podobni, sprzymierzeni z kapitałem zaborczym, z drugiej — biedniak Cierpiak i miliony Cierpi-

ków, osaczonych podwójnie: przez napór kapitału i jego wiejskich zauszników i przez hierarchię kościelną, która oczywiście wspomaga posiadaczy. Cierpiakowie są skazani na zagładę.

Droga wyjścia? Realizm krytyczny nie umiał jej wskazać. I bezradność ta rodziła naturalizm z jego absolutyzacją stosunków społecznych, z jego fatalistycznym pojmowaniem struktur ustrojowych. W trzecim akcie fatalizm ten, niby fatum tragedii antycznej, spietrza trupy: niedoszły zięć Cierpiaka morduje swego ojca-bogacza, córka Cierpiaka topi się w stawie, sam Cierpiak wiesza się za stodołą. Tyrania własności nie tylko burzy rodzinę i niszczy uczucia ludzkie, ale, co więcej, zaraża ciemnością mentalnością ciemniejszych: Cierpiak woli skazać córkę na hańbę i poniewierkę, niż oddać ją chłopcu „bez morgów”, choćby nawet chłopiec ten był ojcem mającego się urodzić dziecka. Nienawiść do kapitalistycznej fabryki obejmuje także robotników, „fabrycznych popychaczy”.

Jest jednakże w trzecim akcie scena brzemienista w nadzieję: tłum biedoty wiejskiej buntuje się przeciw prawu panujących, naciera na niemieckiego komornika i lichwiarza Wróbla, sprzeciwia się licytacji w domu, gdzie leży trup samobójczy. Ale sztukę kończy monolog starej Cierpiakowej, pełen pokory.

Mimo swe wewnętrzne pęknięcie pozostaje dramat Kasprowicza drugocowym oskarżeniem kapitalizmu. Broni człowieka — nie z jakichś pozycji ogólnoludzkich, lecz z wyraźnych pozycji klasowych. Postaci dramatu, jeśli nawet są — gwoździ wyjątkowości sytuacji — nieco uproszczone, to przecież nie są sprostaczone. Zdeterminowane społecznie jako typy, są wolne jako indywidualia: nigdy nie wiemy, co zrobi za chwilę Walek, Mięta, Wróbel; aż do końca drugiego aktu wierzymy, że Cierpiak nie ulegnie i podejmie walkę, lecz jako wyrok konwencji naturalistycznej. Język sztuki jest jedyny, dosadny, charakterystyczny dla środowiska, a przecież powszechnie zrozumiały — nie licząc kilku niezbędnych w kontekście wyrażen pochodzenia niemieckiego. Sądzę, że „Świat się kończy” wzbogaca naszą ubogą dramaturgię realizmu krytycznego o pozycję lepszą niż „Grzech” Zeromskiego.

* * *

Obawa przed naturalizmem wiele tłumaczy w inscenizacji i reżyserii Kazimierza Dejmka. „Świat się kończy” ociera się tu i ówdzie o melodramat, toteż najmniejsze przerysowanie groziłoby nieznosną afekcją. Role są zatem stonowane, jakby wygrane na jednej nucie. Cierpiak jest jednostajnie cierpiętniczy i posepny, Mięta — gadatliwy, rubaszny i oblesny, Wróbel — podstępny i świętoszkowaty, Marysia — przewrotna i kokieteryjna. To rzekłszy, stwierdzmy jednak, że gra jest pełna dyskretnego wyrazu i skupionej siły, całość wyrównana i zestrojona, tak że niesposób wyodrębnić kogokolwiek. Trzeba by przepisać cały afisz.

Obawa przed naturalizmem zmyliła jednak scenografa. Dekoracje są stylizowane „pod sztukę ludową” a la Cypel. Wnętrza są pozbawione charakteru, izba Cierpiaka — wręcz nieprawdopodobna w swej syntetycznej słudności. Tło pejzażowe w czwartej odsłonie — pocztówkowo malownicze.

Pomimo tych czy innych zastrzeżeń, przedstawienie jest bogate w walory poznawcze, wzruszające humanistyczną wymową, mobilizujące w niebanalnym sensie tego słowa. Teatr Nowy może zapisać na swoje dobro jeszcze jedno osiągnięcie, ale nie powinien zamykać się w obrębie Łodzi. Dramat Kasprowicza należy pokazać jak największej ilości wsi, spółdzielni produkcyjnych i pegeerów. Rację miał Stefan Kołaczowski mówiąc już trzydzieści lat temu, że dramat ten jest nie tylko dostępny dla widzów ludowych, ale dopiero przez nich może być odczytany w całej pełni.

STANISŁAW BRUCZ

Z WARSZTATU TŁUMACZA

(Dokończenie ze str. 6)

tłumacz może się też potknąć, pobić w jakichś realiach lub idiomach, nie zrozumieć gdzieś tekstu. Nikt nie jest Duchem Świętym. To właśnie rzecz adjustratorki — sprawdzić, czy tłumacz mimo woli nie strzelił jakiegoś byka, nie popełnił niechcący błędu, bo chcący żaden uczciwy tłumacz źle tłumaczyć nie będzie. I taki błąd trzeba tłumaczowi pokazać, poprosić go, żeby sam poprawił. On to zrobi stokroć lepiej stylistycznie, niżli kolorowe ołówki. Adjustracja powinna spojrzeć na maszynopis okiem dobrego, znającego się na rzeczy, a przy tym życzliwego krytyka — spojrzeć, zanim ten maszynopis ukaże się w druku, by tłumacz mógł go poprawić i uprzedzić

w ten sposób zarzuty, które by mu mogła potem krytyka uczynić. Adjustracja powinna być przyjacielska, wewnętrzna, zamknięta, że tak powiem — intymną krytyką. I powinna tępić wszelkie brakorobstwo, partactwo, niechlujstwo, nieochajność w przekładach, które to karygodne niecnoty plenią się i w tej dziedzinie, jak i w innych dziedzinach naszego życia. Ale nie wolno jej harować po rzetelnej, wyteżonej, ciężkiej i odpowiedzialnej pracy pisarza. Pracę należy szanować. Nie wolno dla jakiegoś widzimisię przekreślić słowa „raptem” i napisać „naraż”. — Dlaczego pani to robi? — ze zdumieniem zapytał pewnej adjustratorki. — A bo nie lubię słowa „raptem” — odpowiedziała mi z rozbrajającą prostotą.

LECH BUDRECKI

„Jaworowy Dom” Wilhelma Macha

„Jaworowy dom” jest powieścią z prawdziwego zdarzenia. Temu właśnie zawdzięcza ona swój rozgłos, którego echo powtarza się w rozmowach i prywatnych opiniach. To rozgłos odwagi. Jak to odwagi? — wielkim głosem zawołają zapewne w tym miejscu liczni czytelnicy. A jednak tak. „Jaworowy dom” jest manifestem odwagi. Nie świadczy on o śmiałości rzeczy dozwolonych, a nawet witanych z aplauzem. Nie wyrósł z gładkich, poprawnych uczuć dobrze wychowanego pisarza, który boi się naruszyć przepisy literackiej etykiety i w ten sposób staje się schematystą. Odwaga Macha nie znaczy też — rzeczy przeciwnie — „niegrzeczności” za wszelką cenę, tęsknotą do szokowania pojęć moralnych i drażnienia potocznych przyjętych konwencji. Śmiałość tej powieści to śmiałość odmiennej natury. Polega ona na wyborze rozstrzygnięć całego szeregu pisarskich dyalematów, rozstrzygnięć innych aniżeli te, z którymi spotykamy się w naszych współczesnych powieściach, które widzimy w „Obywatelach” K. Brandysa czy też we „Władzy” T. Konwickiego. Sprawa „Jaworowego domu” jest sprawą eksperymentu, wprawdzie w części chybionego, niemniej jednak nawet tam, gdzie zawodzi, niezmiernie interesującego.

Mach poświęcił swą debiutancką powieść — „Rdza” — problemom „garde-robry duszy”. Siegnął po zagadnienia rozważane już w „Pałubie” K. Irzykowskiego. Zajął się niemal bez reszty analizą stanów świadomości poszczególnych bohaterów. Prozaika interesowały przede wszystkim wewnętrzne doświadczenia postaci. Tropił psychologiczną prawdę o człowieku, której formuła zmieniała się kranocowo w zależności od jednostki stanowiącej przedmiot powieściopisarskich dociekań. Na rzecz tego celu poświęcił opis wydarzeń rozgrywających się „na zewnątrz” — poza sferą świadomości bohatera — redukując go do niezbędnego minimum. Mówiąc inaczej — „Rdza” została napisana w głównej mierze „językiem” introspekcji i monologu wewnętrznego, podporządkowanego trybowi mowy pozornie zależnej. Śladając do lektury „Jaworowego domu” byliśmy więc pewni, że zetknemy się ponownie z powieścią, której cały ciężar spoczywa na dokładnej, sumiennej analizie psychologicznej. I oto niespodzianka.

„Jaworowy dom” okazał się całkowitym zaprzeczeniem naszych przypuszczeń. Mach poniechał niemal zupełnie introspekcji, wyrzekł się monologu wewnętrznego, w najlepszym razie mowoćno go ograniczał. Powieść ta mówi w pierwszym rzędzie o szeroko rozumianych zachowaniach postaci. Operuje językiem ekstrasppekji, skrzętnie gromadząc przy tym wszelkie wydarzenia „zewnętrzne”. I to nawet te, które nie zaważą na rozwoju fabularnych intryg, które stanowią bełkotliwostkę celowo jakby zubażoną i prymitywizującą z rzadka puszczaną w ruch machinę introspekcji. Zakreśla wyraźne granice monologom wewnętrznym swych bohaterów. Widzi w ich świadomości akty intelektualne, czasem jedynie wdziera się w dziedzinę postrzeżeń czy wyobrażeń.

Przerzucenie ciężaru z analizy psychologicznej na wydarzenia „zewnętrzne” — zrodziło się z pragnień „restrykcji” postaci powieściowej, rzecz prosta postaci takiej, od jakich roją się romanse Balzaka lub Stendhala, Fieldinga lub Dickensa. Począł się bowiem grozić unicestwienie. Postać stała się kompleksem doznań, niepowtarzalnych i niepodobnych do siebie. Takim jest właśnie Marcell z Proustowskiego cyklu „W poszukiwaniu straconego czasu”, takim jest Bloom z „Ulyssesa” Joyce’a. Mach podjął próbę rekonstrukcji powieściowego bohatera. Zamiar ten postawił go przed dwoma alternatywnymi rozwiązaniami. Oba ocalały świadomość postaci przed rozbiiciem jej na atomy. Pierwszym z nich jest konsekwentne zachowanie „języka” ekstrasppekji, a więc behawioryzm. Chroni on bohatera przed rozkładem jego pasji i psychicznych dyspozycji, zapobiega ich rozpadowi na pogmatwane ciagi wrażeń, asociacji i przeżyć, wymykające się terminom kartezyjskiej wiedzy o człowieku. Zapobiega, ale za cenę całkowitej rezygnacji z analizy wewnętrznych doświadczeń postaci. Poza tym wyrzeczeniem się tkwi zaś określone stanowisko poznawcze — pojmowanie człowieka jako „republikę refleksów”. Pociąga ono za sobą agnostycyzm. Mach wie o tym doskonale. Dlatego nie został konsekwentnym behawiorystą.

Druga ewentualność, gwarantująca również zmartwychwstanie bohatera — to nawrót do kartezyjskiego systemu interpretacji psychologicznej. Znamy go dobrze z dzieł wielu krytycznych realistów, choć — powiedzmy to sobie szczerze — nie stanowili on ich wyłączonej własności, gdyż uprawiali go nie tylko W. M. Thackeray i B. Constant, P. Merimé i T. Smollett, ale i E. Sue, ale i P. Bourget. Ten sposób „odbudowy” postaci olśnił znakomitą większość naszych prozaików, sprowadzających wszelkie zjawiska psychiczne do kilku-

nastu dość prostych kategorii, takich jak rozum, wola, namiętność.

Owo wykorzystanie kartezyjskiej wiedzy o człowieku w polskich współczesnych powieściach nie ogranicza się do tłumaczenia ludzkich zachowań miłością lub rozszadkiem, gniewem lub wolą. Siega znacznie dalej. Oznacza również wierność regułom ustalającym związek pomiędzy jakimś przeżyciem a jakimś czynem, regułom wypracowanym z tak wielkim trudem przez XVII-wiecznych moralistów. Mach nie poszedł tą drogą. Zdawał sobie sprawę z nieprzydatności kartezyjskich schematów. I to rozstrzygnęło o eksperymentatorskim charakterze „Jaworowego domu”. Pisarz kładzie tu akcent na sprawach zewnętrznych. Rzadko zapuszcza sondę w świadomości swych postaci. Ukrywa motywy ich działań. Kreśli linię demarkacyjną, poza którą nie dociera już jego wiedza. Powieść staje się więc niepokojącym aliażem behawioryzmu i sporadycznych wypadków na stronie analizy psychologicznej.

Mach feruje wyroki, biorąc za ich podstawę postępki bohatera. Nie bada intencji człowieka, który popełnił zbrodnię, jakby obawiał się, iż w ten sposób zamąci sentencję swego werdyktu,



że straci ona przejrzystość, przestanie potępić, dorzucając „a jednak”. Pragnie zachować wyraźny rozkład sympatii i antypatii. Chce, by Konstanty Jawor budził w czytelniku odrazę, a Mróz wzruszenie. I tu dopiero docieramy do istotnych przyczyn tej decyzji Macha, którą nazwalismy śmiałością i odwagą, a której powieść winna jest swą odrębność, wyróżniającą ją spośród innych książek naszych pisarzy. Prozaik potraktował prawdę psychologiczną i jednoznaczność jako dwa wzajemnie wykluczające się warianty. Oto właściwy sekret „Jaworowego domu”. Zawiera on pomyłkę. Jednoznaczność i prawda psychologiczna nie kłócą się między sobą. Przeciwnie, pozostają w jak najbardziej przydatnej zgodzie. Fiodor Dostojewski nie cofał się przed prawdą psychologiczną i surowo osadził Stepana Trofimowicza Wierchowskiego. Honoriusz Balzak nie unikał wiedzy o troskach i pragnieniach swych bohaterów. A czyż zlagodził przez to obraz łajdactwa Nucingena?

Mach wybrał jednak widzenie „ze-wnętrza”. Zachwiał równowagę pomiędzy „językami” introspekcji i ekstrasppekji. Zemdliło się to na nim. Spaczyło jego zamysł. Odepchnęło go od konsekwentnego realizmu. „Jaworowy dom” musiał okupić to doświadczenie ceną nabytą wygórowaną — sprawami świadomości.

Jego autor kilkakrotnie próbował galwanizować konflikty rozgrywające się w ludzkiej psychice. Za każdym razem — na próżno! Rozsypywały się one natychmiast. Potrafił je tylko zamarkować, powiedzieć, że są, że trwają. Nic ponadto!

Lekceważenie prawdy psychologicznej zaciera konflikty ludzkiej świadomości. Więcej, niweczy je niemalże doszczętnie. Jakże bowiem przedstawić ich przebieg, jakże zapisać ich losy, gdy wiedza pisarza sięga jedynie gestu, intonacji i słów, gdy dalej rozpoczyna się terra incognita, zwiędzona w sposób bardzo nieśmiały? Język ekstrasppekji sugeruje „niezmienną” świadomość bohaterów. Nie zawsze jednak. Jest jeszcze inne rozwiązanie. Mach chwycił się go w ostatnim rozdziale swej powieści.

Zbigniew Sikora przyznaje się tam do przestępstwa. A więc widzimy narazie moment „przełomu”, chwilę rozstrzygającej decyzji postaci, zrywającej z tymi normami moralnymi, których dotychczas przestrzegała. Mimo to trudno oprzeć się nam refleksji o tajemnicę i nieodgadnioną naturę człowieka. Suflije ją przecież opis tej sceny. Pisarz obserwuje Zbigniewa. Mówi nawet o jego myślach. Nie są one jednak egzegezą tego czynu, który zaraz popełni. Motywy pozostają w ukry-

ciu — w „strefie cienia”. Powtarza się więc moral, tak bliski sercu agnostyków, o człowieku — „istocie nieznamnej”. Mach skonstatował niepoznawalność racji kierujących zachowaniem się jego bohaterów.

„Jaworowy dom” staje się podobny do błądzenia pomiędzy Scyllą a Charybdą. Jego autor nie jest Odyseuszem. Nie umie ominąć obu niebezpieczeństw. Wymykając się jednemu, wpada w drugie. Ba, nie umie... Nawet najdoskonalszy, najbardziej doświadczony pisarz nie wybrnąłby z tej sytuacji. Narzucił mu ją młodość do ekstraspekji, bałwochwalca i wroga prawdziwej psychologicznej. Mach podejmując swą decyzję, która oblekła jego powieść w tak niecodzienną u nas kształt, popełnił zasadniczą pomyłkę. Obracał się teraz pośród jej konsekwencji. Ona to zostawiła widoczną rysę na realizmie jego książki. Nie można przecież ukazać walki starego z nowym zapominając o tych konfliktach, których terenem jest człowiecza świadomość. Nie pomoże tu markowanie. Rysunek wielkiej batalii naszej współczesności postuluje daleko pełniejsze zastosowanie analizy psychologicznej, aniżeli dzieje się to w „Jaworowym domu”.

Powieść Macha zaskakuje każdego prostotą swej narracji. Rzeczywiście, jej styl nie przypomina w niczym „Rdzy”. Jest oschły, sprawozdawczy, jakby „zgrzebny”. H. Bereza nazwał go „rzeczowym”. Nie trafił w sedno. Tęsknota za stylem dyskursywnym nie ożywia „Jaworowego domu”. „Zgrzebność” prozy nie jest tu „zgrzebnością” protokołu, który stwierdza, że zdarzyło się to i to, że X wyglądał tak i tak, że Y śmiał się w ten a ten sposób. Mach powołał do życia prostotę jakby perwersyjną. Wykorzystał wytworzoną w mowie potocznej konwencję opowiadania, sięgającą w dziedzinę metaforyki i budowy zdań. Łatwo jest pochylać się nad tą lub inną frazę powieści syknąć, krzywić twarz grymasem zgrozienia: — co za ba-nał! Trudniej przychodzi zrozumieć jego znaczenie. Wywodzi się on przecież ze szczególnej manieri pisarza, która prosi się wręcz o miano „umyślna prostota”. Gdy czytamy: „Od wnętrza z miejsc wyznaczonych liniami strategicznego podziału ruszyły jednostki natury. Oka sieci poczęły się zaciskać” — szokuje nas wprost zużyty, wytarty obraz pojawiający się tutaj. Po dobrej chwili namysłu rozumiemy dopiero kunsztowny wybór prozaika. Stał się on stylizatorem. Imituje, podrabia prymitywną konwencję narracji. Toteż upraszcza konstrukcję zdań, wysyła w bój metafory zużyte, komunikuje prawdy właściwe mieszkankom Bielawy.

A jednak ten stylistyczny „gorset”, w który zasznurował się pisarz, często pęka, i to z wielkim hałasem. Objawia się wówczas inny Mach, zakochany w retoryce, niechętny prozie „zgrzebnej”. Milknę, by za chwilę odezwać się ponownie. Wtedy czytamy: „Pojeła w tych sekundach znużenia i beznadziei, że nie umie zgasić jego niepokoju, że nie może przełamać — nawet dla niego — surowej i sprawiedliwej wiedzy o sobie”. Wygląda to tak, jakby pisarz — skrepowany ascezą prostoty i zadający gwałt swym artystycznym upodobaniom — od czasu do czasu wierzał, nie mogąc znieść już dłużej tej udręki. A przecież nie jest ona smutną koniecznością realizmu. Nie żąda on prozy zgrzebnej, nie domaga się ascezyzycznej prostoty, nie woła o tę lub inną metodę narracji. Stendhal pisał na sposób prawników układających kodeks. Flaubert zaś smakował spadki zdań. I obaj byli realistami.

Gdyby recenzja miała być odpowiedzią na pytanie, czy warto czytać omawianą książkę, prawie wszyscy chyba wsłuchując się w nasze wywody orzekliby zgodnym chórem: „Nie”. I nie mieliby racji. „Jaworowy dom” jest bezspornie powieścią z prawdziwego zdarzenia, powieścią ambitną, jedną z najbardziej interesujących książek bieżącego roku. Nie spaliśmy trybutu recenzentkim obyczajom, mówiąc o niej, że odważna, że godna uwagi. Nie usypialismy jej autora, by tym sprawniej go zaatakować. Nie szło nam też tylko o śmiałość, pojęcie niesprecyzowane, ulotne, a więc doskonałe nadające się do pochwał, którym brakuje uzasadnienia, a którym wypada skwitować nową książkę. Nie, „Jaworowy dom” naprawdę przebrnął przez długi tor przeszłości wystając przed każdym współczesnym pisarzem. Nie znajdziemy w nim naiwnych kropek nad „i”, ani też komentarza zastępującego obraz, nie natrafimy na zależność pomiędzy czynami bohatera a jego pochodzeniem społecznym. Pisarz nie wyprowadza nieomyślnych przepowiedni z ankiety personalnej swych postaci. Nie zmienia ich w igraszkę sił społecznych. Nie pada również ofiarą prostactkiego optymizmu, który żąda, by indywidualny sukces zamykał perypetie pozytywnego bohatera, katastrofy zaś piętrzyły się nad głowami postaci negatywnych. Powtarzamy raz jeszcze — „Jaworowy dom” jest eksperymentem. Eksperyment ten nie wszędzie się powiodł. Uchyłmy jednak kapelusza przed trudem eksperymentatora!

LECH BUDRECKI

SPACER PO WYSTAWACH



Józef Skrobiński przy pracy

Oglądałem ostatnio tzw. wystawę pekińską — dobry, choć wyrzykowy przegląd naszego dorobku z lat 1949 — 1953. Zaleca się niekiedy spojrzeć wstecz, żeby zobaczyć, dokąd już doszliśmy. Trzeba stwierdzić, że postęp jest wyraźny, chociaż posuwamy się na ogół powoli. To znaczy — jednostki biegają, duża grupa ciągnie stępa, niektórzy drepną w miejscu. Obrazy wysłane do Chin wybierane były starannie, miały przede wszystkim reprezentować poziom polskiego malarstwa. Są tu m. in. prace nagrodzone i wyróżnione na poprzednim Salonie Warszawskim, prace Kobzdej, Łomnickiego, Zakrzewskiego. Są inne znane i szanowane nazwiska. A jednak porównanie z wystawami tegorocznymi, nawet okręgowymi, wypada na korzyść tych ostatnich. Osiągnąć co najmniej równorzędnych jest więcej, zaś problematyki — szerszy, spojrzenie na świat — głębsze, forma lepiej służy wyrażeniu treści.

Na wystawie w parku Sienkiewicza rzucają się jeszcze w oczy grzechy młodości, po większej części są to dopiero prymitywizm realizmu socjalistycznego. Dominuje reportażowa ilustracyjność. Idąc w beznadziejne zawody z kroniką filmową artyści starają się o możliwie najwierniejsze odwzorowanie konkretnych zdarzeń. Nie dają sobie jeszcze rady z uogólnieniem poprzez fikcję poetycką. Gubią się na bezdrożach wyidealizowanego. Nawet w najlepszych kompozycjach widać brak decyzji w zdefiniowaniu myśli przewodniej, zamiast syntezy mamy ogólniki retuszowane bądź ekspresją (Kobzdej), bądź liryzmem (Cygańska-Walicka).

Przy tym wszystkim jednak obrazy w Galerii na pierwszy rzut oka wyglądają lepiej niż w Zachęcie. Sprawa jest prosta — przestrożki. Podstawowym warunkiem oceny wartości dzieła sztuki jest możliwość skupienia się. Obrazy Guttusa działały. Na IV OWP na pewno nie gorzej i nie mniej ekspresyjnie prace nie wywołują oddźwięku. W natłoku giną wszelkie subtelności, tu trzeba bić w łeb obuchem. Nie dziwnego, że mówi się o bezcelowości wystaw: tak organizowane, nie spełniają swej funkcji wychowawczej. Równocześnie psują krew artystom. Warto by przeprowadzić statystykę, ile dobrych prac, nie popartych magią nazwiska, w ogóle nie zauważono na skutek chaosu wrażeń w niesczepnej ciasnocie, na skutek niefortunnego sąsiedztwa.

Z okręgu łódzkiego znalazły się na wystawie prace dwóch artystów, typowych zarazem przedstawicieli dwóch odmiennych, rozpoznańskich kierunków. Gwoli ścisłości trzeba zaznaczyć, że istnieje w naszym ośrodku trzecia grupa — „kolorystów” — tym razem nie pokazana.

Prace Mackiewiczów z powojennego okresu twórczości cieszą się popularnością i są na ogół wyczerpująco skomentowane. Nastrojowy krajobraz znad Pilicy należy do lepszych obrazów z tej serii, zachowując zresztą wszystkie jej cechy charakterystyczne. Dominantę kierunku i dzieł Mackiewiczów stanowi czysto zmysłowy, wizualny, bezkrytyczny niejako stosunek do rzeczywistości. Kryterium wartościowania jest podobieństwo do natury, ideałem — zbliżenie się do jej niedościgniętego wzoru. Bystrość obserwacji i chłonność pamięci wzrokowej rozwiązują sprawę selekcji motywów w stopniu wystarczającym dla analitycznego ujęcia; wirtuozeria techniczna pozwala na wygranie upragnionych efektów; płynność wymowy nie przekształcając się w gadulstwo pokrywa niedostatki treści. Grupę obciąża się zarzutem naturalizmu — chyba niesłusznie. Cechą naturalizmu, w pejoratywnym znaczeniu słowa, jest pesymizm, negacja, niewiara w możliwości poznania, dokumentowanie ciemnych stron życia za pomocą sporadycznych faktów. Tymczasem sztuka Mackiewiczów afirmuje życie przez pogodę, umiowanie przyrody i ziemi ojczystej. Można by zgodzić się raczej na termin „mały realizm”. I taki jest potrzebny.

W „Próbie stali” Lubniewicza mamy uwidocznione skrajnie przeciwną tendencję. Przyjmując za dewizę starą formułę Leonarda da Vinci — „malarstwo jest rzeczą umysłu” — artysta i pokrewni mu duchem koledzy weszli na drogę konstruktivismu. Obraz nie jest mniej lub więcej przypadkową prezentacją wycinka rzeczywistości, nie jest jej odbiciem zwierciadlanym, zaobserwowane elementy natury dają zaledwie materiał, z którego buduje się nowy i wyodrębniony fragment obiekty-

wnego świata. Wyodrębniony, ponieważ rządzi tu specyficzna prawda sztuki, podporządkowane wszelako naczelnej zasadzie realistycznej syntezy. Nakłada to obowiązki użycia form najbardziej przydatnych dla przekazania odbiorcom zdobytej uprzednio wiedzy, form zwiezłych, czytelnych i dobitnych. Stąd skłonność do monumentalizacji obiektu, do klasycznej prostoty kompozycji. Malarstwo tzw. szkoły łódzkiej, jako swoista reakcja na impresjonistyczne widzenie, wywodzi się z tradycji „klasycyzmu” seuratowskiego czy też cezannowskiego. Powinowactwo „Próby stali” z Seuratem jest nawet dość uchwytne.

Artyści łódzcy wypatrują we współczesności poezji, i to poezji nastrojowej na ton wysokiego patosu, ton czystej epiki. Przekształcenie przyrody, wychowanie nowego człowieka, praca kolektywna na wszystkich szczeblach drabiny społecznej, szlachetna rywalizacja w budowie socjalizmu — tematy nie zabraknie.

Wśród zwolenników liryki w malarstwie większe zainteresowanie budzi

indywidualna wystawa pejzaży Józefa Skrobińskiego. Obcy wszelkim filozoficznym spekulacjom artysta poddaje się wrażeniom, szuka w krajobrazie doznań wzrokowych, i to tylko przyjemnych. Jednostronność takiej nie wolno ganić, bezkompromisowe głoszenie radości życia wnosi pewne wartości dydaktyczne, nie pomniejsza społecznej roli sztuki. Właściwy dziełom Skrobińskiego powab nie może wywołać wzruszeń o napięciu dramatycznej wzniosłości, ale jest to naprawdę radosna paleta, artysta nie dopuszcza cienia smutku, ba, nawet w formie nie uznaje cienia, zna tylko światło i światło nasycone. Akwarelista z upodobaniem, również w obrazach olejnych pragnie wydobyć świeżość i przezroczystość akwareli. Oleje wykonane na papierze, suchą farbą i żdardym pędzlem, zachowują lekkość i blask.

Niektóre z wystawionych obrazów mają charakter szkiców, notatek z natury, inne — zwłaszcza motywy z Uniejowa i Kazimierza — choć również malowane w plenerze, sprawiają wrażenie zamkniętej, obmyślonej kompozycji. Te właśnie opinie publiczna — leży przede mną stos ankiety — słusznie ceni najwyżej. Wątpliwości budzi natomiast kilka akwarel, w których twórca próbuje zbyt daleko posuniętego uproszczenia kształtów. Synteza godzi się z pewną dozą ekspresyjnej deformacji, sty-

lizacja bez ekspresji chybia celu. Przykładem może być „Sandomierska droga”, najbardziej konsekwentna i miłana obojnie.

Słyszeliśmy często narzekania miejscowych działaczy kulturalnych, że twórczość najnowsza plastyków nie wiąże się z pragnieniami robotnika, nie nadaje się do przyozdobienia świetlic i mieszkań. Twierdzeniu temu zadają kłam wypowiedzi widzów na wystawie „Krobińskiego, a przedtem jeszcze na letniej, „plenerowej”. 343 obrazy wystawili malarze łódzcy w przeciągu ostatnich miesięcy, jest to tylko drobna część ich dorobku. A wnętrza domów kultury, hoteli robotniczych, świetlic, gabinetów dyrektorskich itd. itd. świecą nadal gołymi ścianami lub ohydą pseudodekoracją.

Przewiduje się, że sale Pałacu Kultury w Warszawie będą zdobić niemal wyłącznie malarstwo sztalugowe. Znajdą się tam i prace artystów łódzkich. W Łodzi miejsca dla nich nie ma. Chyba, że Prezydium Rady Narodowej zdobędzie się na lokal reprezentacyjny, na łódzki pałac kultury. W centrum nowej, wspaniałej dzielnicy robotniczej, na Starówce — klub spotkań związków twórczych z masami pracującymi i słuchej się przyszłości, i dodać splendoru miastu.

HENRYK ANDERS

MIECZYSLAW DROBNER

ŁÓDŹ MA OPERĘ

wością na chwilę, gdy będą mogli ze sceny operowej dać się poznać łódzkim robotnikom.

Oprócz wokalistów Łódź dysponuje również kadrą muzyków orkiestrowych oraz reżyserów, kapelmistrzów, korepetytorów — mogących pokierować pracą tak skomplikowanej maszyny, jaką jest teatr operowy. Brak teatru operowego powoduje przy tym stałe zjawisko ucieczki specjalistów w tej dziedzinie do innych miast. Niedługo kapelmistrz, reżyser operowy czy śpiewak, który znalazł się w Łodzi po wyznaczeniu, nie opuściłby naszego miasta, gdyby miał zaczepienie o miejscową operę.

Toteż z olbrzymim entuzjazmem społeczeństwa spotkała się inicjatywa podjęta wspólnie przez szkoły muzyczne, Filharmonię i Polskie Radio, zmierzająca do uruchomienia placówki operowej w naszym mieście. Dzięki poparciu Prezydium Rady Narodowej powstało w czerwcu 1954 „Stowarzyszenie Przyjaciół Opery”, którego zadaniem było znalezienie właściwych form organizacyjnych dla tworzącej się placówki operowej i uzyskanie koniecznej dla tego celu pomocy finansowej resortu kultury.

Po zapewnieniu sobie tej pomocy Stowarzyszenie utworzyło samodzielną placówkę artystyczną, zwaną „Operą Łódzką”.

Rozpoczął się trudny okres kompletowania zespołu artystycznego. Kierownictwo muzyczne objął prof. Władysław Raczkowski, znany naszej publiczności dyrygent wokalo-orkiestrowy. Reżyseria powierzona została prof. Jerzemu Merunowiczowi, a scenografia Ewie Sobolewskiej i Józefowi Rachwałskiemu.

Z uwagi na pedagogiczne założenia powstającej placówki zespół wokalny kompletowany został w ten sposób, iż nie czyni się zasadniczej różnicy między solistą a chórzystą. Każdy z członków chóru może w każdej chwili być powołany do partii solowej, a solista nie zatrudniony w danej operze prze-

chodzi automatycznie do chóru. Mogliśmy sobie pozwolić na takie postawienie sprawy dlatego, iż cały zespół (56 osób) składa się z wysokokwalifikowanych śpiewaków, absolwentów wyższej lub średniej szkoły muzycznej; wielu z nich ma za sobą pracę w operach i filharmoniach, pełen sukcesu udział w konkursach wokalnych itp.

Ponieważ w ramach sekcji operowej Wyższej Szkoły Muzycznej przeprowadzone były już prace muzyczne nad operą Moniuszki „Straszny dwór” — postanowiono tę operę, będącą obok „Halki” najlepszą, najpopularniejszą i najbardziej reprezentatywną operą polską, pokazać łódzkiej klasie robotniczej w pierwszej kolejności. Ustalona została podwójna, a niekiedy potrójna obsada partii solowych. „Deficyt” mamy na razie jedynie wśród tenorów — ten rodzaj głosu rodzi się widocznie w Polsce rzadziej, gdyż na brak tenorów uskarżają się wszystkie teatry operowe w kraju. Czytelnicy wybaczą, że nie podam tu nazwisk solistów i solistów przygotowujących się z zapalem do premiery. Poznać ich wszystkich na scenie i to niedługo, bo premiera odbędzie się już w październiku.

Na twarzach czytelników pojawia się zapewne zdumienie: mowa jest o obsadzie i o terminie premiery — ale przecież Opera Łódzka nie posiada sali teatralnej ani pomieszczeń na próby. Gdzie zatem, w jakiej sali, spotkamy się za kilka tygodni? To zagadnienie jest jednym z trudnych problemów przyszłej opery. Jedynym bowiem gmachem teatralnym w Łodzi, który — do czasu wykończenia Teatru Narodowego przy pl. Dąbrowskiego — odpowiada wymogom widowiska teatralnego, jest gmach i scena Teatru Nowego. Toteż w pierwszym okresie widowiska operowe odbywać się będą w Teatrze Nowym. Dyrekcja tego teatru pogodziła się na jakiś czas z kłopotliwym sublokatozem i dwa razy w tygodniu udostępnił swą salę na przedstawienia operowe. Miłośnicy opery mogą zatem już dzisiaj rezerwować sobie czas: opera grać będzie w poniedziałki wieczorem i w niedziele przed południem.

Drugim gospodarzem, który nie tylko przyjął sublokatora, ale z ciele się nim opiekuje — jest łódzki Wojewódzki Dom Kultury. Tam to odbywają się próby muzyczne i sceniczne, które na scenę „Nowego” przeniesione zostaną dopiero w ostatnim tygodniu przed premierą.

A co będzie przygotowywał zespół, gdy odetchnie już po udanej premierze „Strasznego dworu”? Plan jest bogaty, tylko nie ustalono jeszcze kolejności. Mamy w planie „Madame Butterfly”, Pucciniego, dwie jednoaktowe opery Moniuszki „Flis” i „Verbunobile”, fantastyczną operę Offenbacha „Opowieści Hoffmana”, brany jest pod uwagę i „Cyrylik sewilewski” Rossiniego i jedna z oper Mozarta („Uprowadzenie z Seraju”). Niektóre z tych oper nadają się do wykonania na mniejszej scenie. Aby więc móc przekroczyć ilość dwu przedstawień tygodniowo, Opera ma zamiar zagrościć również i w innej sali teatralnej Łodzi. Ale o tym pisać będziemy już po premierze „Strasznego dworu”. A na razie przeżywać będziemy emocje pierwszej premiery i oczekiwać oceny naszej publiczności. Chcemy, aby Łódź nie tylko miała operę, ale by miała dobrą operę!

T. CH.

MIECZYSLAW DROBNER

Piórka z ogona

Ani miejskie,
ani wiejskie,

czyli świetlice bez opieki

W granicach Wielkiej Łodzi leży 18 wsi. Ponieważ formalnie te wsie stanowią „miasto”, nie są objęte akcją łączności miasta ze wsią, nie interesuje się nimi Związek Samopomocy Chłopskiej. Świetlice w tych wsiach, pozbawione etatowych kierowników i zorganizowanego aktywu, mimo sporadycznych wysiłków miejskiego Wydziału Kultury stanowią opuszczone lokale, służące jedynie za miejsce zebrania gromadzkich i instruktażu rolnego. W r. b. sytuacja poprawiła się o tyle, że Wydział uzyskał fundusze na prowadzenie dwóch świetlic przy spółdzielniach produkcyjnych w Rogach i Olechowie. Potrzeba życia świetlicowego musiała tam być ogromna, skoro natychmiast po niezbędnym remoncie napłynęła do świetlicy liczna młodzież, choć nie było tam jeszcze ani adapteru, ani stołu do tenisa, ani nawet jakichś takich mebli.

Dla pozostałych świetlic poszukuje się dalej „zamożnych” patronatów.

Jednym jednak, jak dotąd, stałym sukcesem jest założenie w każdej ze świetlic punktu bibliotecznego, który prowadzi nieodpłatnie pracownicy najbliższych bibliotek rejonowych, i to prowadzi niezwykle ofiarnie. Bibliotekarki co niedzielę docierają do poszczególnych świetlic, bez względu na porę roku, czy to deszcz czy mróz, często na piechotę, obciążone książkami. Zupełnie jak w czasach „Siłaczki” Zeromskiego. Wszystko to są jednak półśrodki. Muszą się wreszcie znaleźć środki finansowe na etaty dla kierowników i zabezpieczenie pracy świetlic. Pozostawienie bez jakiegokolwiek funduszu 16 świetlic na dalekich peryferiach miasta jest małym skandalem.

T. CH.

Tragiczna życzliwość

Od paru miesięcy istnieje w Piotrkowie Międzyspółdzielniowy Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Piotrkowskiej, liczący już około 200 członków. Na chwałę miejscowych władz terenowych zapisać należy żywe zainteresowanie się zespołem, który ostatnio uzyskał lokal umożliwiający mu normalną pracę. Nie ma jednak różny bezkolcowi: dumne z istnienia zespołu władze terenowe zaprojektowały dla niego aż 14 występów w czasie od 15 sierpnia do 15 września.

I tu warto przypomnieć parę elementów prawdy: 1. dyktetyka obowiązująca i w życiu zespołów amatorskich, które jeśli mają istnieć — muszą się rozwijać; 2. dla rozwoju każdego zespołu konieczna jest praca nad odnawianiem i pogłębianiem repertuaru; 3. praca nad repertuarem wymaga czasu na próby i ćwiczenia.

Skąd weźmie czas na próby i ćwiczenia zespół, który w ciągu miesiąca ma wystąpić 14 razy, skoro składa się z ludzi pracujących?

E. SZ.

Problem łódzkiego środowiska naukowego

(Dokończenie ze str. 8)

ich zainteresowań ogólnych, światopoglądowych i estetycznych, które przecież każdy posiada i zaspokaja na swój sposób. Czyżby naprawdę technik nie miał nic do powiedzenia malarzowi, historykowi literatury, fizykowi muzykowi? Czyż nie można organizować zebrań dyskusyjnych? Można i trzeba. Lecz trzeba również, aby losami i rozwojem nauki w Łodzi szerzej i głębiej interesowała się opinia publiczna miasta i jego władze. Nauka jest bardzo wrażliwym i kosztownym tworem, wymagającym specjalnej opieki i hodowli. Minęły czasy, kiedy uczony w ciasnej izdebce tworzył wielkie dzieła, wysnuwając je z własnej tylko myśli samotnej. Dziś nauka posuwa się naprzód kosztem wielkich nakładów i tylko w dobrze zorganizowanych i dobrze wyposażonych warsztatach. Jeżeli tego brak, następuje zastój i pracownicy przenoszą się tam, gdzie znajdują warunki do pracy. Łódź już raz przeżyła wielki odpływ i wielkie skurczenie się zakresu swej pracy naukowej. Obecnie rozpoczął się okres nowego rozwoju na nowych podstawach. Trzeba, by nauka rozwijała się w Łodzi w atmosferze zainteresowania, poczucia niezbędności i opieki. Niech zniknie z życia Łodzi sąsiedztwo lokalowe, jedyną biblioteką naukową z przychodnią dla alkoholiczów i dzieci umysłowo upośledzonych.

Problem łódzkiego środowiska naukowego to sprawa nawiązania współpracy między poszczególnymi ośrodkami naukowymi oraz sprawa współpracy nauki z miastem, kształtowania oblicza kulturalnego miasta poprzez naukę i opiekę miasta nad nauką. Rozwiązanie tego problemu jest sprawą bardzo ważną i dla nauki, i dla miasta.

JAN SZCZEPANSKI

ŁÓDŹ LITERACKA

13

ZNASZ-LI TEN KRAJ

czyli nowe przewodniki łódzkie

Niedawno ukazały się trzy popularne wydawnictwa o Łodzi i województwie. Są to: zwięzła monografia Stanisława Berezowskiego „Łódź i Województwo Łódzkie”, wyd. nakładem „Wiedzy Powszechnej”, oraz dwa z prawdziwego zdarzenia przewodniki: „Łódź w opracowaniu Tadeusza Brauna i Władysława Żelazko” i „Województwo Łódzkie” pióra J. i Z. Dylaków i R. Kaczmarka. Oby te książki wyszły w ramach cieszącej się zasłużonym uznaniem serii wydawnictw turystycznych „Kraj”.

Publikacje te zapewniły dotkliwą i krzywdzącą Łódź lek w powojennej akcji wydawniczej.

Wszystkie trzy napisane żywo i przystępnie. Omawiają w sposób zwięzły, a przy tym stosunkowo wyczerpujący, wszystkie ważniejsze problemy, zarówno dzisiejszej Łodzi i regionu, jak i jego znamiennej historii, nie omijając nawet zagadnień geografii fizycznej. W publikacji Dylaków i Kaczmarka informacje o samej technice przedzenia i tkania znakomicie systematyzują dotychczasowe wiadomości czytelnika, który rzeczywiście zna nie tylko Łódź.

Przewodniki rozprawiają się zdecydowanie z fałszywym mitem Łodzi jako „miasta nieciekawego”, w którym

rzekomo „nie ma co oglądać”. Zaznają, mając z cechami lokalnymi, początkowo ludowymi, wczesnej architektury łódzkiej, wskazują na specyficzny pejzaż poszczególnych ulic i wyjaśniają jej historyczne przyczyny, przede wszystkim zaś tłumaczą systematycznie, rozdział po rozdziale, na czym polega jedność i niepowtarzalność tego zjawiska, jakim jest Łódź.

Monografia Berezowskiego, niezmiernie cenna jako wykład geografii gospodarczej regionu, zawiera jednak kilka drobnych błędów i nieścisłości w partiach, w których ekonomista wszedł na stosunkowo bardziej obcy sobie teren historii.

Należy mieć żal do autorów wszystkich trzech książek o noty bibliograficzne. Dylaków i Kaczmarek nie dają ich wcale, bibliografia podana na ostatnich stronach pozostałych książek jest mało staranna i dość przypadkowa. I wreszcie ostatnia sprawa: niezmiernie niskie nakłady. 5100 egzemplarzy popularnej książki informującej o życiu i rewolucyjnej przeszłości miasta, które liczy 600 tysięcy mieszkańców i jest jednym z najważniejszych w Polsce ośrodków budowy socjalizmu — to chyba jakieś kardynalne nieporozumienie.

T. CH.

STAWIAMY NA MŁODZIEŻ

Pracuję w szkole wiejskiej dopiero rok. Wyrwana ze środowiska miejskiego, przyszedłam na wieś nie przygotowana do pracy. Objęłam funkcję przewodnika drużyny harcerskiej w szkole podstawowej w Rokicinach, powiatu Brzeziny.

Pracuję w gromadzie, gdzie życie kulturalne stoi na wysokim poziomie. Rokiciny są zelektryfikowane, radiofonizowane, posiadają stałe kino. Latwiej w takiej gromadzie pracować czy trudniej? Otóż trudniej, gdyż chłopcy wymagają od nauczyciela znacznie więcej niż w wioskach zacofanych.

Wysokie wymagania postawiła w pierwszym rzędzie młodzież gminy. Sześć kół zetempowskich, stu trzydziestu młodych rwących się do pracy ludzi — żądało od nas nie tylko bezpośredniej pomocy w tysiącach kłopotów, ale przede wszystkim właściwej postawy moralno-politycznej, jak to się mówi — dobrego przykładu. Bez ofiarności osobistej, taktu nie może być mowy o uzyskaniu autorytetu, a więc i wpływu na młodzież.

Praca z młodzieżą odkryła z miejsca nasze braki. Musiałam pogłębić wiedzę rolniczą, bo inaczej cóż mówić o szkoleniu, i to w gminie, gdzie chłopcy gospodarzą umiejętnie.

Szkolenie zetempowskie — to także nie prosta sprawa. Wiadomo — referatem ani człowieka przekształcić, ani tym bardziej — socjalizm zbudować. Dlatego nie przypadkowo mamy takie duże osiągnięcia w pracy kulturalnej. Czytelnictwo literatury pięknej, montaż literacki, całe bogactwo poezji narodowej i innych krajów, piosenka — stały się środkami wychowania ideologicznego młodzieży harcerskiej i zetempowskiej. Organizowanie życia świetlicowego — takie zadanie postawiliśmy przed sobą.

Koleżanka Włodarczyk poprowadziła zespół taneczny, kol. Frankowska — zespół recytatorski. Obydwa zajęły w eliminacjach powiatowych pierwsze miejsca. W czerwcu urządziliśmy wielki festyn młodzieży, pierwszą tego rodzaju imprezę na terenie gminy. Po raz pierwszy gościliśmy młodzież z innych gmin.

Alle sama praca świetlicowa, dająca młodzieży wiele satysfakcji, jeszcze jej na terenie gminy nie zatrzyma. A zachowanie pewnej części tego żywego jak srebro aktywu dla Rokicin stało się w świetle uchwały II Zjazdu konieczne. Gmina woła o młodych, zdolnych ludzi.

Zajęliśmy się też wiosny sportem. W zasadzie od czterech lat jest boisko, ale nikt go używać nie mógł. I tu dochodzimy do sprawy działalności reakcyjnej części kleru, która przede wszystkim stara się paraliżować pracę organizacji zetempowskiej. Ksiądz zwołał zebranie, na którym oświadczył, że boiska nie będzie. Młodzież zwróciła się do Prezydium GRN z żądaniem oddania jej placu. Chłopcy i dziewczęta osobiście pilnowali pracowników Prezydium, które

rzy początkowo próbowali „utopić w kieliszku” zwolenników sportu w Rokicinach. Po długiej walce zdemaskowano pijaków, cichych sojuszników reakcyjnej plebani, młodzież potępiła księdza, no i boisko mamy.

Ale i rozwój sportu jeszcze nie osadził młodzieży na stałe. Rozpoczęliśmy — my, nauczyciele — trudną walkę o odwołanie władz gminnych i aktywu społecznego. Pół roku walczyliśmy, nim pierwszy członkowie ZMP weszli w skład Rady Narodowej. To było wielkie osiągnięcie na drodze do zwalczania młodzieży na długi czas z rodziną gminą. Teraz dopiero mogliśmy wzmocnić kontrolę społeczną nad pracą GS, akcjami skupu i kontraktacji. Nasze młodzieżowe trojki gromadkie znane są z ofiarnej, bezinteresownej pracy. Równocześnie jednak wzmógł się i nacisk wroga. Próby zastraszenia, bicia, intrygi — miały zlamać naszych aktywistów zetempowskich. Nie mam słów uznania dla młodzieży — jest wspaniała! My, nauczyciele, nie widzimy złej młodzieży, inna to rzecz — czy potrafimy właściwie z nią pracować, pokazać jej perspektywę konkretnej pracy, wyrwać spod wpływu wroga.

Młodzież coraz wyraźniej porywa za sobą starszych. Widać to przede wszystkim w życiu kulturalno-sportowym. W eliminacjach recytatorskich naszego powiatu brał udział starszulek liczący 63 lata, wielki entuzjasta poezji. I trzeba powiedzieć — najgorzej nie wypadł. Zespół dramatyczny naszej świetlicy zdobył pierwsze miejsce w powiecie. A aktorzy liczą przeciętnie 40 — 50 lat! Aparat radiowy, którym ich nagrodzono, przekazali świetlicy. Tym wzruszającym gestem wyraził uznanie dla pracy młodzieży — organizatora życia kulturalno-sportowego. Są w Rokicinach chłopcy, którzy kupują zbiorowe wydania Słowackiego. Można z nimi swobodnie dyskutować nad „Początkiem opowieści” czy „Pamiętką z Celulozy”.

Ale sukcesy sukcesami, a praca nasza jest nadal trudna. Choćby — dla przykładu — na odcinku spółdzielczości produkcyjnej. Cztery lata istnieje już Komitet Założycielski, a do spółdzielni wciąż daleko, choć prowadzimy agitację z całą siłą. Teraz powstaje zespół uprawowy — pierwszy krok naprzód został więc zrobiony. Tym więcej, że nas, nauczycieli, wzmacnia młodzież.

Zdarzyło się niedawno, że jeden z zetempowców postawił mi taki zarzut: „Wy, koleżanko, dużo pracujecie w Popielawach, mam za to pretensję do was, rzadko bywacie u nas, za mało się mówi w mojej wsi o spółdzielczości”.

Po chwili jednak zreflektowałam się i dodałam: „Właściwie to ja sam mogę oca przekonać o wyższości gospodarki socjalistycznej”.

Tak nam podrosła politycznie nasza młodzież!

ADELA POKORSKA

PRZYDAĆ ŁÓDZI POEZJI I UROKU!

Znamy wszyscy ten typ konkursów rysunkowych, ogłaszanych nieraz przez różne czasopisma: każdy rysunek stanowi aluzję do jakiejś postaci, miejsca lub wydarzenia, które właśnie trzeba odgadnąć. Jeżeli to będzie konkurs dotyczący np. miast polskich, to Warszawa łatwo odgadniemy z sylwetki Pałacu Kultury i Nauki, albo z kolumny Zygmunta, albo ze znanego wylotu Trasy W-Z, łazienkowskiego pałacu, pomnika Sobieskiego, Kopernika i wielu innych, powszechnie znanych fragmentów. Kraków odczytamy z zarysów Wawelu, Barbakanu, Sukiennic, wieży Mariackiej, Wrocław z Ratusza, Gdańsk — ze spichrzów lub Domu Artusa. A Łódź?

Niewielu przyjeżdża do nas turystów, ale nawet my sami, gdy chcąc wysłać „serdeczne pozdrowienia z Łodzi”, szukamy nadających się do tego celu widokówek łódzkich — co znajdujemy? Czy ktoś pomyślał o spopularyzowaniu jakichś typowych, specyficznych fragmentów naszego miasta?

Dziwnie oschle jest to miasto, sztywne i „nieprzystępne”. Czasem wydaje się, że sześćset tysięcy ludzi związanych jest z Łodzią wyłącznie tym przypadkowym faktem, że właśnie tutaj zamieszkują. Ja wiem — to się tak tylko wydaje. Ci ludzie mają tu swych bliskich, żywych i umarłych, tutaj przeżywali swoje miłości i swoje tragedie, tu bawili się jako dzieci, tu staczali boje klasowe, tu najlepsze swe siły oddają w codziennej, upartej, ambitnej pracy. To się tylko wydaje, że łódzianie nie mają sentymentu dla swojego miasta. Ale czy sentyment ten znalazł godny siebie wyraz, czy wytworzył tę nieuchwytną wspólnotę psychiczną, to poczucie „ziemi ojczyznej”, o którym Koźmiewski pisze w „Liście do Dzielnicy Rady Narodowej w Nowej Hucie” w jednym z sierpniowych numerów „Przekroju”: „poczucie ziemi ojczyznej nawarstwiło się dla nas urokami tradycyjnych wydarzeń, obrzędów, miejsc, o jakich śpiewa się piosenki i opowiada piękne historie, ulic, z jakimi wiążą się nasze wspomnienia i historyczne, wielkie lub małe wypadki”.

Każde chyba miasto — nie tylko miasto, bo i wieś każda, i wzgórze, i jezioro — posiada swoje legendy. Straszny na warszawskim Starym Mieście

Bazyliżek, pływała w podziemiach zamku Ostrogskich na Tamce złota kaczka, groźny Boruta rezydował w Łęczycy, o kruszwickich myśzach wie każde dziecko, nie mówiąc już o tuzinie pięknych, barwnych historii krakowskich. Nie trzeba chyba wyjaśniać, jaką wartość emocjonalną mają takie legendy, jaki ważny stanowią czynnik ukochania ziemi ojczyznej. Czy Łódź jest za młoda, aby przemówić mogła do wyobraźni? Poza wydanym w r. 1935 nieciekawym zbiorkiem St. Rachalewskiego „Baśni i legenda Łodzi”, obejmującym podania o mocno podejrzanym autentyczności, nie znam ani jednej przypowieści związanej tematycznie z terenem Łodzi. Pod tym względem bogatsza jest nawet Nowa Huta. A może przypowieści łódzkie istnieją, tylko nikt ich nie podniósł pod światło, nie podzielił się nimi z ogółem mieszkańców, nie dostrzegł ich możliwych walorów? „Łódź Literacka” jest, moim zdaniem, najbardziej powołana do zainteresowania się tą sprawą.

Co prawda, owa wspomniana już oschłość atmosfery łódzkiego życia nie sprzyja powstawaniu opowieści, które zawsze są wyrazem wzruszenia i sentymentu, zawsze zawierają pewien ładunek liryzmu. Co łódzianie lubią specjalnie w swoim mieście? Czy są jakieś ulubione miejsca przechadzek lub wycieczek podmiejskich, czy są ulubione miejsca spotkań i takie, które by w pamięci większości z nas wiązały się z czymś bardzo ważnym, własnym, serdecznym, czy są ulubione formy zabawy, rozrywki, odpoczynku?

W Brukseli jest na pewnym placu mały posązek chłopca robiącego — wybaczenie — siusiu. I właśnie ten placyk i ten posązek, Maneken Pis, są symbolem wielkiego belgijskiego miasta, tam fotografują się turyści, tam spotykają się zakochani, o tym się śpiewa piosenki. W Łodzi nie śpiewa się piosenek o Łodzi. Młodzież jadąc autami na wczasy niedzielną śpiewa „Góralu, czy ci nie żal?” i „Czerwony pas”. Budrecki w „Rzucie oka” w 1 numerze „Łodzi Literackiej” wspominał — Artura Gliszczewskiego. Jeśli przydomkiem nadany temu poecie, który zresztą przebywał w Łodzi tylko przejściowo przez parę ostatnich lat XIX wieku, oznacza, że Gliszczewski był autorem piosenek o Łodzi, jak Beranger autorem klasycznych już dzisiaj piosenek o Pa-

Notatnik kulturalny

W teatrach dramatycznych

Teatr Nowy po wystawieniu dramatu J. Kasprzowicza „Świat się kończy” przystępuje do prób nad „Łażnią” Wł. Majakowskiego w reż. K. Dejmkę i „Weselem Figara” Beaumarchais w opr. Merunowicza.

Teatr im. Stefana Jaracza wystawił „Skapca” Moliere w reż. St. Łapińskiego. W związku z Miesiącem Przyjaźni wchodzi na afisz „Mewa” A. Czechowa w reżyserii St. Domańskiej oraz

wielnianego (Roosevelta 10). Posiada ona świetlicę, która organizuje zespoły artystyczne pod kierownictwem ob. Janiny Kowalskiej, brygadę agitacyjno-artystyczną, bibliotekę liczącą już 350 książek, kółko radioamatorów, z którym współpracuje miejscowe Koło LPZ, kółko szachistów itp. Świetlica mieści się przy ul. Piotrkowskiej 138-140. Pięknie udekorowana przez amatorów papieroplastyk, przyciąga nie tylko robotników zakładu, ale i okolicznych mieszkańców. Stałymi jej



Teatr Ziemi Łódzkiej: „Sprawa rodzinna” J. Lutowskiego. Od lewej: M. Kłys, M. Lelska, B. Bukowska, J. Burawska, M. Dąbrowski. Fot. H. Smigacz

„Chirurg” A. Korniejczuka (wznowiecie).

Teatr Powszechny wystąpił ze sztuką A. Arbuzowa „Tania” w reż. N. Szydłowskiej — na inaugurację sezonu w Teatrze Młodego Wdza. W przygotowaniu — bajka dla dzieci „Kopciuszka” w reż. M. Malickiej. Obecny repertuar: „Poskromienie złośnicy” Szekspira, „Las” A. Ostrowskiego i „Dom na Twardziej” K. Korcellego.

Teatr Ziemi Łódzkiej posiada dwa zespoły. Jeden, grający „Damy i huzary” A. Fredry, objeżdżał niedawno Kieleckie, drugi występuje na terenie województwa łódzkiego ze „Sprawą rodzinną” J. Lutowskiego. Działalność TŻL (której poświęcimy w najbliższym numerze „Łodzi Literackiej” obszerny artykuł) znajduje gorący odzew w gromadach wiejskich. W próbach „Ożenek” M. Gogola.

Klub Międzynarodowej Prasy i Książki

Łódzki Oddział Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki liczy już piątą rok swego istnienia. Wielostronna działalność związała Klub z życiem politycznym i kulturalnym naszego miasta, z krajem, z walką o pokój i postęp na całym świecie. Codziennie około 300 osób gości w czytelni Klubu i znajduje pełne możliwości zaspokojenia najbardziej wielostronnych zainteresowań. Klub specjalizuje się w doborze literatury marksistowskiej, społeczno-politycznej i radzieckiej literatury pięknej, posiada prasę postępową z całego świata, organizuje dyskusje na tematy polityczne, wystawy, kursy języka rosyjskiego, imprezy literackie i śpiewno-muzyczne. Na szczególne uznanie zasługuje ściśła współpraca Klubu z Łódzkim Oddziałem Związku Literatów. Liczne odczyty, wieczory literackie, akademie z udziałem pisarzy wzbogacają pracę Klubu zbliżając literaturę do szerokiego rzeszy czytelników. W roku bieżącym działalność Klubu rozszerzyła się jeszcze bardziej. Zastosowane zostały nowe formy pracy, m. in. udostępnianie ksiażek w poczekalniach teatralnych, wyjazdy na wieś do PGR-ów i spółdzielni produkcyjnych.

Z ruchu świetlicowego

Do zakładów, przy których rozwija się ruch świetlicowy, włącza się ostatnio Łódzka Przedziałnia Przemysłu Ba-

bywalcami są przodownicy pracy i racjonalizatorzy z ob. Cąbrzyńskim na czele, wzorowym mechanikiem, specjalistą w zakresie udoskonalania pracy maszyn przedziałniczych w omawianym zakładzie.

Świetlica cieszy się troskliwą opieką miejscowej dystrykcji w osobie ob. Cedzińskiego, i Związków Zawodowych.



Jan Matejko — Mikołaj Kopernik. Według reprodukcji spółdzielni „Poziom”

Z działalności Wydziału Kultury WRN

Wydział Kultury WRN rozwija w terenie ożywioną działalność korzystając z każdej sposobności. I tak np. wystawy rolnicze pozwoliły na organizowanie stoiska świetlicy wzorowej i biblioteki, przeglądów nowości wydawniczych, błyskawicznego konkursu czytelniczego z nagrodami itp. 22 lipca nastąpiło otwarcie Domu Kultury w Łęczycy. W sierpniu w czasie trwania konferencji nauczycielskich Wydział propagował sprawę czytelnictwa i zadania w tym zakresie nauczycielstwa. W dożynkach centralnych w Lublinie wzięły udział zespoły ludowe powstałe przy pomocy Wydziału: łowicki, ze-

spół z Gałkówek i ze Zdżar. 19 września Wydział zorganizował w Piotrkowie dla uczczenia dziesięciolecia Polski Ludowej wielki festiwal pieśni i tańca, w którym wzięło udział 15 zespołów tanecznych, instrumentalnych i chóralnych w ogólnej liczbie 800 osób.

Piękno na codzień

Spółdzielnia wydawnictw artystycznych i użytkowych „Poziom” w Łodzi (Piotrkowska 117), pozostająca pod kierownictwem artystycznym znanego plastyka Stefana Wegnera, prowadzi ożywioną działalność. Przy współpracy artystów plastyków w ramach działu usług powstają artykuły pamiątkarskie, albumy krajoznawcze, wydawnictwa propagujące sztukę, serie książkowe strojów ludowych, materiały szkolne, m. in. beztekstowe, obrazkowe wydawnictwa dziecięce, albumy zoologiczne itp. Spółdzielnia umiejętnie krzewi znajomość naszej historii i kultury. Obsługuje wiele placówek, m. in. Polskie Linie Oceaniczne. Na początku 1955 r. w Ośrodku Propagandy Sztuki odbędzie się wystawa prac „Poziomu”.

Nasze dywany mają coraz piękniejsze wzory oparte na motywach sztuki ludowej. Tej nowatorskiej pracy wzornictwa dywanowego poświęca się grupa plastyków „absolwentów Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi i w Poznaniu. Stanowią oni komórkę wzorującą w fabryce pluszu i dywanów im. „Tadka” Ajzena w Łodzi (Kilińskiego 102). Zadaniem plastyków jest opracowywanie nowych wzorów dywanów i tkanin dekoracyjnych. Czerpiąc wzory z piękna sztuki ludowej plastycy przygotowują nowe projekty, wedle których wykonuje się dywany i tkaniny w Łodzi, we wspomnianej fabryce, i w całej Polsce. Nieestetyczną starą tandetę ruguje nowe piękno.

Wzornictwo artystyczne znajduje coraz szersze zastosowanie w naszym przemyśle. Zakłady im. Hanki Sawickiej w Łodzi (Piotrkowska 177) wykonują firanki artystyczne w najrozmaitszych gatunkach, jak koronkowe, szantylowe, tkane i raszlowe, dalej tkaniny koronkowe, obicia meblowe, artykuły dekoracyjne (makaty, narzuty itd.). Praca Zakładów korzysta w szerokim zakresie z pomocy artystów plastyków, opracowujących nowe projekty, doskonałe artystyczne wzory.

Dla MDM prace wchodzące w zakres kowalstwa artystycznego — żyrandole

i kraty — wykonała spółdzielnia „Metaloplastyka” w Łodzi (Piotrkowska 92). Spółdzielnia ta posiada cztery oddziały grawerskie, oddział jubilerski, pieczętarski i najnowszy galwanizatorski. Pod nadzorem artysty plastyka Z. Cichego projektuje i opracowuje rzeczy codziennego użytku, jak galanterię srebrną, żetony, odznaki, pieczęcie itp. Użytkowość łączy się z estetyczną formą. Piękna rzecz staje się pięknym na codzień.



Dywan szenilowy projektu artysty plastyka Romana Korbika, wykonany w łódzkich zakładach im. „Tadka” Ajzena.



— Obywatelu! — rozejrzał się wokół inspektor Winniczek. — Proceduralnie zmuszony jestem indagować przede wszystkim sprawcę afery: kierownika powiatowej delegatury PPK „Ruch” — Wrzawika.

— Jestem! — zatrzepotał drżący, spieszny głos, a na pytanie: „Co jest wam w tej sprawie wiadome?” — jeszcze piskliwiej: — Wiadome mi jest to, że chcę mnie wykończyć...

— Kto taki? — wzdygnął się Winniczek. — Oni, asyriologowie! A dokładnie: trzech profesorów, pięciu adiunktów, jeden docent i kilkunastu asystentów. Zmówili się na mnie z trzech katedr...

— Chwileczkę! — przerwał inspektor. — Proszę mi nie zaczynać od końca, tylko mówić po porządku i samokrytycznie.

Wrzawik oparł się o poręcz krzesła, spoglądając straszliwym zezem w okno, jakby w ucieczce widział jedyne wyjście z sytuacji. Niestety, okno tarasował jakiś osobnik z całówką, majstrujący przy zawiązkach. Wrzawik podał się tej nieszczej okoliczności z rezygnacją.

— Po porządku i samokrytycznie — zaczął — to było tak: Któregoś dnia zawiła do naszej delegatury inspektor z województwa. Pogrzebał trochę w planach, kartach nadziałowych, zestawieniach analitycznych i analizie zestawień, a kiedy nie znalazł nic podejrzanego, powiada:

„Wy tu sobie, obywatelu Wrzawik, tak po staremu, na sto procent, a przez między ofensywę kulturalną robicie. Spytajcie Dulkowskiego z sąsiedniej delegatury, to wam powie, jak się takie ofensywy montuje!”

„Jak Dulkowski — mówię — ofensywy robić może, kiedy ma najstarszych kolporterów w województwie?”

„Cóż z tego, że najstarszych?” — on na to i ze śmiechu tzy tyka. — „Daliśmy mu parę takich tytułów, co czytelnika wiejskiego bez kolportera biorą.”

Zmiewało mnie to, bo przecież z Dulkowskim spotykamy się każdej niedzieli na rybach, a on, szubrawiec, tajemniczo mi teraz za plecami montuje. Postanowiłem wypatrzeć całą rzecz od podszewki.

„Jakie to są te tytuły?” — pytam. „Takie sobie różne...” — odpier inspektor i zabiera się do wyjścia. Przytrzymałem go za kłapy marynarki.

„Nie puszczę was — mówię — aż mi odpowiecie dokładnie!”

„Dokładnie nie pamiętam” — on na to. — „Wszakże jeśli i wy chcecie robić u siebie ofensywę — sięgną do kieszeni — to weźcie ten ot blankietek, przywalcie pięćdziesiąt delegatury, a ja wstawię tytuły najbardziej chodliwych czasopism po powrocie do domu, bo teraz, dalać, wszystko z głowy uleciało”.

CENTRALNE BIURO RADY CZYTELNICZTWA I KSIĄZKI przy współudziale Zarządu Głównego ZSCH, ZMP, SP i Związku Pracowników Rolnictwa i Leśnictwa organizuje

W ROKU DZIESIĘCIOLECIA OGÓLNOPOLSKIE KONKURSY CZYTELNIKÓW WIEJSKICH

o tytuł najlepszej spółdzielni produkcyjnej, PGR i POM w dziedzinie upowszechniania czytelnictwa.

„Czynnik powiatowe in blanco nie zatwierdzą...” — kręć głową. Zaczął się znowu śmiać. „Dlaczego nie miały zatwierdzić? Powiecie im, że z analizy wynika, że i że w ogóle plan na medal!”

Zgodziłem się bez dalszego ociągania. Ustaliśmy jeszcze ilość egzemplarzy. Chciałem na początek pięćset — wmuślił we mnie trzy tysiące.

„Trzy tysiące dodatkowych egzemplarzy — mówił — wyniesie plus minus 135 procent planu, a przekroczony w takim stosunku plan to premia i pochwała ze szczebla...”

W tym momencie inspektor Winniczek poruszył się niecierpliwie. — Więcej samokrytyki! — zauważył cierpko. — Cóż było dalej?

— Dalej? — obliżał wargi Wrzawik. — Dalej, w samej rzeczy, wszystko nastąpiło tak, jak on obiecał.

— Jaki on? — Instruktor przecie! W jakiś tydzień później przybiega do mnie mój zastępca Korbalik i szaty rozdiera.

„Tak a tak — powiada — nie wiadomo na czyje idiotyczne zlecenie przysłali nam z województwa cały transport diabli wiedzą komu potrzebnych czasopism. Gdzie my to upchamy?”

„Rozkolportujemy!” — ja na to. — „A zlecenie jest moje i proszę mi tu głosu nie podnosić!”

Korbalik bardzo się stropił i bez jednego słowa podsunął mi przed nos specyfikację wysyłkową. Biorę ją do ręki tę specyfikację i czytuję:

„W odpowiedzi, przesyłamy według życzenia: 2 995 egzemplarzy poradnika dla gminnych położnych („Nasza praca — wzbogaca”) oraz 5 egzemplarzy Biuletynu Historii Starożytnej („Wiadomości Dławniej Historii”).

Zawinięto mi wszystko w oczach: gdzie ja w naszym małym powiecie znajdę 2 995 akuserek? Gdzie???

W owej nieszczęsnej chwili, gdy już zwątpiłem o sobie, naraż wpadło mi do głowy męskie postanowienie...

„Natychmiast sporządzić mocny rozdziałnik!” — polecił zastępcy.

— Rzecz oczywista, obywatelu inspektorze, nie nadużywamy zbytnio tej ostatniej deski ratunku. Mocny rozdziałnik stosujemy tylko w wyjątkowych okolicznościach, gdy trzeba ratować plan. Wówczas nie upytynniam z tych czy innych względów prawnym mój zastępca Korbalik dzieli według zastępu: 50 proc. aktyw partyjny, 20 proc. szkoły i świetlice, 15 proc. rady narodowe, 10 proc. Związek Samopomocy Chłopskiej, a reszta dla gminnych spółdzielni i punktów usługowych. Ewentualne zwroty przeznaczamy dla produkujących chłopów, wyróżnionych w produkcji roślinnej i zwierzęcej.

Metoda ta pozbyliśmy się całego nakładu poradnika dla gminnych położnych. W piśmie przewodnim, w którym zamieściłem apel o potrzebie szerszego włączenia się terenu do ofensywy kulturalnej, należało — za prawnym Korbalik zlecił ściągać z zainteresowanych przy wypłacie miesięcznych poborów. To wszystko, co wiem o sprawie... — westchnął ciężko, jakby chciał powiedzieć: „Otom wypowiadany, zabijcie mnie teraz!”

Inspektor Winniczek wciągnął nosem powietrze i huknął:

— Wy mi tu cały czas o swoich sukcesach, a ja, obywatelu Wrzawik, żądam samokrytyki! Odpowiedzcie: gdzie podziałicie pięć omyłkowo przekazanych wam egzemplarzy biuletynu „Wiadomości Dławniej Historii”?

— Milicja wszczęła poszukiwania — wyjaśnił Wrzawik drżącym głosem.

— Ha, już i organa wnieśli! — załamała dłonie inspektor. — Tego nam jeszcze brakowało! — i wyciągając szyję na środek sali, dał upust swemu oburzeniu: — Podziwiamie, obywatelu! — wołał. — Oto przechrzycono i zaprzeczono na szczeblu powiatowym „Biuletyn Historii Starożytnej”, który w liczbie pięciu egzemplarzy miał dotrzeć do rąk naszych znakomitych asyriologów. Czyż w takim stanie rzeczy dziwić się można tej lawinie reklamacji i protestów, wnoszonych przez ludzi nauki? — tu inspektor dla spódogowania grozy uczynił dramatyczną pauzę, podczas której, ni stąd ni zowąd, salkę napętnił wrzask.

— Majster! — A co? — odpowiedziano z podwórza.

— Walcie na górę! — wydierał się na całe gardło osobnik z całówką. — Mam go!

Nikt dotąd, prócz Wrzawika, nie zwrócił na niego uwagi, teraz wszyscy się obejrżeli, zdumieni zapewne, że mógł pozostać niezauważony. Zanim ktokolwiek z obecnych zdołał otworzyć usta, w oknie pojawił się koniec drabiny, w sekundę później barczysta postać nieproszonego gościa.

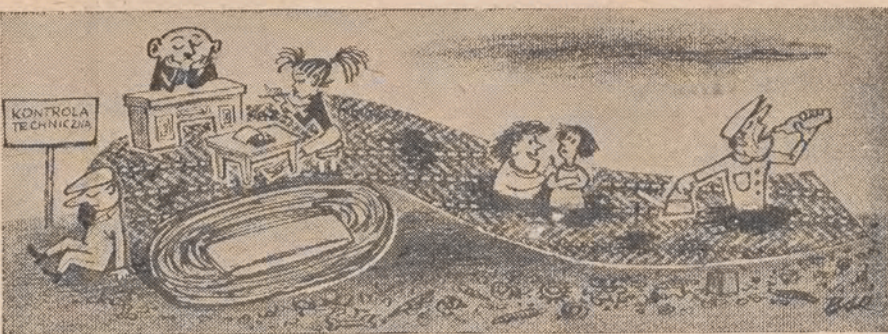
— Który to? — Ten za karafką! — wysunęła się całówka w stronę Winniczki.

— Ten łysy? — Barczysty dał susa

— Ten łysy? — Barczysty dał susa

— Ten łysy? — Barczysty dał susa

DODATEK DO KOSZTÓW WŁASNYCH



Rys. Karol Baraniecki

Marian Piechal

MŁOT NA BIUROKRACJĘ

Oto szereg nieodpartych racji

przeciwko niepokojącemu rozrostowi biurokracji:

jak ryba bez ości,

jak miłość bez zazdrości,

jak weksel bez protestu,

jak aktor bez pretensjonalnego gestu,

jak ul bez trutni,

jak małżeństwo bez kłótni,

jak most bez dziury,

jak jazda tramwajem o wpół do 8-mej rano bez awantury,

jak prawda bez kompromisów,

jak dyplomacja bez lisów,

jak wóz bez piątego koła,

jak świeżo mianowany dyrektor bez megalomańskiego tytułu,

jak stary dowcip bez brody,

jak dygnitarz bez sodowej wody,

jak papierosy bez siana,

jak wczasy bez wrzasku z głośnia od samego rana,

jak łódź bez gazów z Widzewa,

jak łódzki Teatr Satyryków bez widowni, co z nudów ziewa,

jak bez jemioły lipa,

jak nos bez polipa,

jak „Artos” bez Waldena,

jak bez jego konferansjerki każda w Polsce, nawet amatorska scena,

jak Jelenia Góra bez brudu i śmieci,

jak „Świerszczyk” bez autorki dla dzieci,

jak zabawa w świetlicy bez tańców św. Wita,

jak Czerny-Stefańska bez drukowanego w „Przekroju” pamiętnika,

jak propaganda bez łgarstwa,

jak „Film Polski” bez marnotrawstwa —

TAK KRAJ NASZ BEZ BIUROKRACJI

WIĘCEJ ZYSKA NIŻ STRACII!!!

Tadeusz Gicgier

CZCIELOM „DAWNYCH CZASÓW”

Zważcie, że życie, w surowej mądrości, patrzących w przeszłość — pozbawia przyszłości.

OBLUDNIK

Ow, gdy ktoś na znaczenia znajduje się szczyty, pieje na jego chwałę pean po peanie — lecz niech ten ktoś utraci przypadkiem pozycję, obłudnik w jednej chwili zmienia o nim zdanie.

O PEWNEJ KSIĄŻCE ZAŻALEN

Pozwól ci bez przeszkód skargę wpisać do niej — wiedz bowiem, że głos twój w jej wnętrzu utonie.

OBURZENIE ZADUFANEJ

„To niesłychane! Jestem aktywistką, a krytykują mnie na prasy łamach! Przecież w świetlicy sama robię wszystko...” Właśnie w tym błąd, że sama.

Juliusz Saloni

NA TEATR SATYRYKÓW

Teatr Satyryków, który powstał w Łodzi, Zamiast po swym mieście, Po manowcach chodzi.

Przez lipiec w Sopocie, Przez sierpień w Olsztynie, Wnet przysporzy pociech Mieszkańcom w Lublinie.

Ma ponoć sukcesy, Zyskał ponoć sławę, Wnet wrócić odwiedzi Garwolin, Warszawę...

Potem Końskie, Kielce, Poznań, Łowicz, Kutno Rozrzuca wiecie... Tylko w Łodzi — smutno!

Z CYKLU: PORTRETY



PAN NACZELNIK — TO JAI



TYP Z DEPTAKA

Rys. Karol Baraniecki

przez parapet i stanął przy stole przydzielonym.

— Jak tak można? — gestykulował rękoma, z których jedna była uzbrojona w długi, druga w drewniany młot, zwany „babą”. — Doszli my ze słownikiem w rękę do Tiglat-Palasara I, a o tych nowoczesnych metodach ani słychu, ani widu. Nic to — mówię do brzydady — walmy dalej, chłopaki, nie trza się zniechęcać! Więc czytam ja, czytam, ale ciągiem bez skutku: Assarhaddon siedzi już w Egipcie, Assurbanipal wtrącił się dawno do Elamu, a tego racjonalnego łączenia na czoły bez użycia kleju jak nima, tak nima! Dopiero kiedyśmy już dobrze doszli do powstania Medów, wszystkim zmiarkowałem. „Zdrada, chłopaki!” — powiadam.

— „Jesteśmy nabici w butelkę!” — powiadam. — „Tylko kawałek starożytności. Zawioła intuicja, psiekrew!”

— Pieniędy? — złapał się za portfel Winniczek, który całkiem stracił głowę. — Dlaczego pieniądze?

Za to szybko orientujący się Wrzawik zdjął z twarzy tragiczną maskę skazańca i z piskiem: „Ja płacę!” — zaczął szukać gorączkowo drobnych. Podczas przewlekłej operacji przetrząsania kieszeni wykrzykiwał:

— A nie mówiłem panu, panie Korbalik, że czasopisma w językach obcych dzielimy ze słownikiem?

— Nie było czasu... — zabiegało pod pieczę.

— Więc czym się pan w takim razie kierował?

— Intuicja, panie kierowniku! — brzmiała szczerza odpowiedź. — „Drewniej”, kombinowałem, to pewnie drewno, a jak drewno — to do warsztatu stolarskiego z adnotacją: „Nowoczesna obróbka pomoże ci w pracy”. Nawet mi przez myśl nie przeszło, że „drewniej” to tylko kawałek starożytności. Zawioła intuicja, psiekrew!

WOJCIECH DRYGAS

Rys. Mieczysław Piotrowski

Teodor Bujnicki (1906—1944)

GOERING

Z ojczyzny defilad, sztandarów i rasy urządził tu przylot na śnieżne wczasy.

Wslawiony zwycięstwem nad wrogów gromadą, urodą i męstwem, armatą i szpadą.

Ubrany jak dziecko, niedźwiedziej skór chciwy, przyjechał niemiecki pan premier myśliwy.

Zegnały łowczego zwierzęta układnie. Nie zrobił nic złego, a ubrał się ładnie.

Dalej, dalej z tropu w trop, z tropu w trop dalej, dalej. Dalej, dalej, z tropu w trop, z tropu w trop, hop, hop.

Jan Sztudyingger

DO „EWO”

„EWO”, skusiłaś kiedyś Adama... Dziś Francja mówi: „Grzesz sobie sama”.

NA PEWNA ODMIANĘ SATYRY

Satyra prawdę tai, sądów się wyrzeka, tematy niebezpieczne omija z daleka.

DO BRAKOROBA

Kiedyś zrozumiesz, brakorobie, że jak ty komu, tak on tobie!

ZBYTEK POMOCY

Płot się wali... Za bardzo go podpierał!



2. IX. r. b. był piękny wieczór jesienny i w przejściu, łączącym Al. Kościuszki z ul. Piotrkowską, drzewały zmęczone upałem drzewa.

Ze względu na zapadający zmierzch, lodów już nie sprzedawano.

Loteria książkowa przekazała rower wybrańcowi fortuny i odjechała.

Chuliganów w pobliżu nie było...

A jednak widzieli się coś przypominającego zbiegowisko.

Z łatwością stwierdziliśmy, że zbiegowisko zachowywało się kulturalnie. Jego ośrodkiem był spokojnie przemawiający mężczyzna. Drugi, znajdujący się obok, trzymał dzwonek — typu spotkanego na zebraniach; trzeci — karafkę z wodą i szklankę, typu również spotkanego na zebraniach i posiedzeniach.

Cóż by to być mogło?

Było to zebranie istniejącego w Łodzi i działającego od kilku lat Oddziału Polskiego Towarzystwa Fotograficznego.

Oddział skupia ok. 200 członków, w tym co najmniej 70 b. aktywnych. Pracuje nad podniesieniem poziomu fotografii amatorskiej, aby nadać jej rangę artystycznej. Bierze udział w wystawach, powołał kilka już kolekcji fotomatorów przy świetlicach... m. in. przy Centr. Zarz. Przemysłu Papierniczego.

Dotąd jednak Oddział żyje perypetiami, wynikającymi z braku własnego — choćby najskromniejszego — pomieszczenia.

Ostatnio Oddział Towarzystwa miał znaleźć przystań w lokalu po TOR-ze, zdążył umieścić tam swoje skromne ruchomości i na tym skończyło się...

Zebranie w pasażu było zebraniem ludzi zadowolonych się nad tym, co dalej... Wizyty u czynników nie dały żadnych rezultatów. Czynniki, owszem, zgodnie doceniają sprawę upowszechniania kultury fotograficznej, bardzo im się wszystko podoba, ale na tym koniec: platoniczna miłość wysokiej próby!

I teraz zebranie zadalo sobie pytanie: czy Oddział rozwiązać?

Nam się wydaje, że to żadne wyjście z sytuacji. Jeśli chodzi o rozwiązywanie, to polecamy szarady i krzyżówki. A czynnik swoje deklaracje o upowszechnianiu kultury powinny poprzeć czynem, który w tym wypadku oznacza możliwie szybkie ulokowanie Towarzystwa w jakimś pomieszczeniu!

KRONIKARZ

Rys. Karol Baraniecki

REDAGUJE ZESPÓŁ. WYDAJE ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH, ODZIAŁ W ŁODZI, NAKŁAD WŁASNY.

Adres Redakcji: Łódź, Mickiewicza 8, m 8 Godziny przyjęć Redakcji: poniedziałki 17—18, telefon 180-59. Rękopisy nie zamówionych nie zwraca się.

Zakłady Graficzne RSW „Prasa”, Łódź, Żwirki 17. Zam. 2887. D-5-14195

Papier satyn. kl. V.

ŁÓDŹ LITERACKA

15

AMERYKAŃSKIE ROZMYŚLANIA

Trochę nacisku, a efekt bliski,
Tysiące czołgów i duże zyski —
Tylko podpisać trzeba papiery —
Będą dywizje.
Raz, dwa, trzy, cztery...

Trochę konszachtów i dyplomacji
W krajach wspólnoty i okupacji —
Od Rotterdamu aż do Riwiery
Będą obozy.
Raz, dwa, trzy, cztery...

Co to za obóz w paryskim stanie?
Nie dostał złota i nie był w planie?
Deputowani mają chimery?
I oponują?
Raz, dwa, trzy, cztery...

NA MANEWRACH



Rys. L. Soffertis

— Świetnie maszerują pańscy żołnierze, panie pułkowniku! Oto kogo można będzie poprowadzić na Wschód!
— Nie tylko na Wschód, ale i na Zachód, panie generale!

Bronisław Chęciński

ARCHIWISTA

Prenumeruje pism stertę całą,
lecz ich w świetlicy ciągle za mało.
Za mało — czyli, że jest ich brak?
Brak — no bo sprawa wygląda tak:
Przyszła „Kultura Nowa” i „Życie”,
lecz — czytelnicy — ich nie ujrzyli.
„Przekrój” ze „Światem”, „Gromada” z „Wsią”,
no, gdzież u licha te pisma są?

Gdzie?... Świetlicowy nasz jest pedantem,
jest archiwistą, kolekcjonerem —
przyjdzie tygodnik ten albo tamten,
odkłada numer on za numerem.
Zalał mu się w „Kulturze” rękę,
on tego faktu ścierpieć nie może,
nie może ścierpieć — no bo i jak...
Rękę się urwie — i będzie brak.

Ażby braków nie było takich,
każdej gazety los jest jednaki,
przed czytelnika ręką i okiem
chronią jej szaty zamkniętej mroki.
Z roku więc na rok pisma gromadzi,
choć czytelnicy czytać by radzi.
Czekali, kłęli — aż ujrzał świat
rocznik kompletny sprzed czterech lat!

GRZEGORZ RYKLIN

RZEPKA

(Bajka dla dorosłych)

Posiał dziad rzepkę. Wyrosta rzepka — wielka, największa. Zaczął dziad rzepkę rwać: ciągnie a ciągnie, wyciągnąć nie może.

Bajeczka ta, którą wszyscy znacie, kończy się tak: myszka za kotka, kotek za pieska, piesek za wnućka, wnućek za babkę, babka za dziadka, dziadek za rzepkę — ciągną a ciągną, wyciągnęli rzepkę!

Tak to bywa w bajce. W życiu układa się inaczej.

W pewnym mieście pewnego obwo-du żył sobie towarzysz Rzepkin, wielki, największy pracownik. W tymże mieście żyli jego przyjaciele od serca: towarzysz Myszkina, towarzysz Kotkin, towarzysz Pieskin, towarzysz Wnuczkina, towarzysz Babkina i towarzysz Dziadkina.

Żyli w zgodzie i spokoju. Jeden przy drugim murem stali: Myszkina przy Kotkinie, Kotkin przy Pieskinie, Pieskin przy Wnuczku, Wnuczek przy Babkinie, Babkin przy Dziadku. A wszyscy razem i każdy z osobna — przy towarzyszu Rzepkinie, wielkim, największym pracowniku na skalę obwodową.

Bywało, że na walnym zebraniu czy też na posiedzeniu jakim albo na na-radzie aż mury drżały od oklasków: to Myszkina oklaskuje Kotkina, Kotkin Pieskina, Pieskin Wnuczkina, Wnuczek Babkina, Babkin Dziadkina.

A wszyscy razem i każdy z osobna — towarzysza Rzepkina, wielkiego, największego pracownika na skalę obwodową.

Wstępował na trybunę i wygłaszał płomienne mowy. A w mowach tych chwalił żarliwie jeden drugiego: Myszkina Kotkina, Kotkin Pieskina, Pieskin Wnuczkina, Wnuczek Babkina, Babkin Dziadkina, wszyscy zaś razem i każdy z osobna — towarzysza Rzepkina, wielkiego, największego pracownika na skalę obwodową.

Chwała a chwala, nuchwalić się do-syć nie mogą. A gdy, bywało, zabiera głos jakiś zachwytły a przekorny towa-rzyszczyk i zaczyna mówić o nieporząd-kach i niedoborach, natychmiast... Myszkina za Kotkina, Kotkin za Pieskina, Pieskin za Wnuczkina, Wnuczek za Babkina, Babkin za Dziadkina. A wszyscy razem i każdy z osobna — za towarzysza Rzepkina, wielkiego, naj-większego pracownika na skalę obwo-dową. Spółem zabierają się do nie-szczęsnego krytyka i zaczynają go ciągnąć. Ciągną miesiąc, ciągną drugi. Ciągną a ciągną — puścić dobrego chłopca nie chcą.

I oto pewnego dnia przyszło na nich okropne zmartwienie: wielkiego, naj-większego towarzysza Rzepkina prze-niesiono do innego miasta w innym obwodzie. Lecz uszy do góry, przyja-ciele mili: nie trać się, nie rozpa-czać! Wnet Rzepkin pociągnął za sobą Myszkina, Myszkina Kotkina, Kotkin Pieskina, Pieskin Wnuczkina, Wnuczek

ZONGLER Z WALL STREET



Rys. Kukryniksy

Ryszard Brudziński

WIERSZYK Z ZASTRZEŻENIEM

Wciąż parowóz jest w remoncie,
Gdzieś w warsztatach stoi w kącie —
Napisać głosi nieprzytomnie:
„Mój parowóz świadczy o mnie”.

W borze zaduch, brudne ściany,
Jest kierownik, napis — znany.
Czy napisał więc anonim,
Że bar świadczy właśnie o nim?

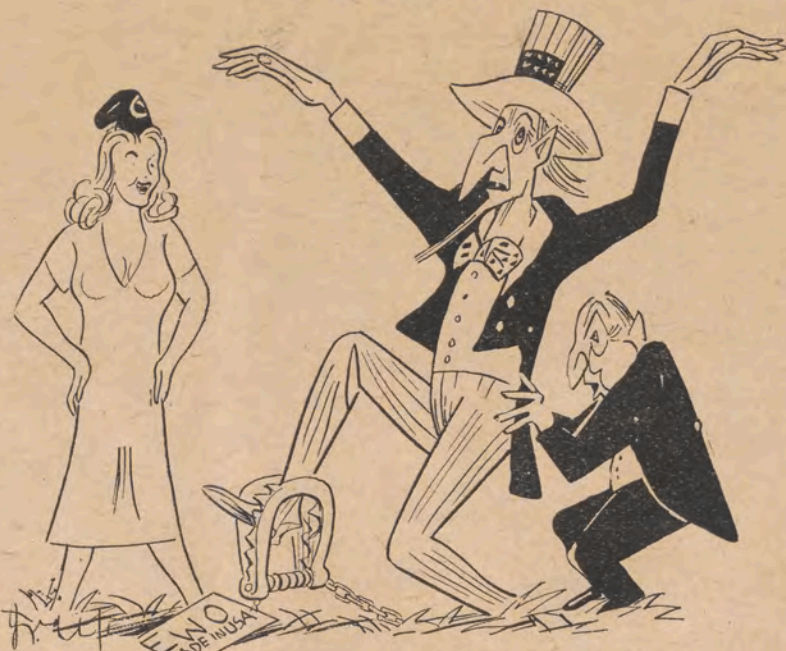
Tkacz nad krosnem trwa niezłomnie:
„Mój materiał świadczy o mnie!”
Czy cel tego miał być taki,
Że miast „primy” trzaska braki?

Pośród błota brzmi nieskromnie:
„Mój odcinek świadczy o mnie”.
Czy to pisał dróznik po to,
By świadczyło o nim błoto?

Ślup się wali, szlaban zgina,
Cały przejazd to ruina,
Więc też śmieje się ogromnie,
Że nie świadczy przejazd o mnie.

Wniosek piszę nie bez tremy:
Świadczy o nas, co piszemy —
I zastrzegam z góry skromnie,
Że ten wiersz nie świadczy o mnie.

W POTRZASKU



Rys. Kazimierz Grus

Babkina, Babkin Dziadkina. Ciągną a ciągną — wszystkich przeciągnęli.

Zaczął towarzysz Rzepkin rządzić się w nowym obwodzie: Myszkina do wydziału rolnego, Kotkina do wydziału zdrowia, Pieskina do wydziału organi-zacyjnego, Wnuczkina do wydziału kultury, Babkina do wydziału perso-nalnego, Dziadkina do wydziału kua-terunkowego.

Znowu na walnych zebraniach, na posiedzeniach i naradach mury drżały od oklasków: Myszkina oklaskiwał Kotkina, Kotkin Pieskina, Pieskin Wnuczkina, Wnuczek Babkina, Babkin Dziadkina. A wszyscy razem i każdy z osobna — towarzysza Rzepkina, wielkiego, największego pracownika na skalę obwodową.

Bajka przedko się plecie; inaczej rzecz idzie na świecie.

Upłynęło mało wiele czasu — i oto na walnych zebraniach, na posiedze-niach i naradach zaczęto wszystkich ich krytykować: Myszkina za Kotkina, Kotkina za Pieskina, Pieskina za Wnuczkina, Wnuczkina za Babkina, Babkina za Dziadkina. A za wszyst-kich razem i za każdego z osobna — towarzysza Rzepkina, wielkiego, naj-większego pracownika na skalę obwo-dową.

A gdy wkrótce potem na walnym zebraniu odbyło się tajne głosowanie, to się okazało, że wykreślono z listy po kolei: Myszkina po Kotkinie, Kotkina po Pieskinie, Pieskina po Wnuczku, Wnuczkina po Babkinie, Babkina po Dziadku. A wraz z nimi wszystkimi — towarzysza Rzepkina, wielkiego, największego pracownika na skalę obwodową.

Przełożył J. W.

JAN HUSZCZA

POECI „ISKRY”

„Wybitną pozycję w poezji obozu demokratycznego lat 1860-ych zajmo-wała grupa poetów, przeważnie satyryków, skupiająca się wokół pisma sa-tyrycznego „Iskra”... — czytamy w przedmowie do dużego wyboru wierszy, wydanego w Leningradzie („Mała seria Biblioteki Poety”, 1950 r.).

Satyryczna poezja „Iskry” — pomimo rozlicznych i olbrzymich trudności cenzuralnych — jak najściślej wiązała się z walką polityczno-społeczną swego czasu, czule reagowała na najważniejsze zjawiska i wydarzenia zarówno rosyjskie, jak i europejskie, ostro przeciwstawiała się teorii i praktyce „sztuki dla sztuki”.

Pismo, którego żywot trwał lat piętnaście (1859—1873), skupiało mnóstwo świetnych niekiedy poetów, publicystów i karykaturzystów.

Oto kilka nazwisk tych satyryków — zresztą z powodzeniem uprawiają-cych przeważnie i inne gatunki literackie: Wasyli Bogdanow, Wasyli Ku-roczkin, Mikołaj Kuroczkin, Dymitr Minajew, Piotr Weinberg, Liodor Pal-min, Wiktor Burenin...

„Iskrowcy” — pisze cytowany na początku redaktor antologii, I. Jampol-ski — wywarli niewątpliwie wpływ na dalszy rozwój rosyjskiej demokratycz-nej poezji, a przede wszystkim satyrycznej i humorystycznej...”

Ich polityczna przenikliwość, poczucie aktualności w najlepszym znaczeniu słowa, bogactwo sposobów wypowiedzi odegrały dużą rolę w kształtowaniu się satyrycznej twórczości poetów radzieckich.

Poniżej podaję cztery wiersze we własnym spolszczeniu. Pod wierszami znajdują się daty ich powstania.

W wierszu Weinberga „Stanisławy, Włodzimierze oraz Anny” oznaczają orderu carskiej Rosji. Początkowo wiersz był w całości skonfiskowany.

WASYLI BOGDANOW
(1838—1886)

* * *

U ministrów burżuazji
Planów wiele i fantazji,
Żeby zwodzić, ludzi —
A u prostych ludzi
Tylko barykady,
Nie ma innej rady...
Przyszła pora ta —
Czaj!

1870.

IWAN MOŻAJSKI
(1828—1893)PROWINCJONALNY
PROGRESISTA

Sic transit gloria mundi!

Chcąc świat cały z posad ruszyć,
W te zawitał strony,
Z nas się śmiejąc, prowincjuszy,
Ach, nieoświeconych!

Reformator, on z ksiązkami
Łaził dnem i nocą,
Jęcząc, że ze złodziejami
Jak tu żyć i po co?

Wiódł z chłopami wciąż rozmowy,
Prosił, by siadali.
Wlazał prawdy im do głowy,
Jak to liberali...

Lecz się potem uspokoił,
Przestał kłuć językiem,
Z towarzystwem się oswolił,
Przejął i nawyki.

W sztuce brania nie miejściowi,
Ale on już chwiałem —
Wszędzie gotów się obłowić
I wjęszyć intratę.

Znamy wszyscy bez wyjątku
Koniec liberała:
Ot, osiadł na majątku
W randze generała.

1862.

WŁODZIMIERZ SZCZYGŁOW
(1840—1903)

TRZECH SYNÓW

Trzech ma ojciec, a syn w syna...
Pierwszy rzekł roztropnie:
— Po drabinie chcę się wspinać
Tytułów i stopni!

Drugi ojcu mówi dumnie:
— Konia i ostrogi!
Nie zatrzymuj, ojciec, tu mnie!
Będę walczył z wrogiem!

Trzeci milczy, ojciec przeto
Sam go zapytuje:
— Czym chcesz zostać?... — „Ja? Poetą!
Powołanie czuję!

Syn najstarszy ma już dzieci
I szacunek w mieście,
Generałem drugi... Trzeci
Zaginał bez wieści.

1862.

1870.



Horacy Safrin

POD ADRESEM
MONOPOLU ZAPALCZANEGO

Gdybym się spotkał z waszym brzdękistą,
wyszłabym z nim bardzo ciekawą rozmowę:
— W jakim wypadku, wzorem ludzkich istot,
nawet zapalka może stracić głowę?

W ZAKŁADACH ODZIEŻOWYCH

Spytalem majstra, czemu garnitury
mają kolnierze pnące się do góry?
Na to mistrz igły rzekł z twarzą radosną:
„Co? Pan zdziwi? Ludzie u nas rosną...”

KULAK JEDZIE NA PUNKT SKUPU

Polowica wrzasnęła: „Rany boskie, Stachu!
Czyż zwariował? Do zboża dasypujesz piachu?”
„Cóż ty, radia nie słuchasz? — odparł mądrze —
To jasne:
dyć w ten sposób obniżam moje koszty własne...”

Jan Huszcza

NA NIEKTÓRE KIERMASZE
ŁÓDZKIEGO MHD

Od rana głośnie, piosenki z płyt starych,
stoiszka wzdłuż ulic... Któż by zrobił lepiej,
aby do nas zbliżył wszystkie te towary,
do których niechętnie zbliżamy się w sklepie?!

Ryszard Doroba

NA ŁÓDZKĄ PROZĘ

Gdy człek zamyslił się szczerze,
dostaje drżenia skóry —
drzemli sobie gdzieś rycerze,
buszując mocno ciur.

NA „PANORAMĘ”
W „ŁÓDZKIM EXPRESSIE”

Poziom „Panoramy” z tradycji wynika —
tę to jest kicz taki, jakie „pinxit” Styka!



PANUFNIKOWE KOMPOZYCJE

Rys. Karol Baraniecki